KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 11/314 1973

• « La Culture » • Revue mensuelle •

J. MIRSKI : **WRAŻENIA Z ZSSR 1970-73**

Zb. BYRSKI : **PRZEMIANY POLAKÓW W PRL**

Cz MIŁOSZ : **DZWONY W ZIMIE**

A. BROMBERG : **NA BEZDROŻACH PRAWA**

SPIS RZECZY

Zbigniew Byrski: *Przemiany Polaków w PRL* 3
Gustaw Herling-Grudziński: *Dziennik pisany nocą* 16
Czesław Miłosz: *Dzwony w zimie* 28

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski: *Milczenie nie jest złotem* 33
Bogusław Borowicz i N N: *Dwa listy z Chile* 43
Brukselczyk: *List do Redaktora* 53

SĄSIEDZI

J. Mirski: *Wrażenia z ZSSR 1970-1973* 54
Adam Kruczek: *W sowieckiej prasie* 68
Karol Szwedowicz: *Kronika czeska i słowacka* 75

KRAJ

Józef Kaliski: *Glossy do wydarzeń* 77
Antoni Gutowski: *Otwieranie zamkniętej gospodarki* ... 82
Łukasz Kielski: *Jeszcze o wydarzeniach marcowych* .. 90

SPRAWY I TROSKI

Marek Głogoczowski: *Widziane z plaży* 98

SPRAWY (NIE TYLKO) WYDAWNICZE

Adam Bromberg: *Na bezdrożach prawa* 107

KRONIKA KULTURALNA

Kazimierz Okulicz: *Tadeusz Święcicki* 113
Alicja Iwańska: *Terenowe badania socjologiczne* 122
— *Uzupełnienie emigracyjnych nagród literackich* 129
— *Komunikat Polonia Technica, Inc.* .. 131

KSIĄŻKI

Jan Fryling: *Poeta na ustroniu* 132
Włodzimierz Bączkowski: *Ukraińcy na Dalekim Wschodzie* 136
Józef Czapski — Andrzej Vincenz: *Dwugłos o Dankowiczu* 139
M. Broński: *Późny wnuk* 144
Adam Czerniawski: *Janusza Ihnatowicza „Wiersze Wybrane"* 145
— *Nadesłane nowości wydawnicze* 149

◆

— *Wydarzenia miesiąca* 151

◆

A. Krause, J. Weber: *Listy do Redakcji* 157
— *Odpowiedzi Redakcji* 159
— *Sprostowania* 159

MR. JAN DABROWSKI
80 ORANGE ST.
HARTFORD, CONN. 06106 U. S. A.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre 1973

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ „KULTURY"

Dr Aleksander I. Bragiński, Pittsburg, Pa. (USA), po raz drugi	F. 40,00
K. Bagdur, Buffalo (USA)	F. 240,00
Jan Kępniak, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 42,00
Prof. Bogdan Mieczkowski, Ithaca, N.Y. (USA), po raz dziewiąty	F. 100,00
Stefan Nędzyński, Genewa, po raz drugi	F. 140,00
Jerzy Prociuk, Roseville, NSW (Australia)	F. 25,00
„Polonia Technica, Inc.", New York, po raz dziewiąty	F. 105,00
K. Rożankowski, Monachium	F. 88,00
Bezimiennie, Bruksela	F. 200,00
Bezimiennie, Londyn	F.1500,00
Bezimiennie, Paryż, po raz dziewiąty	F. 60,00

DZIĘKUJEMY!

Kupię następujące numery *Kultury*: Rok 1947: 1, 2/3; — Rok 1948: 4, 6, 8 i 12; — Rok 1949: 16/17, 20, 20/21 i 23; — Rok 1950: 32 i 35; — Rok 1952: 60.

STANISŁAW MIKICIUK,
8000 MÜNCHEN 45,
GABLONZERSTRASSE 7/1 — NRF.

Imprimé en France.

Przemiany Polaków w PRL

„Z punktu widzenia wszystkiego co racjonalnie o świecie możemy powiedzieć, każdy naród jest przypadkiem i nie ma żadnych wyższych reguł nakazujących by miał on istnieć. Ale tak samo ludzkość jest przypadkiem, tak samo przypadkiem jest osobnik ludzki. Z ściśle racjonalnego punktu widzenia nie podobna tedy uzasadnić, że ludzkość „zasługuje" na istnienie, a podobnie naród, a podobnie człowiek pojedynczy" — pisze w „Sprawie Polskiej" Leszek Kołakowski[1].

W tym ważnym stwierdzeniu Kołakowski przypomina o pewnych „aksjomatach" nie z zakresu logiki, ale w sferze ogólnie przyjętych realiów, których dowieść nie sposób, ale które się powszechnie akceptuje, jako uznane normy. Jedynie na gruncie tego typu „aksjomatów" można np. uznać, że cofnięcie ludzkości do epoki jaskiniowej byłoby nieszczęściem. Bo jeśli się pewnych norm — w tym wypadku moralnych — bez dowodów nie przyjmie, nasunie się automatycznie pytanie: „Nieszczęście — dla kogo?". Przecież nie dla tych jaskiniowców, skoro do nich zredukowana zostałaby ludzkość, co samo przez się chroniłoby ją przed poczuciem degradacji. Zaksjomatyzowanie pewnych ogólnie i tradycyjnie przyjętych wartości jest w istocie taką samą niemal koniecznością jak przyjęcie, a raczej sformułowanie, kilku naczelnych aksjomatów, na których opiera się nasza logika, bez której obejść się nie możemy.

Kontynuując swą myśl, w tym samym artykule powiada Kołakowski:

„Jeśli naród jest aktywną wspólnotą kultury, jeśli więc żyje o tyle, o ile czuje się podmiotem tego życia, czyli odpowiada

1. Leszek Kołakowski, „Sprawa Polska", *Kultura* Nr 4/307.

za siebie, to najskuteczniejszym sposobem zniszczenia narodu jest pozbawić go samego tego poczucia odpowiedzialności, sprawić aby u w i e r z y ł w to, iż na skutek własnej bezsiły albo małoletniości albo okoliczności zewnętrznych zmuszony jest żyć tak, jak mu inni każą".

Przechodząc do dalszych wniosków, wypada z kolei stwierdzić, że ponad półwiekowe rządy komunizmu dowiodły, że współżycie między wspólnotą, jaką w swej XX-wiecznej postaci tworzy naród, a biurokracjami komunistycznymi doprowadza do stopniowego zaniku więzi narodowej.

Poczucie odpowiedzialności za losy kraju, jest najniebezpieczniejszym zjawiskiem dla rządów komunistycznych. Cechę tę, będącą najistotniejszym atrybutem świadomości narodowej, systemy biurokratyczne starają się wyplenić wszelkim sposobem, tworząc pozór, że to one są gwarantami narodowej kultury, narodowych swobód i narodowej suwerenności. Czynią to przy pomocy znanych metod utrzymywania narodowej fasady, która miast być jedynie zewnętrznym symbolem niepodległości, stanowi jego oszukańcze akcesorium. W obrębie imperium sowieckiego nie ma narodów zwycięskich. Są tylko podbite i to nie przez Rosjan ale przez totalitarne biurokracje. Ofiarą antynarodowej polityki komunizmu są w pierwszym rzędzie Rosjanie, ponieważ pozostają najdłużej pod rządami komunizmu. Rosja carska — według słów Lenina — była „więzieniem narodów". Lenin — wyłączył z tego więzienia Wielkorusów, którzy w jego przekonaniu byli współtwórcami tej niewoli. Obecnie ZSSR jest więzieniem wszystkich narodów — nie wyłączając Rosjan.

Niepodległość narodowa drugiej połowy naszego stulecia musi oznaczać swobodę nauki, literatury, nie ograniczone szlaki dla filozoficznej myśli i wszelakiego pisarstwa. Nie mieszam swobód narodowych ze społecznymi, ponieważ stanowią one jedność. Nałożenie kagańca na kulturę i rozwój osobisty obywateli przy pomocy wszystkich dostępnych środków nie jest oczywiście wynalazkiem komunizmu — choć żaden system nie miał dzięki omnipotencjalnej kontroli wszelkich dziedzin życia takich rozległych możliwości. Ale w tym wypadku nie chodzi bynajmniej tylko o kagańce. Cenzura carska zakazywała publikowania drukiem tego wszystkiego, co zawierało krytykę zarządzeń władzy. Formuła prosta, ale jakże skromna wobec „kierowniczej roli Partii w sztuce, literaturze i nauce". Po raz pierwszy państwo, którego wcieleniem jest warstwa aparatczyków — choć wprawdzie nie jest twórcą kultury, bo przy najlepszych chęciach sekretarz wojewódzki nie może nawet napisać pseudo-literackiego dzieła — jest inspiratorem, jedynym mecenasem i cenzorem nakreślającym kierunki i wskazującym cele. Sytuacja nie jest pod tym względem jednolita w całym bloku, ale wzory sowieckie — nie zawsze osiągalne na skutek często niesprzyjających okoliczności — pozostały nadal drogowskazem. Nawet dla tych państw, które jak Rumunia czy Jugosławia, wyłamały się częściowo lub całkowicie spod zwierzchnictwa ZSSR.

Cel, który przyświeca biurokracjom krajów komunistycznych — zastąpienia świadomości narodowej innego typu więzią, przy zachowaniu narodowych akcesoriów, przypomina praktykę sprytnego ateisty-przeciwnika religii, który zezwala na ceremoniały, ale tępi myśl religijną. Komunistyczni aparatczycy nie są zresztą wcale takimi mądrymi strategami. Był czas, że tępili zajadale nawet akcesoria narodowe u narodów satelickich, niszcząc je zresztą nadal w sposób brutalny wśród niektórych ludów ZSSR. W wypadku Europy Wschodniej — Partia działa po prostu pod mocnym naciskiem prymitywnych doświadczeń, niewiele różniących się od odruchów warunkowych. Wół zamknięty w zagrodzie otoczonej drutem kolczastym, gdy raz skaleczy nos, nie nadzieje się więcej na kolec. Jeśli porównanie aparatu komunistycznego z wołem jest zbyt prymitywne, możemy się zgodzić, że wobec krajów zhołdowanych przez ZSSR, Kreml zastosował po prostu metodę cierpliwości, opartą na doświadczeniach, jakie przynoszą procesy robaczkowe. Drążą one zwolna indywidualność ludzką, z której w ostateczności składa się naród, doprowadzając do katastrofalnego zubożenia psychiki ludzkiej. Ta antynarodowa erozja przynosi skutki z opóźnieniem. Ale są one trwalsze i trudniejsze do odwrócenia.

Naród nie jest kategorią wieczną. Powstał w pewnej epoce i może w innej epoce zniknąć. Gdyby zastąpiła go wyższa forma rozwojowa, nie mielibyśmy powodów do żalu. Niestety narody w Bloku sowieckim — a w szczególności Naród polski — w trybie powolnego procesu degradacji zamieniają się w swój ubogi i wykoślawiony substytut. Poddane są procesom historycznego regresu. Uwzględniając istnienie nienaruszonego żadnymi rebeliami, praskimi wiosnami i polskim październikiem systemu władzy sowieckiej, wzmocnionego ostatnio międzynarodowymi układami — świadomość bezwyjściowości i beznadziei, o której pisze w cytowanym przeze mnie poprzednio artykule Kołakowski, pogłębia się coraz bardziej. Degraduje ona obywatela PRL i kształtuje go w wymiarze owych spraw codziennych, które Kołakowski usymbolizował „kaszanką na talerzu, błotem na ulicy, podaniem o mieszkanie, podwyżką, obniżką" i tym podobnymi problemami, w których streszcza się życie Polaka. Kołakowski używał wprawdzie tych zwrotów w kontekście deprawacji języka polskiego, niemniej dekalog owych spraw oddaje w pewnym zrozumiałym skrócie literackim polską współczesność.

Być może zresztą, że ta „kaszanka na talerzu" nie symbolizuje zbyt dokładnie rezygnacji i poddania się losowi. Tak jak kaszanka została już obecnie zastąpiona bardziej „delikatesowym" artykułem, tak i komunizm nie zamyka dróg do awansu społecznego, które na całym świecie bywają opłacane, i to często, kompromisami wobec zasad własnej moralności. Tragizm komunistycznej Polski polega jednak nie na tym, że dla możliwego awansu lub korzyści dokonuje się kompromisów z własnym sumieniem, bo, żeby te kompromisy czynić — trzeba te zasady etyczne w głębi ducha szanować. Nie twierdzę, że uległy one całkowitej atrofii. Przeciwnie — są one zbyt mocno zakorzenione, aby można je równie łatwo wyplenić tak jak wypleniono na zebraniach partyjnych język polski, zastępując go politycznym żargonem. Niemniej cynizm stał się normą coraz powszechniejszą. W wyniku osłabienia więzi narodowych, które jak dotychczas były najcenniejszym i najdojrzalszym historycznie spoiwem łączącym Polaków, stają się oni zwolna moralnymi daltonistami. Normy etyczne bywają łamane wszędzie, ale wtedy gdy zjawisko to staje się niezauważalne — tego rodzaju sytuacja sygnalizuje niebezpieczeństwo nieporównywalne z brakiem masła czy margaryny. Powtarzane od piętnastu lat ironiczne hasło: „Śmierć frajerom" przestaje obecnie kogokolwiek gorszyć lub śmieszyć, ponieważ straciło swoją szokującą treść. Polska jest na etapie, w którym próby alarmowania społeczeństwa odwróconą moralistyką prawie nikogo już nie wzrusza. Nowa moralność stała się „kaszanką na talerzu". Nikt się wprawdzie nią nie delektuje, ale jest rutyną codziennego życia. „Frajerzy" będą w Polsce wkrótce niewidoczni. Wymrą, zaszyją się w ciemne kąty albo przejdą na emeryturę. Jedyną, i to bynajmniej nie błahą, nadzieję należy pokładać w najwcześniejszym pokoleniu „nastolatków". Może oni zechcą którego dnia być „frajerami" i „podłożyć się" zadufanemu w swej potędze reżymowi. Ocena tej możliwości należy do najtrudniejszych zadań. Na razie nie jest jeszcze tak źle, żeby nie mogło być gorzej. A jeśli tak — to nie wszystko uległo skamienieniu. I to stanowi obecnie bodajże jedyną realną polską szansę.

Zgodnie z regułami, działającymi w każdym niedosyconym materialnie społeczeństwie, Polacy muszą myśleć o awansie — jeśli nie własnym, to swoich dzieci, ponieważ awans ten wiąże się przede wszystkim z przywilejami materialnymi. Jeśli ten byt materialny i możliwość awansu wymaga kłamstwa — skłamią. Jeśli wymagać będzie nie tylko posłuszeństwa, ale schlebiania władzy — będą schlebiać. Jeśli władza będzie oczekiwać od nich donosicielstwa, to prawdopodobnie większość „przeciętnych" Polaków w roku 1973 — odmówi, choć być może ocena moja uznana będzie przez wielu jako nazbyt optymistyczna. Osobiście

wbrew memu pesymizmowi, uważam, że po 28 latach nieprzerwanego pozbawienia Polaków zasad etycznych, proces ten nie zaszedł tak daleko. „Statystyczny" Polak wyczuje zawsze, nawet w momentach najostrzejszej presji ze strony Partii tę subtelną, ale najzupełniej wyraźną różnicę, która oddziela posłusznego oportunistę podnoszącego rękę na zebraniu „jednogłośnie" potępiającym kogoś lub coś, od działającego indywidualnie denuncjatora. Kolektywnie dokonywane świństwo zawiera w sobie zawsze element ekspiacji.

Zasadnicze pytanie: „Jak rozbudzić w społeczeństwie polskim odpowiedzialność za losy Kraju" brzmi w świetle moich uwag nader abstrakcyjnie. To już nie o Polskę chodzi, ale o samych Polaków — panów Kwiatkowskich, Kowalskich i Wiśniewskich, żyjących pod wspólnym dachem tzw. Ludowej Demokracji. Bardzo możliwe, że ten dach PRL ku ich własnej szkodzie, się nie zawali. Że zagwarantowany dokonanym ponad ćwierć wieku temu podziałem świata (a nie żadną tam „doktryną Breżniewa") przetrwa jeszcze dziesiątki lat. Ale pociecha dla panów Kowalskich i Wiśniewskich z tego powodu mała, a powód do troski o ich dzieci powinien być wielki. Powinien — jeśli dbają nie tylko o to, żeby ich synowie i córki wspinali się w rozmaitych hierarchiach służbowych, ale o to żeby przypominali członków społeczeństwa o tradycjach — wprawdzie nie zawsze tak chlubnych jak to głoszą narodowe legendy — ale narodu burzliwego, okresami tragicznego i bohaterskiego, którego cechy indywidualne ukształtowały się w ciągu tysiąclecia.

Niestety pp. Kowalscy i Wiśniewscy okazują o te sprawy zastraszająco mało troski. Z miłości i przywiązania, słusznej lub niesłusznej dumy z własnej historii i kultury pozostało właściwie już bardzo niewiele. Tę gorzką prawdę trzeba uznać, jeśli się zważy, że w roku 1968 współuczestnictwo Polski w inwazji Czechosłowacji nie wywołało wśród Polaków żadnego godnego uwagi protestu, natomiast decyzja podwyżki cen mięsa i wędlin spowodowała 2 lata później gwałtowny zryw rewolucyjny z podpalaniem gmachów partyjnych łącznie. Ten kto ma poddostatkiem kiełbasy nie ma, rzecz jasna, prawa potępiać kogokolwiek z tego powodu, że buntuje się na skutek jej braku, nie reagując na inne bolesne sprawy. Nie ma też mowy o moralizowaniu obywateli PRL. Nie wyklucza to jednak prawa do konstatowania pewnych faktów i zmian jakie zachodzą w strukturze psychicznej Polaków pod rządami komunizmu.

Z dobrodziejstw kilograma kiełbasy i 2-pokojowego mieszkania z kuchnią będą prawdopodobnie mogli korzystać wszyscy mieszkańcy miast polskich do roku 1982. A jeśli nie do roku 1982, to poczekają jeszcze dalszych parę lat. Nie w problemach

zacofania ekonomicznego Polski tkwi największy dramat Narodu. To bowiem co Polacy powoli tracą, jest znacznie trudniejsze do odrobienia niż ekonomiczny regres. Równolegle bowiem z zobojętnieniem Polaków na kwestię ich narodowego bytu i redukowaniem ich osobowości do wymiarów, których skrótowym symbolem jest ów „kilogram kiełbasy", postępuje drugi proces, pozostający zresztą w widocznym związku z pierwszym — pozbawiania ich nie tylko wolności, ale wyjaławiania z jej pragnienia. Swobody polityczne, które są udziałem mieszkańców Zachodu stają się dla „statystycznych" obywateli PRL coraz bardziej obojętne, ponieważ nie mają w ich rozumieniu żadnego widocznego związku z podniesieniem ich standartu materialnego. To wszystko trzeba będzie któregoś dnia zapisać na nieodwracalne straty.

Jeśli jednak tak jest, albo jeśli sytuacja taka powstanie w najbliższej przyszłości, to czy wszelkie głosy emigracji politycznej nie są głosami trafiającymi w próżnię? Skoro bowiem ta nowa moralność, kształtująca indywidualność współczesnych mieszkańców Polski (będąca w naszym rozumieniu anty-moralnością) rozwija się w nich samych w sposób zarówno niewyczuwalny jak i bezbolesny, to rodzi się jedno zasadnicze pytanie, wymagające odpowiedzi: Czy obecne wezwania i apele pod adresem inteligencji lub robotników w Kraju nie są ciasną misjonarską pasją narzucenia własnych ideałów, własnej koncepcji „polskości" i „człowieczeństwa", bez których Polacy po 28 latach bytowania w systemie komunistycznym, mogą się doskonale obejść? Odpowiedź na to pytanie nie jest wcale taka oczywista, choćby nawet niektórzy działacze polityczni zajmujący się Polską przywykli do jej oczywistości w ciągu ćwierćwiecza.

O tym w jak odmiennych wymiarach historycznych żyją Polacy w Kraju w latach 1971-73 można poznać po różnicy haseł wysuwanych przez licznych i coraz liczniejszych rebeliantów Zachodu i tych bardzo nielicznych dysydentów Wschodu, działających w izolacji i nie cieszących się prawie żadnym poparciem swych społeczeństw.

U tych pierwszych przeważa coraz bardziej nuta buntu przeciwko materialnym, dehumanizacyjnym skutkom supercywilizacji, które występują w systemach produkcyjnie najbardziej wydajnych i udzielających zresztą swym obywatelom szerokiego marginesu swobód. Bez względu na infantylność niektórych sloganów, braku sensownego programu, hasła te są symptomem dynamicznego rozwoju historycznego, który doprowadził kraje Zachodu do punktu zwrotnego.

Jakże przygnębiająco na tym tle wygląda to, o co walczą, a raczej bezskutecznie próbują walczyć, odosobnieni dysydenci w Polsce lub w ZSSR! Ich postulaty streszczają się niemal bez

reszty w tym o co walczyli wiek temu socjaldemokraci w Europie Zachodniej. Czas w komunizmie, jeśli wyłączyć z niego postęp naukowo-techniczny, cofnięty został co najmniej o 100 lat.

Jeśli nawet część polskiej inteligencji i robotników świadoma jest tego regresu, to nie wynikają z tego żadne druzgocące dla komunizmu wnioski. Historia notowała długie okresy, w których niewolnicy czy chłopi pańszczyźniani oswajali się ze swą niewolą lub pańszczyzną, nie zaznawszy po prostu nigdy smaku wolności. Przez długie wieki czarni i biali niewolnicy przyjmowali swój los jako trwałe urządzenie świata, wcale nie oczekując nagrody w życiu przyszłym, starając się jedynie w ramach istniejącego porządku społecznego zdobyć więcej żywności i dłuższe godziny odpoczynku. Bunty chłopów doprowadzonych do rozpaczy głodem zdarzały się chyba nie częściej niż raz na 100 lat, kończąc się zwykle krwawymi masakrami. Tak było w całej Europie aż do czasów gdy filozofowie, adwokaci i pisarze, wywodzący się przeważnie nie z ludu ale z mieszczaństwa i szlachty, ukazali maluczkim nową wizję świata: Wolnych i Równych. Trzeba było dopiero wzbudzić w nich pragnienie wolności i przekonać ich, że świat może być urządzony na innych zasadach.

W jednym ze swych wcześniejszych artykułów Władysław Bieńkowski — autor wielu fascynujących prac o naprawie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — wspominał o tym, o czym kiedyś słyszał od swego dziadka-robotnika folwarcznego z końca XIX-go stulecia. „Pracowało się od świtu do zmierzchu — wspominał Bieńkowski senior — ale za to gdy przyszedł czas wypłaty, każdy z nas dostawał poza dniówką kieliszek wódki a karbowy zezwalał każdemu z nas nabrać tyle świeżych śliwek do czapki ile tylko mógł pomieścić".

Stary Bieńkowski pracował zapewne nie mniej niż 14 lub 15 godzin na dobę. Jaka była w owych czasach dniówka robotnika folwarcznego — nie trudno sobie wyobrazić. A przecież to, co się utrwaliło w jego pamięci, to nie wyzysk którego był ofiarą, ale łaskawość dziedzica, ucieleśniona kieliszkiem wódki i czapką śliwek.

W lecie 1972 roku otrzymałem list z Paryża od mojej dobrej znajomej, która przez ubiegłe lata bezskutecznie starała się o paszport turystyczny, aby go wreszcie po wielu staraniach, w okresie „polskiej wiosny paszportowej", otrzymać. — „Nieskończenie wdzięczna jestem Gierkowi za ten paszport" — pisała. Gdy przeczytałem te słowa, przypomniał mi się wówczas ów kieliszek wódki i czapka pełna śliwek — premia dobrego dziedzica, którą z taką czułością wspominał stary Bieńkowski.

Jeśli te wszystkie utajone lub wręcz jawne skłonności natury ludzkiej rozważyć, to trzeba się poważnie zastanowić czy zawsze

i w każdych okolicznościach czynniki buntu potrafią zrównoważyć lub przeważyć elementy poddaństwa. Jedno wszakże jest pewne: bywały takie okresy w dziejach, w których potrzebę wolności trzeba było zaktywizować. Po długim poście była ona owocem nie tylko zapomnianym, ale również niezbyt pożądanym.

Nie wynika jednak z tego aby jej pragnienie można było całkowicie wyplenić z psychiki ludzkiej. Na szczęście — nie. Można natomiast wpajać przekonanie w obywateli KDL-ów, że jedyną realną alternatywą jest totalitarna struktura społeczna we Wschodniej Europie gwarantowana nie tylko hermetycznie zaryglowanym systemem, ale uznanym przez dwa supermocarstwa podziałem wypływów. Daje to niewątpliwie efekty na co dzień — na te zwykłe smutne dni, a tych dni, w czasie których nic się nie dzieje i nie ma nadziei na żadną odmianę, jest w Polsce bardzo wiele. Nad przekonaniem Polaków, że to nieprawda, że przeciwnie — dzieje się bardzo wiele, że Partia realizuje nową politykę, że nareszcie przyszedł czas, aby dojrzeć CZŁOWIEKA, czuwają wytrawni i coraz bieglejsi w jednym rzemiośle, jakiego się nauczyli przez ćwierćwiecze swego panowania, biurokraci. To rzemiosło — to sztuka utrzymania władzy za wszelką cenę. Poznali oni dobrze w okresie swej władzy tych, którymi rządzą. Wiedzą, że wprawdzie tonący brzytwy się nie chwyta, ale notorycznie pozostający pod presją wszechobecnego państwa człowiek chwyta się rozpaczliwie każdej nadziei.

Na tle stopniowej erozji świadomości narodowej i postępującej utraty wiary w wywalczenie kiedykolwiek prawa nie tylko do narodowego bytu ale i własnej osobowości, popularność reżymu Gierka w porównaniu z ostatnim okresem panowania Gomułki wydaje się bezsporna. I nie jest bynajmniej nieuchronną następna faza utraty złudzeń. Polacy nie mogą utracić złudzeń, jeśli chodzi o pewien typ przemian, bo dawno się ich wyzbyli. Niemniej ów kilogram kiełbasy czy szynki przestał być mitem. Stał się rzeczywistością i osiągalnym (choć z dużym trudem) obiektem za witryną sklepu delikatesowego. Stopa życiowa Polaków podniosła się w sposób dość wydatny. Zmiana polityki paszportowej, w której zainteresowany jest nikły procent ludności, uległa również zliberalizowaniu. To, że zmiany te nie mają gwarancji trwałości, ponieważ wszystko zależy od polityki Partii — której decyzje nie są zdeterminowane systemem ustawodawczym, ale zależą od innych czynników, nie ma znaczenia. Polacy nie mogą domagać się gwarancji trwałych zmian, bo tego typu żądania byłyby równoznaczne z czymś znacznie dalej idącym niż nadzieją na poprawę systemu. Postulat gwarancji osiągniętych zdobyczy, wymuszonych na reżymie, wymagałby zmiany strukturalnej systemu. Tego rodzaju decyzje nie leżą w gestii Komitetów Centralnych. Gdyby członków KC KPZS ogarnęło któregoś dnia szaleństwo i zadekretowaliby kompletną zmianę systemu, wystąpiłyby przeciwko nim solidarnie Armia, KGB i biurokracja. Władze sowieckie stały się niewolnikiem stworzonego przez siebie ustroju. Monarchowie, choćby ich kiedy nachodziła taka myśl, nie mogli znieść monarchii. Zawsze czynił to ktoś inny. Ale teraz w przewidywanej dla Polaków przyszłości „tych innych" nie widać. Z tego właśnie powodu na co dzień zmuszeni są walczyć o rzeczy realne czyli osiągalne. Nie łudźmy się, że 28 lat sterylizowania mózgów mogło pozostać bez śladu. Studenci i robotnicy w momentach narodowego poruszenia mogą nosić transparenty z hasłami: „Nie ma chleba bez wolności", ale na pytanie — jaki procent narodu akceptuje tę prawdę, trudno jest odpowiedzieć. Dla niektórych chleb bez wolności zaprawiony jest goryczą. Ale więcej jest takich, którzy wolą chleb z goryczą niż brak chleba bez goryczy. Ostatnie lata ukazują nam postępującą amorficzność społeczeństwa i jego rosnącą skłonność do przystosowania się do wszelkich narzuconych form. Władza — posługując się słowami Leszka Kołakowskiego — stała się bardziej „elastyczna" w wynajdywaniu nowych form i odmian rządzenia, bez naruszania struktury systemu. Społeczeństwo bardziej „elastyczne" — w ich przyjmowaniu. Tam gdzie sprawy bytu codziennego przytłaczają inne, nie ma powodu się dziwić, że ojciec niedożywionej albo źle odzianej rodziny (bo obdartych w Polsce już nie ma), nie może się kłopotać o sprawy cenzury i wolności nauki. Tym mniej — uświadomić sobie ich związek z przyszłością Narodu. Te sprawy są dla niego absolutną abstrakcją. Instynkt biologicznego przetrwania i społecznego awansu góruje nad resztą. U innych — którym troski materialne zostały odjęte, następuje zrozumiały proces zhołdowania ich przez biurokrację. Ale w Polsce, na Węgrzech zrozumiano nareszcie, że są ludzie potrzebni komunistycznym rządom, których nie można przekupić przy pomocy nawet najgrubiej posmarowanej masłem kromki chleba. Dlatego niektóre państwa komunistyczne fazy postalinowskiej, bez wypracowania nowych metod rządzenia, uznały całkiem trafnie, że tak jak przy niedostatku dóbr materialnych — gdy bochen chleba nie może wykarmić wszystkich — najlepszym sposobem zachowania porządku — jest dzielenie go na nierówne kromki, tak samo należy postępować ze szczupłą porcją wolności, której wprawdzie się nie sieje ani nie produkuje, ale której wyłącznym włodarzem jest Partia. Gdyby dać ją wszystkim, Państwo rozleciałoby się w 2 tygodnie. Ale można pewnym ludziom czy nawet grupom przydzielać ją okresowo — w większej niż innym dozie. Dzięki temu, poza podstawowym filarem systemu — biurokracją, wojskiem i policją, można zyskać sojuszników w innych warstwach. W So-

wietach tej zmodernizowanej metody przekupywania intelektualistów nie tylko przy pomocy „daczy" pod Moskwą, ale i innych środków jeszcze nie zaakceptowano. Jeżeli Sowiety ją przyjmą, to polityka oferowania nowych faworów rozpocznie się prawdopodobnie od przedstawicieli nauk ścisłych, technologów i przyrodników, choć skądinąd będzie to wielce ryzykowne. Gierek w Polsce i Kadar na Węgrzech zrozumieli lepiej, że w poszukiwaniu nowych sprzymierzeńców, poza aparatem władzy, trzeba użyć nowych środków. Gierek mniej dba o przedstawicieli wiedzy ścisłej, których profesja pozwalała żyć im znośnie we własnym zamkniętym świecie, do którego aparatczycy nie mają dostępu. Ale problemy polskiej inteligencji humanistycznej przywódcy partyjni typu Gierka postanowili, jeśli nie rozwiązać, to przynajmniej jakoś załagodzić. Porcja swobód w porównaniu z ostatnim rokiem panowania Gomułki jest wręcz oszałamiająca. Wprawdzie obce rozgłośnie są zagłuszane, ale na inteligencję polską spadł deszcz zagranicznych paszportów. Co prawda nie na wszystkich. Liberalna polityka działa wybiorczo. Jednych klepie się przyjaźnie po plecach. Innym podejrzliwym, którzy nie kwapią się do przyjmowania przywilejów, które Partia traktuje nie jako prawa ale prezenty, daje się od czasu do czasu prztyczka w nos. Możliwości są rozległe. Tych zdecydowanie nieprzejednanych stawia się „do kąta". Na półtora roku lub na trzy lata. Z zawieszeniem lub bez. W Polsce ocena wyroków przez ludność jest niesłychanie liberalna. „Rok — nie wyrok" — powiada się, „3 lata — jak dla brata". Miejmy nadzieję, że te porzekadła ludu warszawskiego nie zachęcą Partii do powszechnego zbratania Polaków.

◆

Nie należy sądzić, że opinia publiczna jest lub była w Polsce w całości do tego stopnia naiwną, by nie zdawać sobie sprawy z pozorów, które kierownictwo partyjne chce „sprzedać" Polakom, w zamian za rzeczywiste reformy, których ani nie mogło ani nie chciało przeprowadzić. Na pewno przytłaczająca większość robotników i intelektualistów była świadoma tego, że ma do czynienia z gigantycznych rozmiarów mistyfikacją. Jeśli liberalizacji paszportowej towarzyszy zagłuszanie obcych radiostacji, wzmocnienie aparatu bezpieczeństwa i milicji, to nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł mieć w Polsce złudzeń, że Partia wprawdzie wyciąga nauki z przeszłości, ale nie dla zdemokratyzowania systemu tylko w celu jego policyjnego zabezpieczenia. Że okres „liberalizacji" był okresem przejściowym służącym uspokojeniu społeczeństwa, dowodzi coraz bardziej widoczne ostatnio przykręcanie śruby. Nowe kierownictwo — używając starego partyjnego

żargonu — „okrzepło". A jeśli nawet nie „okrzepło", to wierzy w swoją krzepę.

Jeśli jednak zdrowy rozsądek ludzi myślących nakazywał rozszyfrowanie gierkowej mistyfikacji wraz z jej wszystkimi prymitywnymi legendami o nowej erze w historii PRL, to zachodzi pytanie jak to pogodzić z niewątpliwą popularnością pogomułkowskiej ekipy co najmniej w okresie do połowy 1972 roku? Sam fakt usunięcia znienawidzonego Gomułki, skompromitowanego ostatecznie próbą brutalnego stłumienia rebelii na Wybrzeżu nie mógł być dostateczną racją. Sądzę, że przyczyny są inne.

Wydaje się, że po ćwierćwieczu rządów komunizmu, Polacy wyczuwając bezwyjściowość sytuacji, którą w pełnej realizmu grozie uzmysłowiły im wydarzenia w Czechosłowacji, nie mają innego wyjścia jak przyjmować mistyfikację za dobrą monetę. Skoro żadnej realnej i trwałej poprawy nie można w komunizmie osiągnąć, poddanie się niczym nieuzasadnionej wierze w partyjne mity stało się dla wielu świadomą ucieczką od rzeczywistości. Samooszukiwanie się obywateli PRL, w tej liczbie niektórych wybitnych intelektualistów było dla nich i dla wielu ratunkiem przed ostateczną desperacją. Było psychiczną klapą bezpieczeństwa. Po raz pierwszy kłamstwo, zamiast być zaprzeczeniem prawdy, stało się dla ludzi pogrążonych w beznadziei jej namiastką i substytutem. Dramat rozkładu osobowości Polaków osiągnął niespotykane granice. Tego typu sytuacja była nie do pomyślenia 20 lat temu w okresie nasilenia terroru stalinowskiego. Kłamstwo miało ostre i wyraźne kontury. Mimo wszystko co pisał wówczas Miłosz o „zniewoleniu umysłów", trzeba je było praktykować, ale nikt nie musiał go wyznawać. Partia zresztą i obecnie nie „zmusza" nikogo do wyznawania głoszonych przez nią mitów. To nie Partia, ale sytuacja — produkt 28-lecia Polski Ludowej zmusza do tego wielu jej obywateli. Setki tysięcy Polaków „wierzy", że wygrają milion w Totolotka, dlaczegóżby wobec tego nie zawierzyć Partii i jej wizjonerom?

◆

Utrzymanie ludności w całkowitej dyscyplinie ma jak powszechnie wiadomo, z punktu widzenia władzy, swoje zalety i wady. Zaletą dla władzy totalitarnej jest to, że nieograniczona żadnym prawem (ponieważ sama to prawo tworzy) kontroluje skutecznie ludność, nie troszcząc się zbytnio o jej nastroje. Wadą tej kontroli jest to, że władze nie są w stanie przewidzieć w jakim momencie nastroje te osiągną punkt krytyczny, w którym mogą rozsadzić obręcz dyktatury.

Demokracje Zachodnie nie są w stanie zachować na co dzień dyscypliny w tym stopniu, w jakim sprawują je ustroje totalitarne — co z punktu widzenia porządku społecznego i stabilności politycznej stanowi słabość. Natomiast zaletą tej formy rządów (z punktu widzenia władzy, a nie ludności) jest pełna świadomość nastrojów nurtujących społeczeństwo. Czasem nastroje te zresztą bywają błędnie odczytywane przez rządy w krajach Zachodu. Błąd polega na tym, że władze zmuszone są liczyć się nie z tymi, których jest więcej, ale z tymi którzy głośniej krzyczą. Przy tych wszystkich niewątpliwych usterkach i zaletach obydwu systemów władzy, różnice w ewentualnych konfrontacjach z ludnością są bardzo wyraźne. W warunkach rządów totalitarnych, gdy do wybuchu dochodzi, bywa on często niespodzianką zarówno dla rządzących jak i zbuntowanych. W warunkach demokratycznych, do tego typu eksplozji nie dochodzi. Niezadowolenie — mając codzienne ujście — nie akumuluje się w sposób niedostrzegalny, tak jak to ma miejsce w komunizmie. W krajach demokracji kapitalistycznych fermenty rewolucyjne występują w dawkach rozcieńczonych. W systemach totalitarnych, o ile do nich dochodzi, mają charakter wstrząsowy.

Komunistyczni przywódcy w Polsce zdają sobie ostatnio sprawę z tej właśnie słabości ich rządów, które tłumiąc wszelkie zewnętrzne przejawy politycznej opozycji, sprzyjają jej kumulowaniu w sposób niedostrzegalny dla organów bezpieczeństwa, a więc uniemożliwiający ich kontrolę. Żeby skutki tego zneutralizować, stosują po pierwsze paliatywy opozycji, które służyć mają rozładowaniu nastrojów, w wypadku zaś gdy środki te okazują się niewystarczające i grożą wybuchem — dążą do ich skanalizowania[2].

◆

Wnioski, jakie wynikają z moich rozważań, nie mogą brzmieć optymistycznie. Moje twierdzenie o zablokowaniu dróg wyjścia z komunizmu, choć pozbawia niektórych polityków i myślicieli iluzji o możliwych i stopniowych trwałych zmianach na lepsze w Polsce, nie wyklucza nieprzewidzianych wydarzeń, których widownią była Europa Wschodnia w ostatnim 20-leciu. Obraz kompletnego zaskoczenia, fakt że rebelie, jeśli wybuchają, to wybuchają żywiołowo, bez żadnych zwiastunów (Berlin 1953, Poznań 1956, rozruchy studenckie w Polsce 1968, a wreszcie Wybrzeże — 1970) wynikają z totalitarnego systemu kontroli,

2. Sprawę „skanalizowania" nastrojów trafnie przedstawił Al. Zabrzeski w nr. 3/294 *Kultury*, w artykule pt. „Patologia Opozycji", ograniczając się jednak głównie do polityki Partii wobec Kościoła.

dławiącego nie tylko wszelką opozycję, ale nawet najbardziej nieśmiałe jej przejawy[3]. Dlatego przygotowanie możliwego wystąpienia w formie mobilizacji mas, jeśli wykracza ona poza 24-godzinny okres zaimprowizowanej akcji, jest w praktyce niemożliwe. Stąd nie tylko dla obserwatorów z zewnątrz, ale dla samych Polaków, co i kiedy może się zdarzyć, w wyniku długotrwałego tłumienia i kumulowania się nastrojów opozycji jest wielką niewiadomą. Z tej przyczyny ani w Polsce ani w pozostałych krajach Bloku sowieckiego nie ma miejsca dla strategii rewolucyjnej w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Musiałaby to być w tym wypadku jakaś zupełnie nowa strategia, przy której klasyczne podziemie polityczne, funkcjonujące we wszystkich policyjnych niekomunistycznych ustrojach, zastąpione byłoby jakąś całkowicie nową, przystosowaną do systemu totalitarnego, formą akcji spiskowej. Formy te są, jak wiadomo, dotychczas nieznane.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, sierpień 1973

3. Wydarzenia w Budapeszcie w roku 1956 nie miały charakteru nagłego wybuchu, ale poprzedzone zostały trwającym przez szereg miesięcy w całej Europie Wschodniej rozbiciem totalitarnego systemu kontroli i faktycznym obezwładnieniem aparatu bezpieczeństwa i cenzury.

Dziennik pisany nocą

Dragonea, 10 lipca 1973

„Agonia morza", określenie stało się sztancą w artykułach ekologów o Neapolu. Towarzyszą mu statystyki, formułki chemiczne, wykresy, fotografie. Laik zapamiętuje elementarne informacje: zatrute ryby, mule naładowane bakteriami w hodowlach podmiejskich, rosnący procent zakażeń wirusowych wśród dzieci które w upalne dnie wprost z promenady nadmorskiej skaczą do wody, gnojówki i periodyczne zakazy kąpieli na okolicznych plażach, spadek niemal do zera turystów gotowych zaryzykować krótki bodaj postój w „byłym mieście snów" przed odjazdem na Wyspy lub dalej na południe. Dla mnie „agonia morza" streszcza się w letnim obrazie zatoki. Kiedyś z *Santa Lucia* (gdzie mieszkał Słowacki) oglądało się u progu lipca przezroczysty, niebieski klosz nad posrebrzaną gamą ruchliwych zieleni. Teraz szary, zmatowiały klosz nieba zamyka czarną, ciężką wodę, martwą jak jezioro Averno u wejścia do Hadesu.

Ale i tutaj, w odległości pięćdziesięciu kilometrów od Neapolu, morze stopniowo kona. Rybacy w Vietri łagodzą tak skrajną diagnozę ekologiczną westchnieniem: *il mare nostro è malato,* nasze morze jest chore. Po cichu jednak nazywają je *poltiglia,* co najlepiej oddawałoby słówko „bałanda". Wyjeżdżają jeszcze na połów? Rzadko (słyszę od wtajemniczonych); przed świtem na podwórkach sklepików odbywa się szybkie rozbijanie beczek i skrzyń, odmrażanie ryb importowanych. O dziesiątej na piaszczystym brzegu w Vietri do „chorego morza" można docisnąć się tylko, torując sobie łokciami drogę w tłumie.

Pozostaje łódka z Cetary albo z Erchie, zwłaszcza wczesnym ranem. Zrobiliśmy to dzisiaj. Pod nawisami skał niedostępnych od strony lądu, dokoła grot, trafiają się płaty „zdrowego morza", przebłyski czystych wspomnień w gorączkowym i duszącym koszmarze. Jest to iluzja, zwodnicza powłoka, którą niszczy byle dłuższy podmuch wiatru. Głębinowy bulgot w załomach skał i w gardzielach grot wydobywa na wierzch śmiertelne oznaki gnicia i ropienia.

22 lipca

Podobno Croce, gdy nachodzili go młodzi admiratorzy ze swoimi „kryzysami wieku", mruczał zniecierpliwiony „moja jedyna rada: szybko się zestarzeć". Zanikła zdaje się tradycja młodych pielgrzymujących po drogowskazy do filozofów, nie widzę zresztą filozofów współczesnych do których warto byłoby w tym celu pielgrzymować. W przeszłości takie wędrówki były dość nagminne, chociaż dawały skąpe rezultaty. Skąpe i czasem zabawne. Ozdobę boswellowskiej *Grand Tour* stanowiła, w roku 1764, wizyta u Rousseau i Voltaire'a w Szwajcarii. Młodzieniec miał dwadzieścia cztery lata, był egzaltowany i spragniony przewodnika duchowego. Rousseau zmroził go od pierwszej chwili: „Panie, nie czuję żadnego pociągu do świata. Żyję tu, w świecie fantazji, i nie mogę znieść świata jakim jest". Boswell nalegał: a jeżeli zjawia się człowiek obdarzony również fantazją, nie budzi sympatii filozofa? Na co Rousseau: „Sęk w tym, że moje fantazje nie pokrywają się nigdy z cudzymi... Ludzkość napawa mnie obrzydzeniem. Moja opiekunka powiada, że bywam w znacznie lepszym humorze po dniu spędzonym samotnie, niż po dniu spędzonym w towarzystwie". Nie łatwy do zrażenia, Boswell poprosił filozofa o „pokierowanie" jego życiem. Rousseau: „Nie mogę. Mogę odpowiadać wyłącznie za siebie... Jestem cierpiący. Potrzebuję wciąż nocnika". Do Voltaire'a ruszył Boswell w euforii analogicznego uwielbienia, z jedną wszakże drzazgą za skórą; chodziło o hasło *âme* w *Słowniku filozoficznym.* Wolnoż sobie dworować z pięknej i wzniosłej idei nieśmiertelności duszy? „Przejmuje się pan zanadto błahostką, zwaną przez ludzi duszą. Proszę mi wierzyć, nic o niej nie wiem, nie wiem czy istnieje, nie wiem czym jest, nie wiem co ją czeka". Ze wszystkiego należało wyciągnąć naukę, na którą młody Boswell nie umiał się jeszcze zdobyć: każdy musi sam taszczyć swój nocnik i swoją nieśmiertelną duszę, nie zakłócając filozofom spokoju koniecznego do rozmyślań (z obrzydzeniem) o ludzkości.

23 lipca

Gdyby nie dawna konwencja stawiania kropek nad i, roz-

plątywania najbardziej nawet ezoterycznych węzłów, *Podróż na Wschód* Hermanna Hessego byłaby małym arcydziełem. Opowiadanie powstało w roku 1932. Za czasów mojej młodości czytało się z przejęciem dwie powieści Hessego: *Wilka stepowego* oraz *Narcyza i Złotoustego;* dziś jest to znowu ulubiona lektura młodzieży (z obwoluty włoskiego wydania *Wilka stepowego* dowiaduję się, że był przez rok „świętym tekstem" na amerykańskich campusach uniwersyteckich). Powodzenie Hessego omijało, i bodaj omija też w swoim obecnym renesansie, *Podróż na Wschód.*

W oryginale tytuł brzmi *Die Morgenlandfahrt,* może więc nawiązywał subtelnie do *Untergang des Abendlandes* Spenglera. „Skończyła się właśnie wojna światowa, w umysłach narodów pokonanych zrodził się osobliwy stan nierealności, skłonności do surrealizmu, jakkolwiek w niewielu tylko wypadkach przekraczano naprawdę barierę i podejmowano wypady do królestwa przyszłej psychokracji". Tło jest ważne, narrator wraca do niego w innym miejscu: „W okresie gdy miałem szczęście wstąpić do Ligi, natychmiast po wojnie, kraj nasz pełen był zbawicieli, proroków i uczniów, pełen przeczuć końca świata bądź nadziei że zbliża się Trzecie Królestwo". Miano Ligi nadano tajnemu stowarzyszeniu, które swym członkom zapewnia podróż na Wschód. Nie o geograficznym Wschodzie mowa, lecz o „ojczyźnie światła", o kraju „młodości duszy", o Wszędzie i Nigdzie, o rzece w wiecznym biegu zbierającej dopływy wszystkich czasów; i nie fizyczna to peregrynacja, lecz przemierzanie stuleci, lądów i mórz tropami wyobraźni i snów. Iść za marzeniem, za mitem, w uszach mając okrzyk Novalisa: „Dokąd tedy zdążamy? Zawsze do domu!".

Naraz klucz do opowiadania Hessego, trochę zbyt jaskrawo wskazany palcem: „I dopóki to będzie możliwe, nie zapomnę głównej zasady naszej wielkiej epoki — nigdy nie obliczać, nigdy nie dawać się zbić z pantałyku motywom racjonalnym, bezustannie uważać wiarę za silniejszą od tak zwanej rzeczywistości". Zanik zmysłu rzeczywistości stawia naturalną i niezniszczalną tęsknotę do mitu tuż obok ślepego, agresywnego irracjonalizmu. Hesse ogłosił *Podróż na Wschód* na rok przed triumfem hitleryzmu, w pokonanych Niemczech „podróżnicy" z tajnej Ligi poetycko-filozoficznej ocierali się codziennie o ludzi wypatrujących nadejścia Trzeciego Królestwa. Wnikliwość tego opowiadania, napisanego w piętnaście lat po pierwszej wojnie światowej i odczytywanego w przeszło ćwierć wieku po drugiej, jest dostatecznie duża, by darować Hessemu zubożenie metafory pokusami dydaktycznymi.

27 lipca

W obliczu nowego procesu Amalrika odezwał się najpierw w *Le Monde* Jean-Marie Domenach: „Jeśli Europa zjednoczywszy się pozwoli umrzeć kulturze rosyjskiej, która nadal jest jednym z jej najpłodniejszych składników, będzie przeklętą Europą monachijską". W miesiąc później zawtórował mu na łamach *New York Times* Walerij Czalidze: „Bardzo to ładnie, gdy uśmiechy władców przynoszą światu pokój. Ale rozpaczą przejmuje myśl, że ten pokój nie wpłynie na poprawę losu więzionych i sądzonych za uczciwość i odwagę. Zaczynam wątpić czy Zachód potrafi stać na straży ludzkich ideałów cywilizacji, lub znaleźć „trzecią" drogę do stosunków z ideologicznie wrogimi rządami, odmienną niż drogi które doprowadziły do Monachium albo do Wietnamu".

Są to głosy wołających na puszczy, sfory komputerowych „politologów" po obu stronach oceanu wyszydzą je jako „prostackie i toporne". Amalrik, kończąc swój szkic *Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?* na podmoskiewskiej wsi, w formie konkluzji zanotował scenę za oknem: w kraju „sputników" wykopywano kartofle gołymi rękami. W *Lubimowie* Siniawskiego niezapomniany jest epizod, w którym zimą Władimir Iljicz układa na „szczotach" plan pięcioletni i od czasu do czasu wybiega na śnieg by powyć nieco do księżyca. Zachodni mędrcy komputerowi nie chcą przyjąć do wiadomości, że w kraju „sputników" na poziomie „szczotów" odbywa się myślenie rządzących. Nieśmiertelna mentalność liczydeł, wcale zresztą niegłupia w odniesieniu do *takich* partnerów! W pamiętniku *Dniewnik moich wstrecz* znany malarz Jurij Annienkow opowiada, że po śmierci Lenina zamówiono u niego portret Wodza i stosowanym jeszcze wtedy zwyczajem pozwolono mu zajrzeć do prywatnego archiwum leninowskiego. Odpisał nabazgraną pośpiesznie i ledwie czytelną „instrukcję" z roku 1921: „Kapitaliści całego świata i ich rządy, w pogoni za zawojowaniem sowieckiego rynku, zamkną oczy na naszą działalność i przeobrażą się w głuchoniemych ślepców. Otworzą kredyty, które posłużą nam do wsparcia partii komunistycznych w ich krajach, zaopatrzą nas w brakujące materiały i techniki, umożliwiając nam w ten sposób postawienie na nogi przemysłu wojennego, nieodzownego dla przyszłych zwycięskich ataków przeciw naszym dostawcom. Innymi słowy, będą pracować nad przygotowaniem własnego samobójstwa". Po „tajnym raporcie" Chruszczowa usiłował Annienkow na próżno podrzucić tekst „instrukcji" prasie zachodniej; uznano go, podobnie jak „testament leninowski" opublikowany w roku

1926 przez Borysa Suwarina we Francji i przez Maxa Eastmana w Ameryce, za „fałszywkę". No bo i któż by poważnie brał plany rewolucyjno-imperialne, robione na prymitywnych „szczotach"? I kto by sobie głowę zawracał rachubami rachmistrzów, przesuwających z upartym trzaskiem guziki na drutach? Nie mówiąc o tym, że zgodnie z naukami „politologii" w dalszej perspektywie problem przestanie w ogóle istnieć: posadzeni wreszcie dzięki Zachodowi za komputerami, władcy sowieccy wyleczą się w mig z liczydłowych zwapnień i fiksacji.

28 lipca

Jaki temat dla pisarzy włoskich, niestety pisarze włoscy takich tematów nie lubią... Z okazji ukazania się księgi dziennikarza Bocca o Togliattim historyjkę rekonstruuje Alberto Ronchey, do niedawna redaktor *La Stampa,* niegdyś korespondent prasy włoskiej w Moskwie.

Bohaterem jest Nazareno Scarioli, chłop-robotnik z Genzano pod Rzymem, małej mieściny w obrębie Castelli Romani. Do partii zapisał się w roku 1921. Molestowany i kilkakrotnie poturbowany przez faszystów, postanowił ratować się przed więzieniem ucieczką do Rosji. Pracował w Jałcie od roku 1925 do roku 1936, potem przeniósł się do Moskwy. Aresztowano go w trzydziestym siódmym, w okresie wyłapywania emigrantów politycznych, i skazano na pięć lat za „działalność kontrrewolucyjną". Wylądował na Kołymie. Został zwolniony i „zrehabilitowany" dopiero po siedemnastu latach, do Genzano wrócił w roku 1960.

W Genzano, uchodzącym nie bez powodu za podrzymską twierdzę komunistyczną, powitano go ze sztandarami partyjnymi i z orkiestrą. Z początku milczał, nie długo jednak mógł utrzymać język za zębami. W tarwernie, bijąc pięścią w stół po paru szklankach wina, nazywał Stalina „katem gorszym od faszystów". Godzinami wygarniał wspomnienia siedemnastu łagiernych lat, nikt mu nie chciał wierzyć. Nie wierzyli też jego właśni bratankowie i siostrzeńcy, przywódcy organizacji partyjnej w miasteczku. „Wujowi nie wierzycie? Byłem tam, mówię prawdę". Raz czy dwa pobito go w ferworze dyskusji, wymyślano mu od „zdrajców socjalizmu": „Zaprzedałeś się policjantom, klechom i Amerykanom". Izolowano go w końcu jako „starego wariata", bo bez przerwy powtarzał: „Przywieźcie mi tu Togliattiego, zna mnie dobrze. Przywieźcie go do starego Nazareno, niech mu spojrzę w oczy".

Rok 1960, prawie niewiarygodne. Ale w Genzano czytano

wyłącznie prasę partyjną, nie słuchano kłamstw rozsiewanych przez gazety burżuazyjne. A prasa partyjna wierciła się mętnie koło raportu Chruszczowa i Dwudziestego Zjazdu, pisała to o „szkodliwych konsekwencjach kultu jednostki" to o „pogwałceniach praworządności socjalistycznej", nie dla prostych ludzi taki szyfr. Nadszedł przecież dzień, gdy i prasa partyjna musiała półgębkiem napomknąć o wyrzuceniu świętych zwłok z mauzoleum, o projekcie pomnika ku czci ofiar stalinizmu. Ronchey, który starego Nazareno znał z Moskwy i pamiętał odjeżdżającego z zaciśniętą pięścią pociągiem repatriacyjnym, wybrał się do Genzano. Zastał go nie w tawernie, lecz w domu, przykutego chorobą do łóżka. „W Moskwie było nas sześciuset Włochów, wszystkich niemal aresztowano. Na palcach policzysz ocalałych. Przychodzili, aresztowali cię, nic nie mówili. Wieźli do Władywostoku, tam wywoływali: Scarioli Nazareno, pięć lat na Kołymie, w łagrze gdzie zimą mróz sięgał sześćdziesięciu i siedemdziesięciu stopni. Trzynaście lat odbębniłem na Kołymie, ważyłem w końcu trzydzieści sześć kilo... Wysyłałem list za listem do Togliattiego, który mieszkał w Moskwie w hotelu *Lux,* z tymi innymi ważniakami z Kominternu. Znałem go, zachodził czasem do Klubu Międzynarodowego na Twerskoj. Pisałem do niego tyle razy: „Nic złego nie zrobiłem". Nigdy mi nie odpowiedział... A Robotti, szwagier Togliattiego, wiedział i nic nie mówił, aż i jego aresztowano. Na Kołymie leżą dwaj towarzysze, rzeźbiarz Specchi i Riccardo Papa. Można ich tam jeszcze znaleźć, wszystko na Kołymie zamarza. Jednego dnia było nas trzydzieści tysięcy, drugiego dwadzieścia, ludzie umierali jak muchy. Pracowało się do sześćdziesięciu stopni, a nie wyrobiłeś bratku normy, to cię w kopalni trzymali i po osiemnaście godzin na dobę. Zimą ciągle noc, latem ciągle dzień. W pięćdziesiątym roku, kiedy ważyłem trzydzieści sześć kilo, przenieśli mnie do Taro, a stamtąd do Krasnojarska. Zwolnili mnie w pięćdziesiątym czwartym, po amnestii Malenkowa".

Doczekał się stary Nazareno na łożu śmierci tego, że do drzwi jego domu pukali towarzysze z genzańskiej organizacji partyjnej, ściskali dłoń, gładzili po twarzy. Do finału w stylu De Amicisa brakowało jednego: Togliattiego, któremu „stary wariat" chciał koniecznie przed wyzionięciem ducha „spojrzeć w oczy". Togliatti był zajęty, pisał wtedy nowy komentarz do *Księcia* Machiavellego.

30 lipca

Młodzi artyści sowieccy wychodzą ze skóry by susami przeskoczyć stracony czas „socrealizmu" i dogonić zachodnią sztukę

„awangardową", wzruszeniem ramion kwitują reprymendy i połajanki partii o „malarstwie uprawianym oślim ogonem", wzdychają do własnych uciętych korzeni Tatlina, Malewicza i Kandinskiego, a na Zachodzie od dwóch lat salonikowo-galeryjna krowa wybałusza z zachwytem ślepia na malowane wrota Gerasimowa. W salonikach intelektualnych i galeriach Paryża, Rzymu, Londynu, Baden-Baden, panoszy się moda na sowiecką oleografię państwową i pompierów „socrealistycznych". Paryski krawiec damski Pierre Cardin urządził w swoim *Espace-Cardin* wystawę kiczów sprowadzonych z Moskwy, która stała się atrakcją sezonu: piękne toalety pań, natłok krytyków, kolekcjonerów, *marchandów*, psychoanalityków, eksponaty na wagę złota. *W czom dieło?* — pytają zdezorientowani młodzi ludzie nad Moskwą-rzeką i nad Newą. Eksperci od zachodnich mód estetycznych wyjaśniają *bezobrazje* nagłym odkryciem w sowieckim „socrealizmie" prekursorskich zalążków *pop-artu*. Za łatwe, albo w każdym razie nie dość dokładne. Raczej słodkie omdlewanie słabych i zblazowanych wobec sztuki jurnych dzikusów, coś w rodzaju recydywy (bardziej „modernistycznej" i z podświadomą „motywacją polityczną") padania plackiem przed afrykańskimi totemami.

31 lipca

Roy Miedwiediew i jego *Kniga o socjalisticzeskoj demokratii*. W wachlarzu opozycyjnym w Rosji autora studium o stalinizmie należy chyba umieścić gdzieś w pobliżu grupy, która wydawała *Politiczeskij Dniewnik:* frondujących komunistów, rzeczników „krytyki konstruktywnej". Nowa książka Miedwiediewa jest próbą rozwiązania kwadratury koła. Z jednej strony pilna, gwałtowna potrzeba demokracji socjalistycznej na „obecnym etapie". Z drugiej, afirmacja „zasadniczo słusznej i zdrowej" linii systemu od rewolucji po dzień dzisiejszy (oczywiście z wyłączeniem „ekscesów" gruzińskiego satrapy). Kwadraturę koła próbuje się rozwiązać w ten sposób, że wszystko w przeszłości, co miało się później okazać niebezpieczne lub zgoła zgubne w skutkach, nosiło charakter jedynie *wremiennyj*. Słówko *wremiennyj* króluje niepodzielnie w historycznej analizie Miedwiediewa, „tymczasowe" było także ustanowienie monopartyjnej „dyktatury proletariatu". Teraz zaś, kiedy bez demokracji socjalistycznej grozi zastój czy co najmniej obniżenie wysokiego lotu, pora uznać w zjawiskach „tymczasowych" ich przedawnioną „tymczasowość". Chciałoby się wiedzieć jak sobie Miedwiediew wyobraża ten prosty zabieg. W drodze uroczystego, łącznego *postanowlenja* prezydium Najwyższego Sowietu, rządu, Komitetu Centralnego i Biura Politycznego? W tych i niższych rejonach władzy panuje uzasadnione przeświadczenie, że nie ma rzeczy trwalszych od prowizoriów, szczególnie „rewolucyjnych". I niewiele tu zdziała proponowana przez Miedwiediewa metoda łagodnej perswazji.

Podsowiecki ruch opozycyjny znajduje się w ciężkim położeniu. Nixonowskie *embrassons-nous* wprowadziło w praktyce immunitet prześladowców wobec ściganych i prześladowanych. „Nasi władcy mogą sobie dzisiaj pozwolić bezkarnie na wszystko" — zauważył z goryczą Sacharow w swoim ostatnim wywiadzie. Książka Miedwiediewa zawiera jeden tylko, i to bardzo skromny, zadatek na przyszłość. Przed czterdziestu laty (przypomina on) członkowie partii kierowali się sześciorgiem przykazań. Pierwsze, nie myśl. Drugie, jeśli myślisz nie mów. Trzecie, jeśli mówisz nie pisz. Czwarte, jeśli piszesz nie drukuj. Piąte, jeśli drukujesz nie podpisuj. Szóste, jeśli podpisujesz nie przyznawaj się. „Czasy się zmieniły, rosną ludzie posłuszni innym przykazaniom. Musimy myśleć i myśleć, szukać prawdy, pisać ją i rozprzestrzeniać choćby w odbitkach maszynowych, musimy nasze przemyślenia i projekty kolportować z rąk do rąk". Nie widać istotnie lepszego chwilowo lekarstwa na skamieniałą i zinstytucjonalizowaną „tymczasowość rewolucyjną".

3 sierpnia

Kilka miesięcy temu Adam Pragier napisał znakomity artykuł *Bromke czyli nic*. Mikstura „bromke-czyli-nic", spreparowana i opatentowana przez polskiego uczonego, spełnia rolę lokalnego środka przeczyszczającego w globalnym zbliżeniu amerykańsko-sowieckim. Jest więc życzliwym okiem widziana po obu stronach, tym bardziej że swoje właściwości kuracyjne ogranicza do drobnych dysfunkcji w procesie na skalę światową. Na przykład, obu stronom nie w smak uparte widmo emigracji politycznej; można magicznym zaklęciem wyegzorcyzmować rzecz samą, zmieniając najzwyczajniej jej nazwę. Nie ma emigracji politycznych, są rozmaite „diaspory": rosyjska, polska, ukraińska, bałtycka, czeska, hiszpańska, grecka. W patriotycznym ciepełku spotkania uczonych polskiego pochodzenia w Krakowie buteleczkę mikstury „bromke-czyli-nic" wyciągnął z szuflady biurka, i postawił na honorowym miejscu, jeden z czołowych współpracowników *Tygodnika Powszechnego*. Podumał, podumał i przed użyciem wstrząsnął, chwalebny odruch inteligencji: „Powstaje jednak pytanie, co my ofiarowujemy w zamian osobom z polskiej diaspory. W zasadzie do ofiarowania mamy po prostu Polskę nad Wisłą.

Wiele osób nie żąda więcej". To że „wiele osób nie żąda więcej", i że w krakowskim tygodniku wraca stara śpiewka o Polsce nad Wisłą, jest niebywałym osiągnięciem mikstury „bromke-czylinic". Wynalazca powinien na odbudowanym Zamku Królewskim w Warszawie otrzymać Order Polskiej Diaspory Pierwszej Klasy.

6 sierpnia

Wcześniej niż by wypadało z kalendarza, sypią się artykuły, świadectwa, bilanse w piątą rocznicę inwazji Czechosłowacji. Na moim stole uzbierało się już ich sporo. *Identikit* „normalizacji", bez zbytniego podcieniowywania, wygląda tak.

Bierny opór przybrał formę absolutnego wyłączenia się społeczeństwa z życia zrzeszonego. Autentyczne życie przeciętnego Czecha czy Słowaka zaczyna się w piątek wieczorem, kończy się w poniedziałek rano.

Fidelio Beethovena został zdjęty z afisza Opery praskiej, dla uniknięcia „negatywnych reakcji widzów". Chodzi o pieśń więźniów, oklaskiwaną demonstracyjnie na każdym przedstawieniu.

Na tysiąc sześciuset robotników w jednej z fabryk czeskich tylko ośmiu pozostało w partii. Świadek banalnej sprzeczki między dwoma robotnikami w tej fabryce usłyszał w pewnej chwili okrzyk: „Dureń z ciebie, idę o zakład że należysz do partii".

Profesor Milan Huebl, ciężko chory na oczy, zajmuje się w więzieniu w Valticach osiem godzin dziennie nawlekaniem maleńkich sztucznych koralików jabłonieckich; grozi mu całkowita ślepota. Jednocześnie w Pradze kursuje dowcip: „Czy analfabeta może zostać członkiem Akademii Nauk? W zasadzie tak, ale nie członkiem-korespondentem".

Pavel Kohout, zapytany przez dziennikarza zagranicznego jak się zachowa jeśli nie ustaną naciski zmierzające do wypchnięcia go na emigrację śladem innych przedstawicieli opozycji, „uważa za swój obowiązek wyjaśnić": „Nie czuję się przedstawicielem opozycji, zważywszy że znam niezmiernie mało osób o poglądach odbiegających od moich". Daje przy tym do zrozumienia, że emigracja nie oznacza bynajmniej końca historii.

15 sierpnia

Szczyt lata, zieleń za dnia spopielała, szerokie pęknięcia ziemi, senna drętwota wsi po przeciwnej stronie wąwozu, powietrze

nasycone opalizującą mgłą żaru, na niebie bez koloru słońce jak ogromna rura wydechowa ognia. Nawet nocą książka wypada z ręki, a cóż dopiero pióro.

22 sierpnia

W kronice Jaurèsa Miedwiediewa *Dziesięć lat po Dniu Iwana Denisowicza* istotna jest konkluzja „sołżenicynowskiej dekady". Formułuje ją najstarszy wiekiem współpracownik *Nowogo Mira* z okresu redakcji Twardowskiego, uczestnik rewolucji i wojny domowej: „Wielu sądzi, że pod rządami Chruszczowa była demokracja. Nonsens, żadnej demokracji nie było. Występował niekiedy liberalizm, a to w naszych warunkach kruche: bardziej ludzka forma przemocy, w każdym razie zjawisko tymczasowe. Trwała sprawiedliwość może istnieć tylko w warunkach trwałej, prawdziwej demokracji". Roy Miedwiediew, brat Jaurèsa, znajdzie w tych kilku zdaniach jedyny rozumny komentarz do swojej czterystustronicowej *Księgi o socjalistycznej demokracji:* w ustroju totalitarnym tymczasowa nie jest nigdy sama przemoc; tymczasowa natomiast bywa zawsze jej „bardziej ludzka forma".

Ponura kronika Jaurèsa zawiera jeden epizodzik humorystyczny, zwłaszcza dla czytelnika polskiego. Jak wiadomo, do opluwania Sołżenicyna po ukazaniu się *Sierpnia 1914* został użyty paxowski *WTK*. Wydrukowano w nim artykuł nikomu nieznanego Jerzego Romanowskiego, który niezwłocznie dostąpił zaszczytu przedruku w prasie sowieckiej jako „głos katolików polskich". Wkrótce potem nadeszła z Warszawy wiadomość, że w artykuł napisany po rosyjsku w Moskwie zaopatrzyli paxowców sowieccy dyrygenci kampanii przeciw Sołżenicynowi, prosząc o koleżeńską przysługę: zależało im na tym by napaść wyszła z „katolickiej Polski", a następnie „odbiła się echem" na łamach prasy sowieckiej w postaci „przekładu z polskiego". Paxowcy podjęli się ochoczo zadania, lecz niestety (czy stety) powierzyli jego wykonanie jakiemuś debilowi (co właśnie wykazuje Jaurès). Ów debil nic nie słyszał o książce historyczki amerykańskiej Barbary Tuchman *Guns of August,* której w tekście rosyjskim artykułu powierzono rolę głównej armaty ostrzeliwującej pogląd Sołżenicyna na klęskę Samsonowa w Prusach Wschodnich. Że zaś nie słyszał, beztrosko upstrzył polski przekład artykułu nazwiskiem pani Takman (w rosyjskiej transkrypcji fonetycznej oryginału).

Jest i epilog, ale Jaurès o nim nie wspomina, skoro jego kronika urywa się na roku 1972. W pierwszym kwartale roku

1973 wydano w Moskwie *Puszki awgusta,* ufając że w całości zniszczą doszczętnie już autora *Sierpnia 1914.* Barbara Tuchman oświadczyła dziennikarzom, że ni w ząb nie pojmuje o co chodzi: jej pogląd na klęskę Samsonowa pokrywa się w ogólnych zarysach z poglądem Sołżenicyna.

26 sierpnia

Zmarły w maju Carlo Emilio Gadda był bardzo wybitnym pisarzem, wiedziałem o tym po przeczytaniu niedokończonej *La cognizione del dolore.* Stale odkładałem na później jego najgłośniejszą powieść *Quer pasticciaccio brutto de via Merulana,* obawiając się *romanesco,* dialektu rzymskiego w którym jest napisana. Koszt ociągania się: przez wiele lat stało na mojej półce ledwie powąchane arcydzieło. Nagrodą za wysiłek oswojenia się z *romanesco,* w miarę lektury coraz mniejszy, jest olśnienie (tak rzadkie dzisiaj w dziedzinie prozy).

Gadda był pisarzem barokowym. Sam wolał mówić o baroku i grotesce, z autoprezentacją w trzeciej osobie (trochę w stylu Gombrowicza): „Barok i groteska tkwią w rzeczach, nie są wynikiem świadomej woli czy tendencji ekspresyjnej autora, lecz obliczem natury i historii. Barokowy jest świat, Gadda uchwycił i sportretował jego barokowość". *Pasticciaccio,* rzymski „dreszczowiec" pozostający w takim samym stosunku do powieści kryminalnych jak *Don Kichot* do romansów rycerskich, często podszeptuje poprawkę: „Barokowy jest Rzym, Gadda uchwycił i sportretował jego barokowość". Ta poprawka traci zapewne wiele ze swojej ważności, gdy się nie musi pokonywać oporu dialektu (do czego mi jeszcze dość daleko). Problem w tym by język był odbierany bardziej jako forma wewnętrzna rzeczy, niż jako ich zewnętrzna inkrustacja.

Barok jest u Włochów widzeniem naturalnym, trudniej sobie wyobrazić włoskie „opowieści gotyckie". A może i u Polaków? Jeśli to prawda że jesteśmy narodem barokowym, wolno oczekiwać dnia w którym ze wszystkimi różnicami doświadczeń powstanie polski *pasticciaccio* czyli „bigosik".

29 sierpnia

W intencjach organizatorów proces Jakira i Krasina miał być ostatnim, pokazowym gwoździem do trumny ruchu dysydenckiego w Rosji. Wystąpienia Sacharowa i Sołżenicyna, w których nie wiadomo co budzi większy podziw: mądrość czy odwaga, rozwaliły scenariusz żałosnego spektaklu. Łudzę się sądząc, że nie potrafimy dziś w pełni ocenić ich ogromnego znaczenia? Doprowadzeni do furii organizatorzy ośmielą się teraz rzucić na Sacharowa i Sołżenicyna?

31 sierpnia

Cholera szaleje w Neapolu i okolicach. Rozsadnikiem są, zdaje się, mule. Morze w agonii uderzyło martwiejącą falą. Gazety odgrzebują precedensy: w roku 1837 umarło na cholerę dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców Neapolu, w roku 1884 siedem tysięcy, w roku 1911 osiemnaście tysięcy, podczas pierwszej wojny światowej przebieg epidemii był względnie łagodny. Zaostrzają się poszlaki, że wtargnięcie bakcyla ukrywano przez trzy dni z uwagi na sezon turystyczny: jak w *Śmierci w Wenecji.* Kto, znając dobrze nasze zakłamane folklorystycznie miasto, słyszy słowa „cholera w Neapolu", czuje nagłe cierpnienie skóry: nie na dźwięk słowa „cholera"; na dźwięk słowa „Neapol". W moim dzienniku sporo jest śladów tej zgrozy (na zapas), wśród neapolitańskich przyjaciół zdobyłem sobie od dawna opinię kraczącego przed szkodą maniaka.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Dzwony w zimie

Kiedy jechałem zza gór Siedmiogrodu
Przez bory, puszcze, karpatne zwaliska,
I raz pod wieczór, stanąwszy u brodu
(Żem był wysłany sam od towarzystwa
Dla dróg szukania), puściłem na trawę
Konia mojego i dobyłem z troków
Księgę Przymierza, to tak mi łaskawe
Zdały się zorze i szumy potoków,
Że schylonemu nad Listy Pawłowe
I pierwszą gwiazdę w niebie widzącemu
Sen mocny zwolna ukołysał głowę.

Młodzieniec w greckiej bogatej odzieży
Ramienia mego dotknął i powiadał:
„Czas dla śmiertelnych jako woda bieży,
Jam jego otchłań aż do dna przebadał.
Mnie to w Koryncie srogi Paweł gromił
Za to że ojcu memu żonę wziąłem.
Mnie to na zawsze wieczerzać zabronił
Pospólnie z nimi za braterskim stołem.
Odtąd nie byłem w świętych zgromadzeniu
I grzeszna miłość wiodła mnie przez lata
Do biednej łątki wydanej skuszeniu
Aby się wieczna spełniła zatrata.
Ale mnie wyrwał z prochu błyskawicą
Pan mój i Bóg mój, którego nie znałem.
Za nic się jemu wasze prawdy liczą.
On miłosierdzie ma nad wszystkiém ciałem".

Pod wielkim niebem gwiaździstym ockniony,

Niespodziewanej doznawszy pomocy,
Zbywając troski o żywot nasz płony,
Chustką wytarłem zwilgłe od łez oczy.

Nie jeździłem do Siedmiogrodu.
Nie wiozłem stamtąd posłań mojemu zborowi.
Ale mógłbym był.
Jest to ćwiczenie stylistyczne.
Zaprzeszły czas
Krajów niedokonanych.

Natomiast co opowiem teraz nie będzie zmyślone.
Uliczka, prawie na wprost uniwersytetu
Rzeczywiście nazywała się tak: Zaułek Literacki.
Na rogu księgarnia, ale nie tomy, szpargały,
Ciasno, aż do sufitu. Nieoprawne, sznurkiem związane,
I druk i pismo, łacinka, cyrylica,
Hebrajskie litery. Sprzed stu, trzystu lat.
Dzisiaj myślę, że to była nielada fortuna.
Z tej księgarni widziało się tuż naprzeciwko
Trochę na ukos, drugą taką samą.
I właściciele podobni: wyblakłe brody,
Długie chałaty, zaczerwienione powieki.
Nie zmienili się od roku kiedy przejeżdżał tędy Napoleon.
Nic nie zmieniło się tutaj. Przywilej kamieni?
Zawsze są, bo tak lubią. Za drugą księgarnią
Zakręca się wzdłuż muru i mija się dom
W którym poeta, sławny w naszym mieście,
Pisał opowieść o księżnej imieniem Grażyna.
Tuż obok brama, drewniana, nabijana ćwiekami,
Ogromnymi, wielkości pięści. Pod sklepieniem na prawo
Schody pachnące farbą i tam mieszkam.
Nie żebym sam wybierał Zaułek Literacki.
Złożyło się, był pokój do wynajęcia,
Niski, z oknem w wykuszu, z szerokim dębowym łożem,
I piec dobrze grzał tej surowej zimy
Trawiąc polana, które przynosiła z sieni
Stara służąca, Alżbieta.

Zdawałoby się, nie widać powodu,
Skoro odjechałem znacznie dalej
Niż jakiekolwiek drogi przez góry i lasy,
Żeby tutaj przypominać tamten pokój.

Należę jednak do tych którzy wierzą w *apokatastasis*.

Słowo to przyobiecuje ruch odwrotny,
Nie ten co zastygł w *katastasis,*
I pojawia się w Aktach Apostolskich, 3, 21.

Znaczy: przywrócenie. Tak wierzyli święty Grzegorz z Nyssy,
Johannes Scotus Erigena, Ruysbroeck i William Blake.

Każda rzecz ma więc dla mnie podwójne trwanie.
I w czasie i kiedy czasu już nie będzie.

Jeden zatem poranek. Bierze ostry mróz.
Mży chłodem. W tej sennej szarej mgle
Nasyca się obszar powietrza światłem purpurowym,
Różowieją zwały śniegu, jezdnie wyślizgane płozą,
Dymy, kłęby pary. Saneczki dzyń-dzyń
To bliżej, to dalej. Włochatym konikom
Szerść oszroniała, każdy włos osobno.
A wtedy dzwony. U Świętego Jana,
U Bernardynów, u Świętego Kaźmierza,
I w Katedrze i u Misjonarzy,
U Świętego Jerzego, u Dominikanów,
U Świętego Mikołaja, u Świętego Jakuba.
Dużo dzwonów. Jakby ręce ciągnąc za sznury
Uroczysty gmach nad miastem budowały.

Żeby szła owinięta chustką na ranną mszę Alżbieta.

Długo pewnie myślałem o życiu Alżbiety.
Mógłbym policzyć lata. Ale wolę nie.
Cóż lata, jeżeli widzę śnieg i jej buciki,
Śmieszne, spiczaste, zapinane z boku.
A ja ten sam, choć zaczyna się i kończy się
Pycha ciała.

Znowu dmą w złote trąbki tłustawe anioły.
A przygarbionego księdza w ornacie
Porównałbym dzisiaj do skarabeusza
Z egipskiego działu w muzeum Louvre'u.

Siostra nasza Alżbieta w świętych obcowaniu —
Czarownic pławionych i łamanych kołem
Pod wizerunkiem nadobłocznej Trójcy
Aż przyznawały się, że co noc zmieniają się w sroki,
Dziewek służebnych ku pańskiej zabawie,
Żon którym posyłano list rozwodny,

Matek z paczką pod murem —
Paznokciem z czarną obwódką wzdłuż liter prowadzi,
Kiedy przewodnik chóru, ofiarnik, lewita
Wchodząc na stopnie śpiewa: *Introibo ad altare Dei.*
Ad Deum qui laetificat juventutem meam.
Prie Dievo kurs linksmina mano jaunystę.
Mano jaunystė.
Moja młodość.
Jak długo w obrzędzie
Chwieję kadzielnicą i wzbija się dym
Tych moich słów.
Jak długo podnoszę głos w prośbie:
Memento etiam, Domine, famulorum, famularumque tuarum
Qui nos praecesserunt.
Kurie pirma musų nuėjo.

Jaki dziś mamy rok? Zapamiętać łatwo.
Jest to rok kiedy eukaliptusowe lasy wymarzły na naszych górach
I każdy mógł darmo zaopatrzyć się w drzewo do kominka
Na sezon deszczów i sztormów od morza.
Rano cięliśmy kłody łańcuchową piłą,
Silny, drapieżny to karzeł, rwący w trzasku i smrodzie spalin.
Nisko pod nami zatoka, igrające słońce,
I wieże San Francisco za rdzawym oparem.

Ze mną nieskłonna przebaczać, ta sama świadomość.

Może tylko podziw uratuje mnie.

Gdyby nie on, nie odważyłbym się wymawiać zaklęcia proroków:

„Cokolwiek może być Stworzone, może być Unicestwione; nigdy Formy.
Dąb pada od Siekiery, Baranek ginie od Noża,
Ale Formy ich Wieczne Istnieją na zawsze. Amen. Alleluja"*.

„Gdyż Bóg sam zawsze wchodzi w Bramę Śmierci z tymi co tam wchodzą
I kładzie się w Grobie z nimi, razem z Wizjami Wieczności,
Aż przebudzą się & zobaczą Jezusa & Lniane Szaty leżące
Które utkały dla nich Kobiety & Bramę do Domu Ojca"**.

A gdyby miasto, tam w dole, zgorzało

* Z Williama Blake.
** Z Williama Blake.

I zgorzały miasta wszystkich kontynentów
Nie powiedziałbym, ustami popiołu, że niesprawiedliwie.

Bo żyliśmy pod Sądem, nic nie wiedząc o tym.

Który to Sąd zaczął się w roku tysiąc siedemset pięćdziesiątym siódmym,
Choć nie na pewno, może w którymś innym.
Dopełni się w szóstym millenium albo w następny wtorek.
Nagle umilknie warsztat demiurga. Nie do wyobrażenia cisza.
I forma pojedynczego ziarna wróci w chwale.
Sądzony byłem za rozpacz, bo nie mogłem tego zrozumieć.

Czesław MIŁOSZ

LEBENSTEIN

16 nowych litografii
Format: 50 cm. × 70 cm.
Cena każdej F. 250 ($ 60; £ 25)

Wydawnictwa:

LEBENSTEIN ET LES SIENS (1972)
8 litografii oryginalnych
z tekstem włoskim i francuskim
Elverio Maurizi.
Cena egzemplarza: F. 250 ($ 60; £ 25).

CINQUANTE ANS DE POESIE D'EUGENIO MONTALE (1972)
10 litografii oryginalnych.
Cena egzemplarza: F. 1.200 ($ 300; £ 110).

Do nabycia w:

GALERIE LAMBERT
14, RUE SAINT-LOUIS-EN-L'ILE
75004 - PARIS

Archiwum polityczne

Milczenie nie jest złotem

W dniu 3 września br. telewizja brytyjska nadała godzinny reportaż z Kijowa. W owym czasie w stolicy Ukrainy przebywała księżniczka Anna, która brała udział w jeździeckich mistrzostwach Europy.

Reportaż był interesujący. Pokazano życie przeciętnego kijowianina a więc pracę w fabrykach, obóz letni dla dzieci, uroczystości cywilnego ślubu i cywilnego „chrztu", metro, zakupy w wielkich magazynach żywnościowych, prywatne mieszkania itd., itp. Wszystko zorganizowane przez państwo od kolebki do grobu. Nawet wyścigi rysaków (kłusaków) są upaństwowione. Dżokeje są urzędnikami państwowymi a konie stanowią własność państwa.

Życie jest powolne, uporządkowane — ludzie schludni, zdyscyplinowani — chciałoby się powiedzieć zautomatyzowani. Całość zatopiona jest w bezbrzeżnej, małomieszczańskiej nudzie. To nie jest polska leniwa, sierpniowa miejska nuda. Atmosferę Kijowa stanowi pasywna bierność — nuda upaństwowiona — instytucjonalna.

Lecz nie o tym chciałem pisać. Uderzyło mnie, że w reportażu trwającym pełną godzinę — nie padło ani jedno zdanie w języku ukraińskim. Wszyscy mówili po rosyjsku a komentator brytyjski nazwał Kijów „matką miast rosyjskich".

Trudno winić młodego komentatora brytyjskiego, ponieważ zarówno on jak i jego ekipa filmowa otoczeni byli zewsząd fachowymi doradcami sowieckimi. Pomijam fakt, że Brytyjczycy nie umieliby rozróżnić ukraińskiego od rosyjskiego.

Na Zachodzie mówimy, że „wszystko zależy od punktu widzenia". W orbicie sowieckiej wszystko zależy również od punktu widzenia lecz punkt widzenia jest upaństwowiony.

Weźmy inny przykład upaństwowionego punktu widzenia.

Piszemy do znudzenia o tzw. „odprężeniu". Pisano na ten temat tyle razy, że publicysta waha się użyć tego słowa, by nie

odstraszyć Czytelnika. Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że Sowiety nadają terminowi „odprężenie" inny sens niż my. Lecz dopiero w pierwszej dekadzie września br. Sowiety ujawniły jasno i otwarcie swój pogląd na ten problem.

Wnioskując logicznie w oparciu o fakty i statystyki należy stwierdzić, że jesteśmy przez Sowiety zagrożeni. Czy zagrożenie i odprężenie to są synonimy? Wydaje się, że to nie są synonimy choć — jak wykażę poniżej — sprawa zależy od... punktu widzenia.

Na Zachodzie wnioskujemy, że zagrożenie musi zniknąć by jego miejsce mogło zająć odprężenie. Wszystkie rozmowy na temat wzajemnej i „zbalansowanej" redukcji sił zbrojnych — miały na celu umniejszenie zagrożenia co jest nieodzownym warunkiem poprawy stosunków czyli tzw. „odprężenia".

Okazuje się jednak, że sowiecki punkt widzenia na te sprawy jest całkowicie odmienny od burżuazyjnej logiki politycznej. Sowiety uważają, że zagrożenie jest synonimem odprężenia. Wniosek stąd, że bez zagrożenia nie może być odprężenia.

Jak wiemy, na skutek nacisku Sowietów, nie mówi się już dłużej o „zbalansowanej" redukcji sił zbrojnych. O żadnej zrównoważonej redukcji nie może być mowy, ponieważ nie równowaga lecz przewaga bloku sowieckiego zapewnić może „odprężenie". A czyż nie chcemy odprężenia?

Zarówno partyjna prasa węgierska jak i partyjne organy czechosłowackie w pierwszych dniach września br. z całą otwartością stwierdziły, że tylko dzięki temu, że państwa Paktu Warszawskiego osiągnęły znaczną przewagę militarną nad Zachodnią Europą — „odprężenie" stało się propozycją realną. Przedstawiciel czechosłowackiego ministerstwa obrony oświadczył dziennikarzom, że państwa Paktu Warszawskiego muszą wzmacniać i rozbudowywać ową przewagę, by zapewnić „odprężeniu" powodzenie i trwałość.

W bloku wschodnim (z wyjątkiem Rumunii) nikt nie wygłasza tego rodzaju poglądów z własnej inicjatywy. W szczególności dotyczy to przedstawicieli ministerstw obrony.

Z punktu widzenia polityki mocarstwa totalnego — przytoczony powyżej pogląd jest logiczny. W koncepcji państwa totalnego tak polityka wewnętrzna jak i zewnętrzna są funkcją strachu. Chaczaturian czy Dawid Ojstrach podpisali akt potępienia prof. Sacharowa ze strachu. Władzom sowieckim nie zależy na tym by Ojstrach myślał identycznie jak szef KGB. Wszyscy wiedzą, że Ojstrach i ludzie jego klasy myślą podobnie jak Sacharow. Lecz triumf aparatu i sprawdzalność jego skuteczności są tym większe — jeżeli KGB może zmusić do konformizmu ludzi o których wiadomo, że konformistami nie są.

Antykonformistów czy dysydentów w Rosji jest wielu. Prawdopodobnie w Rosji jest ich proporcjonalnie znacznie więcej jak w Polsce. Nasilenie terroru wymaga od dysydenta postawy bohaterskiej. Ludzi o poglądach wolnościowych w każdym europejskim społeczeństwie znajdzie się wielu — lecz liczba Palachów w każdej społeczności ludzkiej jest bardzo ograniczona.

Technika terroru stoi dziś tak wysoko, że w wielu wypadkach prawdziwym bohaterom można odebrać ich bohaterstwo. Zastrzykami specjalnych preparatów oraz zabiegami „psychiatrycznymi" — można człowieka przemienić w powolny automat. Operacyjne przecięcie pewnych połączeń nerwowych w mózgu powoduje również nieodwracalną przemianę osobowości pacjenta. Tych metod nie stosuje się masowo — lecz dziś jest rzeczą możliwą nie tylko złamać duchowo i moralnie wybrańców KGB — lecz możliwe jest również odebrać owym wybrańcom ich własną osobowość.

Nie zawsze to jest konieczne. W wielu wypadkach wystarcza szantaż. Jeżeli za cenę przyznania się do „winy" — uwięziony może uratować żonę i dzieci przed zsyłką i poniewierką — bardzo nieliczni odrzucą taką propozycję.

Trzeba więc być bardzo ostrożnym w potępianiu tych, którzy się załamali, przyznali i nawet publicznie opluli własną działalność.

Bohater zdoła zwycięsko znieść „staroświeckie" tortury i nie ugnie się na skutek fizycznego bólu. Lecz nikt nie jest w stanie przeciwstawić się działaniu preparatów chemicznych — tym mniej efektom neuro-chirurgii.

Odebranie autentycznemu bohaterowi jego bohaterstwa i przeistoczenie go w kanalię, którą on nigdy nie był — stanowi najpotworniejszą zbrodnię jaką wymyślił człowiek w XX wieku. Jeżeli są krzywdy wołające o pomstę do nieba to to jest jedna z nich.

W dniu 8 września br. prof. Sacharow powiedział zebranym dziennikarzom reprezentującym prasę zachodnią w Moskwie, że psychiatrzy zachodniej Europy, którzy mają przybyć na zjazd naukowy do Związku Sowieckiego — winni domagać się prawa odwiedzenia i zbadania politycznych dysydentów, którzy przebywają w zakładach dla umysłowo chorych. Prof. Sacharow oświadczył, że dwunastu wybitnych intelektualistów znajduje się w zamkniętych zakładach psychiatrycznych i dodał, że wielu z nich poddaje się przymusowemu „liczeniu" preparatami chemicznymi, które powodują nieodwracalne zmiany w tkance mózgowej.

Na kilka dni przed cytowaną powyżej wypowiedzią prof. Sacharowa, jeden z brytyjskich psychiatrów — który niedawno odwiedził Moskwę — oświadczył w wywiadzie w BBC, że w żadnym z zakładów psychiatrycznych, które odwiedzał w Moskwie nie spotkał politycznych dysydentów. Dodał również, że pogłoski w tej sprawie rozgłaszane na Zachodzie nie wydają się przekonywujące ani należycie udokumentowane. BBC zaprosiło tego samego dnia poważnego brytyjskiego sowietologa, który przytoczył szereg udokumentowanych relacji w sprawie zamykania w Sowietach dysydentów w zakładach dla umysłowo chorych.

Zacytowałem powyższy przykład, ponieważ jest typowy dla pewnej — niestety dość licznej kategorii ludzi. Łatwiej jest niczego nie sprawdzać a relacje odrzucić jako nienależycie udo-

kumentowane, niż przyznać przed samym sobą, że w jednej z europejskich stolic dokonuje się zbrodni przeciwko ludzkości dla których trudno znaleźć analogię w dziejach naszego kontynentu.

Nie tylko w Niemczech hitlerowskich tysiące ludzi zatykało uszy odrzucając „pogłoski" o obozach zagłady jako relacje niedostatecznie udokumentowane. Na Zachodzie tysiące ludzi opierało się również uwierzeniu, że Hitler realizuje systematycznie wytracenie 6 milionów Żydów europejskich.

Oczywiście nie należy dawać wiary plotkom czy przyjmować bezkrytycznie relacji pozbawionych podstaw i dowodów. Lecz tam gdzie istnieją wiarygodne relacje i udokumentowane dowody jest moralnym tchórzostwem odmawiać wiary w fakty, które zakłócają spokój naszego sumienia. Jest niewątpliwie przyjemniej i wygodniej wierzyć, że nawet w Rosji wszystko idzie ku lepszemu, że opozycja, choć nie uznawana, jest jednak tolerowana.

Lecz to nie jest jeszcze wszystko co należy powiedzieć w tej sprawie. Przeciętny człowiek Zachodu rozumuje następująco. Wojna przy dzisiejszym stanie technologii byłaby nie tylko nieszczęściem lecz kataklizmem. „Odprężenie" jest konieczne, by owego kataklizmu uniknąć. W tym miejscu tego prostego rozumowania rozpoczyna się „rosyjskie błędne koło", z którego człowiekowi zachodniemu jest niezmiernie trudno wybrnąć.

Jest oczywiste, że tacy Rosjanie jak Sacharow czy Sołżenicyn to są ludzie, którzy myślą podobnie jak my na Zachodzie. Jeżeli nawet istnieją różnice pomiędzy nimi a nami — to przecież nie różnimy się w fundamentalnych sprawach jak Prawa Człowieka i Obywatela. Innymi słowy, ludzie za których mówią Sacharow czy Sołżenicyn — to są ci Rosjanie z którymi odprężenie byłoby możliwe. Czy mamy ich rzucić na pożarcie tym Rosjanom z którymi odprężenie *de facto* nie jest możliwe?

Istnieje jeszcze inny aspekt tego zagadnienia. Nadzieja ludzkości, że pokój zostanie utrzymany opiera się na przesłance, że garstka przywódców na Kremlu i w Białym Domu — w okresach kryzysu, których w polityce uniknąć nie można — wykaże stopień odpowiedzialności wynikający z poczucia moralnego a nie ze strachu.

W przeszłości lęk okazał się niedostatecznym hamulcem. Lęk nie powstrzymał przywódców Rzeszy hitlerowskiej przed ludobójstwem, przed zatapianiem nieuzbrojonych statków pasażerskich, przed masowymi bombardowaniami otwartych miast. Lęk nie stanowi namiastki moralności.

Nie mam na myśli moralności w górnolotnym tego słowa znaczeniu. Nie proponuję nawracania marksistów na chrześcijaństwo ani objęcia Rosji akcją „moralnego uzbrojenia" — ponieważ nie jestem ani członkiem ani propagatorem ruchu o tej nazwie. W tym wypadku chodzi o minimum rzetelności umożliwiającej zaufanie.

Przywódcy na Kremlu mają w swojej dyspozycji 20 razy więcej bomb nuklearnych niż wynosi konieczne minimum potrzebne do zlikwidowania życia na tej planecie. To co określamy terminem „pokój" w roku 1973 — jest w gruncie rzeczy zaufaniem i nadzieją, że przywódcy sowieccy nie zrealizują swoich możliwości. Na czym opieramy ową nadzieję?

Nasza wyobraźnia podszeptuje nam, że wojna atomowa byłaby kataklizmem. Dla młodego człowieka upojonego szybkością własnego samochodu — wizja złamania karku jest zbyt straszna i zbyt wybiegająca poza normalny porządek rzeczy, by należało ją rozpatrywać. Połamane karki, ręce i nogi — to jest statystyka. A statystyka to są zawsze „inni ludzie" a nie my.

Życie na ziemi jest pasmem najeżonym niebezpieczeństwami i kończy się nieodmiennie biologiczną klęską to znaczy śmiercią. Wszyscy o tym wiemy lecz ekran wyobraźni ludzkiej w tej dziedzinie pozostaje nieuaktywniony i dzięki temu tworzyliśmy kolejne cywilizacje wykazując zdumiewającą zdolność adaptacji najpierw do otoczenia naturalnego a później do otoczenia sztucznego, które stworzyliśmy sami.

Nieaktywność wyobraźni stanowi niewątpliwie ważny element mechanizmu adaptacji i ów mechanizm umożliwił nam osiągnięcie wyjątkowego w przyrodze wyżu ewolucyjnego — pomimo, że każdy z nas skazany jest nieodwołalnie na chorobę, starość i śmierć.

Byłoby wręcz kosmiczną ironią losu gdyby ów geniusz adaptacji cechujący człowieka — obrócił się przeciwko ludzkości, skłaniając nas do adaptacji w stosunku do układu do którego adaptować się nie wolno.

Do tej pory w okresach wojen ginęły pułki a nawet armie, lecz nie narody. Adaptowaliśmy się do wojen jako do zjawiska historycznego, ponieważ w okresie wojen ginęły miliony ludzi lecz nie cywilizacje.

Obecnie sytuacja uległa zmianie. Sowiety posiadają technologiczne możliwości likwidacji całych narodów i potencjalnie są w możności obrócić w radioaktywną pustynię nie tylko miasta lecz całe kontynenty. To jest sytuacja, która nie mieści się w ramach choćby najbardziej burzliwego procesu historycznego i dlatego nie możemy się do tej sytuacji zaadaptować. Można i należy się zaadaptować do własnej śmierci, do wymierania pokoleń — lecz nie możemy współżyć z wizją kataklizmu, który stanowiłby koniec naturalnego procesu cywilizacyjnego. Gdybyśmy oswoili się z tą wizją — oznaczałoby to, że fenomenalna zdolność adaptacji, której wszystko zawdzięczamy — obróciła się przeciwko nam.

Lecz niniejszy artykuł nie jest poświęcony wojnie nuklearnej. Chciałem tylko uwypuklić fakt, że o ile w przeszłości a-moralność tyranów stanowiła tylko „prywatne" nieszczęście danego narodu — o tyle dziś a-moralność tyranów, którzy dysponują broniami nuklearnymi — stanowi zagrożenie dla całego świata.

Politycy, którzy łamią elementarne prawa człowieka, którzy dysydentów politycznych zamykają w szpitalach dla umysłowo chorych — nie dają żadnej gwarancji, że w okresie poważnego kryzysu międzynarodowego nie sięgną po bronie atomowe.

Gdyby Rosją rządzili ludzie o kulturalno-humanistycznych poglądach Sołżenicyna czy prof. Sacharowa — można by uznać za pewne, że Rosja nie zdetonuje wojny atomowej ani przeciwko Zachodowi ani przeciwko Chinom. Natomiast byłoby bezbrzeżną naiwnością przypuszczać, że prześladowcy Sołżenicyna i Sacharowa nie podepczą wszystkich umów i konwencji narodowych jeżeli w danej sytuacji uznają to za politycznie sposobne.

Stając po stronie Sołżenicyna i Sacharowa (nazwisk tych używam jako symboli) — czynimy to nie tylko w imię wzniosłych ideałów lecz przede wszystkim w imię naszego bezpieczeństwa, które zależy bezpośrednio od odpowiedzi na pytanie: kto rządzi Rosją? Dopóki rządzą Rosją ludzie, którzy pojmują władzę totalnie i a-moralnie dopóty pokój świata wisieć będzie na włosku.

◆

Suwerenność w dobie współczesnej nie może oznaczać licencji do popełniania bezprawia w ramach danego państwa. Do władz państwowych, które popełniają bezprawie w polityce wewnętrznej nie można mieć zaufania, że nie będą popełniały bezprawia w polityce zagranicznej. Pomiędzy sowieckim najazdem na Czechosłowację w roku 1968 a prześladowaniem dysydentów wewnątrz Rosji — istnieje ścisły związek. To są dwie strony tego samego medalu. Państwo, które przestrzegałoby podstawowych praw człowieka w stosunku do własnych obywateli — nie dokonałoby napadu na Czechosłowację. Państwo, które nie reżyseruje fałszywych procesów w odniesieniu do własnych obywateli — nie podejmowałoby *per procura* fałszywych procesów w stosunku do przywódców i pisarzy czechosłowackich.

To jest punkt, w mojej opinii, niezmiernie istotny, który jest uporczywie przemilczany przez polityków i prasę zachodnią. Naiwne, pobożne życzenia każą politykom Zachodu wierzyć, względnie udawać, że wierzą — że Sowiety mogą łamać wszystkie prawa boskie i ludzkie na wewnątrz i równocześnie zachowywać się wzorowo i cywilizowanie na zewnątrz. Mało tego — Sowiety są tak „cudowne", że mogą w Moskwie urządzać sabaty czarownic i równocześnie prowadzić w stosunku do Zachodu politykę „odprężenia" i „wymianę ludzi i idei".

Przykładów owej naiwności Zachodu można by przytoczyć wiele — lecz niewątpliwie palma pierwszeństwa w tej sprawie należy się twórcy *Ost-Politik* Kanclerzowi Brandtowi. Na konferencji prasowej w Bonn w dniu 12 września bież. roku Brandt oświadczył, że szukałby zbliżenia z Rosją nawet gdyby dziś żył jeszcze Stalin. Zgodnie i konsekwentnie z tą postawą kanclerz na zapytanie dziennikarzy oświadczył, że jako laureat pokojowej

nagrody Nobla nie zamierza zaproponować jako kandydata do tej nagrody prof. Sacharowa.

Wydaje mi się, że kanclerz Brandt — choć zapewne nie zdawał sobie z tego sprawy — wypowiedział tzw. „historyczne słowa", które mu będą przypominane i wypominane przez długie lata.

Nieszczęsnego prezydenta Allende zgłosiło do nagrody Nobla pięciu zachodnich laureatów tej nagrody. Do chwili gdy piszę te słowa prof. Sacharowa zgłosił tylko Sołżenicyn. Tchórzostwo i lizusostwo znacznego procentu intelektualistów Zachodu muszą budzić zdumienie i pogardę. Tym razem to jest coś więcej niż „zdrada klerków".

Wszystkie zasadnicze przemiany nie powstają z inicjatyw rządów tylko z inicjatyw ludzi. Na Zachodzie jesteśmy tak zapatrzeni w Amerykę, że wydaje się nam, że systemowi demokratycznemu nic nie zagraża, ponieważ stoi za nim największa potęga świata. W rzeczywistości jednak demokracje stanowią zagrożoną mniejszość. Związek Sowiecki, Chiny, Ameryka Łacińska i większość państw afrykańskich z demokracją nie mają nic wspólnego.

Fundamentem naszej cywilizacji — której jednym z owoców jest system demokratyczny — są podstawowe prawa człowieka i obywatela. To są prawa uniwersalne, które winny być bronione wszędzie i przez wszystkich jeżeli ludzkość ma przetrwać.

Nauka dała światu współczesną technologię — lecz nauka na ogół przyjmuje postawę Piłata w konfrontacji z problemami moralnymi. Sprawy jednak zaszły zbyt daleko i uczeni winni zdać sobie sprawę, że nauka w wolnej resztówce naszego globu — nie może zachować postawy neutralnej w stosunku do tego co dzieje się w Sowietach. W przeciwnym wypadku sprawdzi się straszliwa przepowiednia Sołżenicyna, że obraz dzisiejszej Rosji jest projekcją przyszłości całego świata.

Kilku brytyjskich uczonych zrzekło się na znak protestu honorowego członkostwa sowieckiej Akademii Nauk. Lecz to wszystko jest mało. Świat naukowy, podobnie jak kościoły chrześcijańskie — dyplomatyzują. Zarówno świat naukowy jak kościoły uprawiają swoje *Ostpolitik*, które — jak wszystkie *Ostpolitik* opierają się na założeniu, że można więcej uczynić jednostronnym „odprężeniem" niż protestem.

Dominik Morawski we wrześniowym numerze naszego miesięcznika pisał: „kościół w Kraju bije szczególnie na alarm z powodu zagrożenia wiary przez propagowany ateizm, ale zagrożenie to widzi po raz pierwszy jako część składową zamachu na swobody obywatelskie w ogóle".

Kościół do tej pory nie rozumie, że prawo wyznawania i nauczania religii jest częścią praw człowieka i tam gdzie podstawowe prawa ludzkie są zdławione jest naiwnością przypuszczać, że dla religii zostanie uczyniony wyjątek.

Z punktu widzenia państwowego religia jest określonym systemem filozoficzno-moralnym. Choć teologom trudno dopatrzeć się związku pomiędzy religią a pismami czołowych pisarzy świa-

ta — ich książki prześladuje się identycznie z tych samych przyczyn, dla których prześladuje się religię. Prześladuje się bowiem wszystko co nie jest zgodne z tzw. marksizmem-leninizmem. Wtedy, kiedy w Polsce wolno będzie czytać swobodnie ich dzieła wówczas i wyznania religijne korzystać będą z pełnej swobody.

Przez długie lata kościół katolicki w różnych państwach Europy był religią państwową. Wówczas z ambon padały gromy na socjalistów i liberałów. W szkołach istniał przymus nauczania religii tak jak dziś istnieje w PRL przymus nauczania podstaw marksizmu-leninizmu. W tych czasach kościół nie pytał się czy rodzice życzą sobie czy nie życzą by ich dzieci były indoktrynowane i wychowywane w określonym systemie religijnym.

Choć nie jestem ortodoksyjnym katolikiem jestem szczęśliwy, że w latach formatywnych w szkole średniej zostałem wychowany w zasadach i poglądzie chrześcijańskim. W mojej ocenie chrześcijaństwa niczym nie można zastąpić. Niemniej uważam, że przymus nauczania religii katolickiej w szkole był takim samym zamachem na kardynalne swobody obywatelskie jak przymus nauczania marksizmu-leninizmu. Żadna religia nie może być „cesarska" ponieważ wówczas przemienia się w państwową ideologię.

Kościoły chrześcijańskie, a w szczególności kościół katolicki, powinny stanąć twardo i otwarcie w obronie tych wszystkich, którzy walczą o kardynalne prawa człowieka. Nie wiem czy Sacharow jest człowiekiem religijnym — niemniej walcząc o swobody obywatelskie siłą rzeczy walczy równocześnie o swobodę kultu religijnego. Kościół powinien głośno i dobitnie piętnować wszystkie pogwałcenia podstawowych praw człowieka, ponieważ każdy zamach na wolną myśl jest również zamachem na swobodę kultu religijnego.

Kościół występując twardo w obronie wolności jednostki nie ma niczego do stracenia prócz własnej obłudy i naiwnej *Ostpolitik*. Dawniej kościół mógł się opierać na konkordatach i przywilejach przyznawanych przez cesarzy i królów. Lecz to wszystko dawno się skończyło. O ile jednak na wewnątrz kościół jest zbyt nowoczesny i postępowy — o tyle na zewnątrz usiłuje po dawnemu układać się z możnymi tego świata ponad głowami milionowych rzesz pozbawionych elementarnych praw i swobód.

Faryzeuszostwo kościoła rzymskiego polega na tym, że gotów jest zawsze sprzymierzyć się z władzą państwową przeciwko myśli niezależnej i liberalnej pod warunkiem, że doktryna katolicka korzystać będzie z pełni swobody i przywilejów. Słusznie zauważyła Róża Luxemburg, że wolność oznacza zawsze wolność dla innych. Kościół nigdy nie był za wolnością, ponieważ nie pragnął wolności dla innych, tylko zawsze domagał się wolności wyłącznie dla siebie. Dzięki tej tradycji kościół jest nie przygotowany do walki z sowietyzmem — bo jeszcze nie zrozumiał, że wolność dla innych jest niezbędnym warunkiem wolności dla wszystkich z kościołem rzymskim włącznie.

W moim przekonaniu walkę o poszanowanie praw człowieka w bloku sowieckim powinny podjąć dwie opinio-twórcze potęgi wolnego świata tj. kościoły chrześcijańskie i zorganizowana nauka. Te dwie potęgi podejmując otwartą walkę o przywrócenie praw ludzkich gwałconych w bloku wschodnim — w rzeczywistości podjęłyby walkę o swoje własne istnienie. Politycy, instytucje państwowe, gigantyczne biurokracje — istnieć mogą w każdym ustroju. Lecz kościoły chrześcijańskie i nauka w rzetelnym tego słowa znaczeniu — istnieć mogą tylko w cywilizowanym świecie. Jest rzeczą zdumiewającą jak kościoły chrześcijański i zorganizowana nauka — nie zdają sobie sprawy z wymiarów zagrożenia.

W chwili gdy piszę te słowa prasa podała wiadomość, że przewodniczący „Amnesty International" — wyjeżdża do Moskwy, by przedyskutować z władzami sowieckimi problem politycznych dysydentów, a w szczególności sytuację prof. Sacharowa. Lecz jak podkreśliłem to uprzednio — to jest za mało. Uniwersytety, instytucje i stowarzyszenia naukowe — z których wiele, jak Royal Society, cieszą się ogromnym prestiżem w całym świecie, powinny wyłonić międzynarodowy komitet, którego celem byłaby obrona praw człowieka i obywatela. Komitet tego typu reprezentujący setki instytucji naukowych stanowiłby potężną grupę nacisku i mógłby zagrodzić Sowietom dostęp do technologii zachodniej, gdyby Kreml kontynuował nadal swoją politykę represji w stosunku do politycznych dysydentów. Celem proponowanego komitetu byłoby przekonać Rosjan — nie manifestami i deklaracjami — lecz posunięciami praktycznymi, że mogą liczyć na współpracę z Zachodem tylko za cenę zaakceptowania podstawowych zasad naszej cywilizacji.

Kościoły chrześcijańskie i zachodni świat naukowy — mają daleko większe możliwości w tej dziedzinie niż rządy. Sowiety mogą zawsze powiedzieć europejskim czy amerykańskim politykom: „nie podoba się wam, że nasze wojska stacjonują w Polsce, w Czechosłowacji czy w NRD — to spróbujcie nas wyrzucić". Nie ma odpowiedzi na tego typu oświadczenie i dlatego tego tematu się nie porusza. Natomiast zorganizowani naukowcy Zachodu mogliby sparaliżować współpracę i wymianę z Sowietami w dziedzinach technologicznych i w znacznej mierze w dziedzinie gospodarczej.

Kompromitująco mały procent naukowców zachodnich protestował publicznie w sprawie prof. Sacharowa. Dlaczego? Istnieje fałszywy mit, że nauka powinna być politycznie neutralna. Ów mit sankcjonuje oportunistyczną postawę niezaangażowania. *Nobody wants to be involved* — jak mówią Anglicy. Wygodniej jest twierdzić, że się nikogo nie widziało i niczego nie słyszało niż stanąć w sądzie by dać świadectwo prawdzie w obronie pokrzywdzonego.

Milczenie nie zawsze jest złotem. Najczęściej jest tchórzostwem dyktowanym oportunizmem.

Dla tych, którzy mają odwagę spojrzeć prawdzie w oczy — sprawa jest jasna. Jak nie obronimy naszego dobrobytu godząc się na nędzę dwóch trzecich ludności świata — tak nie obronimy również naszej demokracji godząc się biernie na gwałcenie praw człowieka w krajach objętych systemem komunistycznym.

Obliczono, że pies w Anglii w przeciągu tygodnia spożywa więcej protein niż mieszkaniec Indii w przeciągu trzech miesięcy. Tylko szaleniec może powyższą sytuację uważać za „normalny stan rzeczy" — za *status quo*, którego należy bronić.

Naszą komunikacyjną technologią przekształciliśmy świat w system połączonych naczyń. W tym systemie, którego nie można już „odrobić" — poziomy muszą być wyrównane jeżeli pragniemy zachować pokój.

Europejska Wspólnota Gospodarcza i Stany Zjednoczone stanowią zgrupowanie około 500 milionów ludzi żyjących w luksusie tak materialnym jak i duchowym. Konsumujemy niemal 70 % wysoko wartościowej żywności świata i zagarnęliśmy dla siebie 90 % wolności dostępnej człowiekowi na tej planecie. Musimy dzielić się z setkami milionów, które głodują — choćby za cenę racjonowania żywności w świecie Zachodu i musimy aktywnie walczyć o wolność dla setek milionów odartych z podstawowych praw obywatelskich.

Politycy, którzy jak Nixon i Kissinger wyobrażają sobie, że przy bilionach tranzystorów, tysiącach stacji radiowych i setkach satelitów komunikacyjnych scalających świat w płaszczyźnie informacyjnej, można rządzić narodami „konferencjami na szczycie" czeka wielkie rozczarowanie. Metternichem można było być w epoce dyliżansów, lecz nie w epoce technologii elektronicznej. Obecnie nikt bowiem nie uznaje naszego legitymizmu i naszych „nienaruszalnych praw" do dobrobytu i wolności kosztem nędzy i niewoli setek milionów mniej uprzywilejowanych.

Powtórzmy jeszcze raz. Nauka i kościoły chrześcijańskie winny uderzyć na alarm i starać się przekonać rządy bogatych demokracji Zachodu, że dziś filantropia — czy to w postaci Oxfamu czy to w postaci „Radia Liberty" nie wystarczą. Nasza ślepota i hipokryzja są czymś więcej niż Watergate. Czy i o Europie Zachodniej powiedzą kiedyś słowami Sołżenicyna, który skomentował skandal Watergate: „czegóż można się było spodziewać po demokracji w którą nie wbudowano systemu moralnego?".

Dla nas — ludzi Zachodu — powyższe słowa brzmią pompatycznie. Polityka nigdy nie miała nic wspólnego z moralnością. Lecz wynalazek broni nuklearnej zmienił sytuację. Potencjalnemu absolutowi uniwersalnej zagłady nie można przeciwstawić niczego poza moralnością. Nie uratuje nas równowaga terroru. Ocalić nas może tylko równowaga poziomów moralnych — co oznacza przyjęcie wspólnej definicji krzywdy. Co jest krzywdą w Londynie — musi być uznane również za krzywdę w Moskwie.

Z tych przyczyn problem broni nuklearnych przerasta zakres polityki. Politycy w tej sprawie mogą tylko dojutrkować. Na pytanie jak winniśmy postępować by żyć bezpiecznie i w pokoju dzierżąc w rękach potencjał własnej zagłady — odpowiedzieć winny zorganizowana nauka i zorganizowane chrześcijaństwo. Jak dotąd nauka i chrześcijaństwo dojutrkują, podobnie jak politycy.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Dwa listy z Chile

Santiago de Chile, 4 września 1973

Salvador Isabelino de Sagrado Corazón de Jesùs Allende Gossens (Zbawiciel Elżbietański od Najświętszego Serca Pana Jezusowego, bo takie jego pełne imię) — święci dziś trzy lata rządów. Półmetek jego sześcioletniej kadencji. W Santiago, na ulicach śródmieścia defilują kolumny zwolenników Rządu Jedności Ludowej. A kraj leży na łopatkach.

Całe Chile to jeden wielki ogonek — za chlebem, którego od tygodni nie widziałem, za cukrem, za oliwą, za masłem, za mięsem, za mąką, za mydłem, za proszkiem do prania, za benzyną, za wszystkim. Od Chilijczyków po korpus dyplomatyczny. Wynalazłem sposób przekrawania zapałki na cztery patyczki, bo nie mam nawet kropli benzyny do zapalniczki. Ale cukierków i czekolady — w bród. Ciastek, tudzież tortów.

Ja mieszkam sam i na ogonki nie mam czasu. Dożywiam się jakąś rybą i kolacjami u znajomych. Tam gdzie w domach jest kilka osób łatwiej jest rozdzielić funkcje zdobycia żywności. Nikt więc nie pracuje. Przerzuca się tylko piasek z jednej kupy na drugą, dla fasonu. W powietrzu jedno tylko pytanie — co będzie? Kiedy? Jak? Kto?...

Kraj zbroi się po zęby. Wszyscy patrzą sobie na palce. Fabryki podmiejskie, zorganizowane przez goszystów, otaczają miasto pierścieniem terroru. To samo w *slums*'ach i obozach szkoleniowych gerylasów gotowych do skoku. Z miotaczem płomieni w ręku. Zrównać wszystko z ziemią. Ultralewica, tolerowana i cichaczem popierana przez rząd, jest przeciw Allendemu. Jego

„rewolucji" zarzuca się zbytnią powolność, „dialog" z opozycją chrześcijańskich-demokratów, „rewizjonizm". Wojsko ma prawnie zastrzeżony obowiązek kontroli broni na całym terytorium kraju. Rewizje są coraz częstsze, bo pod bokiem sił zbrojnych, gwarantów konstytucji, wyrasta równoległa siła zaopatrywana w broń z Kuby. Odkrywa się składy broni i amunicji w olbrzymich ilościach. Wszędzie pełno importowanych rewolucjonistów. Z Kuby, z Argentyny, Urugwaju, różnych Hondurasów, nawet ze Stanów i Europy. Nocami strzały i wybuchy. Sabotaże. Zamachy. Zabici i ranni. Dziesięć dni temu zabito w nocy młodego podporucznika szkoły kadetów. Szefem bandy był Meksykańczyk. To już są krople, które wnet chyba przeleją dzban. Struna się przeciąga. Trudno sobie wyobrazić reakcję wojska chilijskiego — jedynego chyba w Ameryce o czystej tradycji stusześćdziesięciu lat niepodległości i niemieszania się do polityki. Wojsko tutaj ma tradycje pruskie, marynarka jest po gentlemańsku angielska, a lotnictwo nonszalancko jankesowskie.

Spore grupy kobiet zbierają się przed ministerstwem obrony narodowej, wiwatują na cześć umundurowanych i domagają się interwencji. Allende ma kilku generałów w rządzie „ocalenia narodowego", ale po to tylko by mieć tych panów z bliska na oku — wiadomo iż sympatie ich są po stronie demokracji. Chilijskiej. Tradycyjnej. Wiedzą co w trawie piszczy. Sekretarz partii socjalistycznej, partii samego prezydenta, daleko bardziej na lewicy niż komuniści, nie raz i od wielu już lat zapowiadał „koniec wojska burżuazyjnego". Kubanizację szeregów. Parę dni temu marynarka wykryła grupę wywrotową pośród własnych szeregów.

W takiej to sytuacji wiemy wszystko i o wszystkim. Nie do wiary, ale jest wolne radio, prasa i telewizja, poza wojskiem jedyny hamulec zapędów totalistycznych obozu rządowego. Allende robi dobrą minę do złej gry, przykręca śrubę gdzie może, szykanuje środki informacji zupełnie bezwstydnie, ale zachowuje równocześnie i pozory. Bo cóż by świat powiedział... Chile miało przecież zaimponować całej kuli ziemskiej własną, chilijską drogą do socjalizmu, rewolucją o zapachu czerwonego wina i pierożków z mięsa i cebuli. *La via chilena hacia el socialismo.* Tylko że już nie ma z czego robić pierożków.

Tydzień temu i ja byłem w opałach. O krok od domu osaczyło mnie czterech panów z rewolwerami w ręku. Nie wiem skąd u mnie tyle zimnej krwi — taki to już zapewne okupacyjny atawizm — dość że nacisnąłem akcelerator à la James Bond, wyskoczyłem zygzakiem wprzód, zdumienie wśród napastników trwało dwie, trzy sekundy, dość że w rezultacie podziurawiony jest samochód, nie ja. *Cosas de todos los dias* — rzeczy codzienne.

20 września 1973

Trzeba było nabrać świeżego powietrza w płuca i odczekać dni chociażby kilka, by w spokoju dodać jeszcze parę słów epilogu. Przesiedziałem przy odbiorniku parę nocy słuchając zagranicznych stacji z całego świata. Słuchać hadko! Dezinformacja i legenda królują na całego. Królują przede wszystkim z Moskwy i Pekinu. Bzdur nie brak nawet i na falach londyńskich i bońskich. Tu i ówdzie jak najwyraźniej stara się tuszować nieprawdopodobne wprost tchórzostwo tych, którzy od trzech lat zapowiadali podpalenie kraju od północy do południa, zapowiadali masowy opór milionów i zgniecenie reakcji i wrogów ludu jednym wielkim uderzeniem rozgniewanego ludu... Tylko że lud nie zgłosił się do walki powalony już od miesięcy walką o nagie życie, o chwilę wytchnienia, o spokój i prawo do... chilijskiego życia. W głębi duszy prosty Chilijczyk zbyt odległy jest od polityki dalekiego świata i zbyt obce są mu pokrzykiwania o akcentach moskiewskich, kubańskich czy pekińskich. Nigdy nie odżegnuje się od konieczności reform, i to jak najbardziej drastycznych. Dał już tego dowody kiedy za sześcioletniego panowania chrześcijańskich demokratów (daleko, ale to daleko bardziej na lewicy niż np. taki Brandt czy laburzyści) uświadomienie społeczne wielkich mas proletariackiego Chile podskoczyło ze sto lat. Tym razem polityka nienawiści klasowej, sztucznego podniecania animozji, otwarte lekceważenie konstytucji, bezmierne sekciarstwo, całkowity brak pluralizmu, tradycyjne niedotrzymywanie solennych obietnic i stałe, stałe i codzienne staczanie się po pochylni wiodącej otwarcie i bezpardonowo do wojny domowej — musiało doprowadzić do tak bardzo nie-chilijskiej reakcji. Siły zbrojne kraju, widząc uzbrajającą się pod ich bokiem konkurencję awanturniczych milicji robotniczych, dopatrzyło się w tym stryczka na własną szyję. W ostatniej chwili — co do tego nie ma złudzeń i wnet chyba dokumentacja to potwierdzi. No i punkt najważniejszy — rząd nigdy nie miał za sobą większości społeczeństwa, nawet w momencie początkowych sukcesów, kiedy szaleńczo zaplanowana gospodarka spowodowała na krótki okres fałszywą *prosperity*. Nigdy w kraju cywilizowanym — a Chile do takich krajów należy — nie było u władzy tylu ludzi wszystkich odcieni lewicy tak przeciętnych i bezradnych z jednej strony, a tak łaknących władzy z drugiej. Trzeba będzie talentów zupełnie nieprzeciętnych by to zatuszować, by móc choć w części zminimalizować wymiar katastrofy. Bo nie wiadomo skąd wyciągnąć na arenę nowych bohaterów, nowych męczenników sprawy. Odbrązowianie rewolucji Salvadora Allendego zaczęło się w dziesięć mi-

nut po jego tragicznej śmierci. Ten eksperyment nie wart był tej śmierci. Znałem prezydenta od dwudziestu lat. Na platformie towarzyskiej, pośród wielu wspólnych znajomych, bywały okresy gdy widywaliśmy się bardzo często. Bywał u mnie w domu. Kiedyś marksistowski socjaldemokrata, antykomunista, antystalinista, wielbiciel titoizmu i jugosłowiańskiej drogi do socjalizmu, człowiek o upodobaniach wielko-burżuazyjnych, sybaryta i *arbiter elegantiarum,* światowiec i znawca pięknych pań, towarzysko nienaganny, parlamentariusz i polemista pierwszej wody, polityk giętki i znawca wszelkich dialektyk, stał się ofiarą sytuacji bardzo szczególnej dla lewicy chilijskiej — kompletnego braku wybitnych osobistości w szeregach ruchu robotniczego w Chile. Co prawda Chile nie posiadało takich ludzi nigdy na lewicy. Zadaniu nie podołał i Allende. Kandydował na fotel prezydenta republiki osiemnaście lat, tylko i wyłącznie dlatego, iż nie dysponowano nikim lepszym. Ambicja pomieszała się z pychą. Zaczął wierzyć w swoją dobrą gwiazdę, bo dwa razy był bliski wygranej. Ale zapomniał iż tylko 36 % wyborców głosowało za nim, i tylko dzięki gwarancjom udzielonym opozycji udało się przeforsować jego zatwierdzenie przez parlament. Już w kilka miesięcy po objęciu rządów przyznał w wywiadzie udzielonym goszyście francuskiemu Regisowi Debray, iż przyrzeczenia były tylko posunięciem taktycznym, mającym na celu wyłącznie zdobycie władzy — naczelne zadanie ruchu proletariackiego w Chile. Od tej chwili Allende począł tworzyć teorię „większości jakościowej" — setki przegranych dla rządu wyborów komunalnych, syndykalnych, parlamentarnych, związków zawodowych nic nie znaczyły, bo przedstawiciele obozu rządzącego, zwolennicy chilijskiej drogi do socjalizmu, to posiadacze prawdy, a więc ludzie reprezentujący właśnie ową „jakościową większość". Jako prezydent mógł sobie Allende pozwolić na to, by nie honorować wyników takich wyborów albo je ignorować. Zaczęło się wykorzystywanie szpar w ustawodawstwie kraju, które stopniowo wprowadziło stan bezprawia; pod koniec trzechlecia rząd znalazł się na ławie oskarżonych — parlament i sąd najwyższy oskarżyły Allendego o naruszenie konstytucji i arbitralne łamanie prawa. Wzrastający terror ultra-prawicy i ultra-lewicy, oskarżanie Allendego przez ultralewicę o rewizjonizm i zbyt powolne tempo rewolucji, łącznie z katastrofą gospodarczą, rozszalałą inflacją, spadkiem produkcji, niesłychanym wzrostem zadłużenia zagranicznego, brakiem poparcia zagranicy — wszystkie te czynniki stać się musiały siłą rzeczy początkiem końca. Tolerowana przez rząd ultra-lewica (na lewicy nie ma wrogów!) parła do wojny domowej, wykończenia wojska, chwycenia całej i niepodzielnej władzy siłą, za każdą cenę z miotaczem ognia włącznie. W typowo chilijskiej walce parlamentarnej, w wolnych wyborach, o zwycięstwie nie było mowy. Wojsko, z drugiej strony, nie kwapiąc się do założenia sobie stryczka na szyję, musiało złamać tradycję swej apolityczności i ubiec dyktaturę proletariatu dyktaturą wojskową.

Jaka ona będzie? W myślach każdego Chilijczyka to jedno dziś tylko pytanie.

10 października 1973.

Dziś odklejam się na dobrze od prasy zagranicznej i krótkofalówek tego świata. Pożerałem na czczo i przy pełnym żołądku te wieści. Mam w tej chwili tylko jeden komentarz — *mundus vult decipi!* Nigdy dotąd świat nie chciał być tak oszukanym — nie do wiary! To co się mówi, pisze i gada na temat wykolejonej rewolucji marksizmu w Chile jest dezinformacją pierwszej wody. Wczoraj sprawę wyjaśnił w ONZ-cie chilijski minister spraw zagranicznych — podpisuję się rękami i nogami. Nie jako zacofaniec polityczny, nie jako reakcjonista zimnej krwi — ale jako ten, kto jadł chleb z pieca Hitlera i Stalina, jako ktoś kto przeżył w Chile ćwierć wieku, szczególnie gehennę ostatnich trzech lat eksperymentu „chilijskiej drogi do socjalizmu", ktoś kto odmawia prawa do wypisywania bzdur po trzydniowej wizji lokalnej i trzyletniej indoktrynacji. Dziś nawet Kardynał Chile, Raul Silva Henriquez stwierdził publicznie iż nawet Ojciec Święty był jak najmylniej poinformowany. I na temat takiego właśnie finału też wyleje się w przyszłości oceany atramentu.

Maszyna propagandowa tuszująca ekscesy rewolucji, która tutaj była już o krok od strasznego rozlewu krwi, działać będzie jeszcze długo. Tak czy owak świat wcześniej czy później dowie się prawdy. Allende zginął w sam czas — brązowanie jego obrazu i ozłacanie legendy nowego Che Guevary ma ludziom dać nowy temat — w sam raz zajęcie, by sobie Sołżenicynami i Sacharowami nie zawracać głowy. Faktem pozostanie na zawsze, iż taki sobie dziesięciomilionowy kraik na antypodach potrafił powiedzieć NIE! Spokojnym głosem większości społeczeństwa i żelazną pięścią doborowej armii — strażniczki konstytucji. Tym, którzy znaleźli się pod kluczem, prócz wolności niczego nie brak: klimat jeden z najlepszych na świecie, jedzenia w bród, traktowanie jak najbardziej ludzkie. Kto by pomyślał, w latach kiedy gniło się po pięć i więcej lat w Dachau, że po obozach mogłyby rozjeżdżać komisje Czerwonego Krzyża i delegacje dziennikarzy. Dziś są już takie w Chile i pierwsze pochlebne sprawozdania są już na łamach prasy.

Chile musi dziś nabrać oddechu do nowego życia. Trzy lata allendyzmu będzie chyba najlepszym katalizatorem... Wierzymy,

że demokracja stanie wnet na nowo silną stopą między Kordylierami, a Pacyfikiem. Są znaki na ziemi i na niebie, iż reszta kontynentu też sobie nauczkę wzięła do serca. Oby.

Bogusław BOROWICZ

Nota-bene. Patrzę tak sobie codziennie na mój przeszyty kulami samochód, na miasto, które dziś nowoodmalowane w niczym nie przypomina zabazgranej sloganami stolicy, oglądam nowe towary na wystawach, nowe uśmiechy, nowe słońce, nową chęć do życia.

◆

Santiago de Chile

Dwa lata temu, w artykule „Eksperyment chilijski"*, zbilansowano pierwszy rok rządów Jedności Ludowej dość pozytywnie, choć z wielu zastrzeżeniami i wątpliwościami na przyszłość. Wówczas można było zgodzić się z tym artykułem, ale dziś w pierwszych dniach września, po dalszych dwóch latach nie mógłbym powtórzyć tej pozytywnej oceny.

Grzechem pierworodnym eksperymentu chilijskiego był fakt, że Dr Allende nie został wybrany absolutną większością głosów swych własnych zwolenników, ponieważ koalicja Jedności Ludowej nigdy — ani wówczas ani obecnie — nie dysponowała w parlamencie większością przedstawicieli. Nie wolno zapominać, że w roku 1970 chadecja — nadal najsilniejsza partia chilijska — mogąc wybierać w Kongresie Narodowym między poparciem konserwatysty Alessandriego lub marksisty Allendego, i *znając doskonale* program wyborczy Jedności Ludowej, głosowała jak jeden mąż za Allendem, w zamian na solenne gwarancje, iż wszelkie reformy będą dokonywane legalnie i zgodnie z konstytucją. W takich warunkach Jedność Ludowa powinna była pilnować skrupulatnego przestrzegania tych gwarancji, aby zapewnić sobie poparcie chadecji dla własnych projektów ustawodawczych. A możliwości po temu istniały, gdyż program Tomić'a, kandydata chadecji na stanowisko prezydenta, był bardzo zbliżony do programu Jedności Ludowej. Istotnie, prawie cały pierwszy rok rządów Allendego upłynął pod znakiem „konstruktywnej opozycji" chadecji, która poparła cały szereg inicjatyw rządu; najważniejszą z nich było upaństwowienie kopalń miedzi.

Niestety w łonie koalicji rządowej istniały od początku poważne różnice w ocenie swych własnych sił, i co za tym idzie,

* *Kultura* Nr 11/290 (1971).

w taktyce i strategii. Podczas gdy partia komunistyczna oraz kilka partii drobnomieszczańskich, życzyły sobie zachowania *modus vivendi* z chadecją, partia socjalistyczna oraz kilka drobniejszych partii lewicowych — *plus papiste que le pape* — nalegały na przyśpieszenie procesu zmian, nie ukrywając swej pogardy dla „legalności burżuazyjnej" i dla reformizmu. Choć sam Allende jest umiarkowanym socjalistą i szczerym demokratą, wypadkowa jego polityki była zbyt często wynikiem presji ze strony lewego skrzydła własnej partii oraz MIR'u. MIR, czyli *Movimiento de Izquierda Revolucionaria* (Ruch Lewicy Rewolucyjnej) powstał jeszcze za życia Che Guevary, pod wpływem jego bojowych i bezkompromisowych haseł. Jego przywódcy oraz duża część członków są studentami uniwersyteckimi, romantycznymi ideowcami „prawdziwej" rewolucji z bronią w ręku. Świadomość zbiorowa zawsze jest spóźniona w stosunku do świadomości indywidualnej. Przez szereg lat cała tutejsza lewica, nie wyłączając komunistów, żywiła się hasłami Fidela i Che Guevary. I choć po tragicznej awanturze boliwijskiej hasła te zostały stopniowo wycofane z obiegu przez swych własnych autorów, pokutują one nadal siłą rozmachu i przyzwyczajenia w gorących mózgach dużej części młodzieży południowo-amerykańskiej. MIR posiada ponoć około dziesięciu tysięcy zdyscyplinowanych i nieźle uzbrojonych bojowników. (Siły zbrojne Chile wynoszą około 70.000 ludzi). Od chwili objęcia władzy przez Allendego, MIR, nie należący nigdy do koalicji Jedności Ludowej, stał się z natury rzeczy arcyniewygodnym „cichym wspólnikiem" koalicji, która częściowo (jak np. większość Partii socjalistycznej) aprobowała wszelkie nielegalne wyczyny MIR'u, częściowo zaś potępiała je ale niezbyt energicznie, gdyż bądź czyniła sobie złudzenia, iż z czasem sam MIR się ustatkuje i przyłączy do koalicji, bądź też liczyła się z tym, że może zajść okoliczność kiedy MIR stanie się nieodzownym sojusznikiem. Wyjaśnić należy, że działalność MIR'u polegała na ogół na bezprawnej okupacji folwarków nie objętych reformą rolną, i fabryk nie objętych uspołecznieniem, na zbrojeniu się i ostatnio na agitacji wśród żołnierzy i marynarzy, mającej na celu przekonać ich aby „odmówili posłuszeństwa oficerom na wypadek gdyby ci zbuntowali się przeciw rządowi". W takich warunkach akcja rządu przybrała charakter bardzo połowiczny: rząd z jednej strony zachował po dziś dzień pełną swobodę zrzeszenia i prasy, nie rozwiązał parlamentu po wyborach komunalnych w roku 1971, w których uzyskał około 50 % głosów i kiedy wszystko wskazywało na to, że w wyborach do parlamentu mógł liczyć na podobny wynik, ale z drugiej strony tolerował *nolens volens* wspomniane wybryki MIR'u, które oczywista dawały opozycji słuszny asumpt do atakowania rządu. Ponadto koa-

licja rządowa zraziła sobie tutejsze (nawiasem mówiąc) bardzo konserwatywne sądownictwo, ponieważ władze administracyjne bardzo często sabotowały wykonywanie wyroków przeciw bezprawiu MIR'u i innym nadużyciom. W miarę więc jak koalicja rządowa forsowała etapy swego programu w drodze dekretów i innych wybiegów legalnych, pozwalających ominąć lub odroczyć wątpliwą aprobatę odpowiednich ustaw w parlamencie, przekraczając często swój własny program poprzez fakty dokonane ultralewicy, narastała opozycja chadecji, która w pewnym momencie wycofała swe warunkowe poparcie dla inicjatyw rządu, a w końcu przyłączyła się do opozycji skrajnie prawicowej, czyli do Partii Narodowej.

Polityka gospodarcza Jedności Ludowej, choć w pierwszym roku objęcia władzy mogła poszczycić się dużymi sukcesami, *à la longue* okazała się wręcz katastrofalna. Galopująca inflacja — ponad 320 % w ciągu ostatniego roku — duże obniżenie produkcji rolnej i przemysłowej, kilometrowe ogonki po chleb, oliwę, cukier, ryż, papierosy, etc., kolosalny dług zagraniczny (około 700 dolarów *per capita)* są niestety faktami niezaprzeczalnymi. Że przyczyniły się do nich walnie zaciekła opozycja wewnętrzna, bojkot gospodarczy zagranicy i zapewne akcja sławetnej CIA, nie umniejsza odpowiedzialności ekipy gospodarczej rządu, która powinna była przewidzieć konsekwencje swej krótkowzrocznej polityki. Dokładniejsza analiza przyczyn tego fiasca wymagałaby osobnego artykułu, więc ograniczam się tu do stwierdzenia powyższych faktów, przyznawanych zresztą przez sam rząd.

Tragiczny epilog eksperymentu

Wobec kategorycznego ultimatum generałów, Allende musiał wybierać między kapitulacją i odmową. Kapitulacją mógł być może uratować życie, ale za cenę więzienia, „monstre-procesu", upokorzeń i surowego wyroku za cudze przestępstwa i własne błędy i niekonsekwencje. W sumie, sytuacja nie do przyjęcia dla człowieka, który zawsze odznaczał się wysokim poczuciem godności i ambicją. Odmowa nie dawała najmniejszych szans zwycięstwa, ale zapewniała honorową śmierć prawie u stóp staroświeckiej armatki na podwórcu pałacu prezydenta. Jak jednak wiadomo (?), Allende zastrzelił się rosyjską mitralietą, którą zadedykował mu Fidel Castro — szczegół nabierający skądinąd wymowy tragicznego symbolu.

Znękany ustawicznymi ustępstwami na rzecz swych skłóconych, niedojrzałych i szantażujących go w rozbieżnych kierunkach

sojuszników z Jedności Ludowej, Allende postanowił nie ustąpić przed swymi umundurowanymi przeciwnikami z ostatniej chwili, pozbawiając ich w ten sposób satysfakcji pełnego triumfu. Lecz wątpić należy, by myślał on w owych chwilach jedynie o zachowaniu dobrego imienia wobec potomności. Bardziej prawdopodobne jest, że przeżywał ze szczerą goryczą, nie pozbawioną skruchy, upadek koncepcji politycznej, która zaledwie trzy lata temu zapowiadała się tak obiecująco. Można też śmiało przyjąć, że pomyślał z żalem o wszystkich straconych bezpowrotnie okazjach do porozumienia się z chadecją, choćby kosztem dużych taktycznych ustępstw, zawsze przecież stokroć lepszych od całkowitej klęski.

Wedle wszelkich dostępnych danych, sam Allende i umiarkowane skrzydło koalicji rządowej — a więc partia komunistyczna, partia radykalna i kilka drobniejszych grup małomieszczańskich — życzyli sobie tego porozumienia, ale zaślepienie socjalistów i innych grup ultralewicowych, nigdy mu na to nie pozwoliło.

Wojsko, które prawie do ostatniej chwili zachowało tradycyjną wierność i posłuszeństwo wobec rządu, zdecydowało się w końcu wziąć władzę we własne ręce pod wygodnym pretekstem w postaci deklaracji parlamentu, stwierdzającej większością głosów połączonej opozycji niepraworządność rządu i domagającej się dymisji prezydenta.

Więc stało się. Ale czy musiało do tego dojść?

Obawiam się, iż w Chile zaprzepaszczono wspaniałą szansę, która mogła stać się przykładem dla całego świata.

Przyczyny? Ze strony lewicy — karygodne przecenianie swych własnych sił czyli niedocenianie sił adwersarzy, brak fachowców w dziedzinie gospodarczej, ustawiczne niepotrzebne łamanie praworządności w imię przeforsowania *coûte que coûte* programu zbyt ambitnego jak na koalicję, która nigdy nie stanowiła większości opinii publicznej, i to w kraju nawykłym do formalnego chociażby legalizmu.

◆

Operacja wojskowa odbyła się nadzwyczaj szybko, sprawnie i kosztem minimalnych ofiar ze strony wojska. Nieznana dotychczas liczba ofiar po stronie lewicy jest na ogół wynikiem sporadycznych wypadków zbrojnego oporu ze strony luźnych i desperackich grup robotniczych i młodzieży. Represje stosowane wobec wielu tysięcy aresztowanych, którzy nie stawiali oporu są, jak dotąd, stosunkowo lekkie, przynajmniej w porównaniu z nie tak odległą epoką faszyzmów europejskich.

Poza tym wszystko odbywa się zgodnie z tradycyjnymi receptami: izby ustawodawcze, partie lewicowe i robotnicze związki

zawodowe rozwiązane. Prasa lewicowa zabroniona, apele do donosicielstwa, czystka na wszystkich szczeblach administracji publicznej, w szkołach, na uniwersytetach, etc., cenzura, częste rewizje domowe, no i rozpętana na całego demagogia *à rebours*.

Minionemu reżymowi można słusznie stawiać bardzo dużo ciężkich zarzutów, ale żaden obiektywny krytyk nie zaprzeczy, że zachował on do ostatniej chwili pełną wolność zrzeszenia, prasy i w ogóle informacji. Onegdajsza opozycja „demokratyczna" — ta w cudzysłowie i bez cudzysłowu — która oskarżała miniony reżym o skrajny totalitaryzm i która poparła świadomie i zdecydowanie obecną dyktaturę w imię obrony deptanych rzekomo swobód demokratycznych, święci dziś paradoksalny zaiste tryumf. Czy naprawdę go święci?

Dokładnie dwa tygodnie po zamachu wojskowym zmarł w klinice na raka Pablo Neruda, laureat Nobla, komunista i do niedawna ambasador chilijski we Francji. Parę dni przed jego zgonem „nieznani sprawcy" zdemolowali bezlitośnie piękne mieszkanie poety, pełne cennych książek, obrazów i pamiątek. Pogrzeb Nerudy, w którym uczestniczył autor niniejszego artykułu był pierwszym od 2 tygodni spontanicznym odruchem cywilnym przeciw dyktaturze. Choć pięć lub sześć jeepów z uzbrojonymi w erkaemy żołnierzami eskortowało orszak żałobny do bramy cmentarza, już u samej bramy rozpoczęły się głośne okrzyki na cześć Allendego i Nerudy, przeciw dyktaturze oraz śpiew Międzynarodówki. Żaden z przedstawicieli nowych władz nie odważył się uczestniczyć w pogrzebie, natomiast brało w nim udział bardzo wielu chadeków, a nawet Tomic, ex-kandydat chadecji na stanowisko prezydenta. Brak represji ze strony wojska i policji przypisać należy obecności szeregu ambasadorów, dziennikarzy i fotografów zagranicznych oraz innych osobistości, których nie można posądzać o filokomunizm.

Wychodząc z cmentarza rzuciłem okiem na stojący opodal Instytut Medycyny Sądowej, *vulgo* trupiarnię. U wejścia, tłok ludzi walczących o dostęp do dużej czarnej tablicy z kilkunastu arkuszami papieru gęsto zadrukowanymi nazwiskami ofiar. U innej bramy, długi ogonek krewnych, czekający na pozwolenie rozpoznania zwłok.

Wśród najnowszej opozycji krąży dziś m.in. następujące powiedzonko: Chile zmieniło swe położenie geograficzne, gdyż leży obecnie między Grecją a Brazylią.

Na koniec, ciekawy szczegół: przestrzegany skrupulatnie w Ameryce Łacińskiej system azylu politycznego (w myśl zdrowej zasady, iż „dziś mnie, jutro tobie") pozwolił ponad tysiącu „skompromitowanych" schronić się w rozmaitych ambasadach.

Największą niespodzianką był azyl udzielony kilku Hiszpanom przez... ambasadę hiszpańską.

Przewidywania na przyszłość? Za wcześnie, ale „niechaj żywi nie tracą nadziei".

N. N.

Bruksela 13 października 1973.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie donoszę, że jestem jedyną ofiarą zamachu terrorystów arabskich na pociąg wiozący emigrantów żydowskich z ZSSR do Izraela. I emigranci i terroryści zdążyli zdrowo i na czas znaleźć się tam, gdzie chcieli, tylko ja nie zdążyłem — choć tematów nie brak — napisać kolejnego felietonu. W ten sposób potwierdza się teza o uniwersalnym charakterze terroru i o tym, że na każdego musi przyjść kolej.

Niepocieszonych Czytelników najserdeczniej pocieszam, ale wszyscy muszą ponosić jakieś ofiary.

BRUKSELCZYK

Sąsiedzi

Wrażenia z ZSSR 1970-1973

(Relacja oparta na osobistych obserwacjach i rozmowach z ludźmi na terenie wymienionych krajów)

I. ŻYCIE RELIGIJNE KATOLIKÓW

1. *Litwa*

Według moich spostrzeżeń na Litwie jest stosunkowo największa swoboda religijna. Zarówno w roku 1970 jak i 1973, w lipcu i w sierpniu, w kościele przy Ostrej Bramie i na Zwierzyńcu (kościół Niepokalanego Poczęcia NMP) w Wilnie udzielano I Komunii św. dzieciom ubranym w uroczyste stroje, w których potem paradowały po ulicach. Były to grupy liczące od 15 do 20 dzieci oddzielnie z rodzin polskich i litewskich. W sobotę po południu odbywają się w kościele przy Ostrej Bramie śluby z tłumną asystą rodziny. Nie spotkałem tego gdzie indziej.

Przed kilku laty został nawet wydany w języku litewskim modlitewnik dla wiernych, oczywiście w liczbie absolutnie niewystarczającej, przede wszystkim dla propagandy. Wydawnictwo tego rodzaju jest jednak nie do pomyślenia gdzie indziej. W Ostrej Bramie (Częstochowa północnych ziem polskich i Litwy) widziałem kobiety i dzieci modlące się z książeczki przepisanej ręcznie. Jest to absolutnie niemożliwe na Białorusi.

Pewna swoboda na Litwie tłumaczy się dużą liczbą wierzących, silną katolicką tradycją religijną, bliskością granicy polskiej (ożywione kontakty rodzinne), obecnością turystów, polityką wobec Litwinów itp.

Na 40 kościołów w Wilnie otwartych jest obecnie *8* (osiem) licząc Kalwarię. Wszystkie natomiast istniejące dawniej cerkwie nadal są otwarte, pomimo znikomej niekiedy liczby wiernych.

W Kownie na Litwie istnieje Seminarium Duchowne liczące ok. 30 alumnów. Kandydaci mogą wstępować po odbytej służbie wojskowej, lecz przyjęcie zależy całkowicie od policji, która po złożeniu podania czyni wywiad dotyczący zgłaszającego się kandydata i wyraża zgodę lub nie. Wykluczają zdecydowanie przyjęcie do Seminarium następujące okoliczności:

a) posiadanie krewnych za granicą — na Zachodzie;
b) przynależność do niesowieckiej partyzantki w czasie okupacji kogoś bliskiego z rodziny;
c) większy majątek posiadany przez rodziców przed wojną.

Złożenie prośby o przyjęcie do Seminarium wyklucza możliwość przyjęcia na Uniwersytet.

W Wilnie księża z Polski mogą odprawiać Mszę św. dla wiernych. Na prowincji nie zawsze jest to możliwe, ze względu na obawy księży miejscowych.

W Seminarium na Litwie nie ma języka polskiego, choć wielu księży pracuje potem wśród Polaków. Dlatego język polski niektórych księży Litwinów jest fatalny, ku wielkiej przykrości Polaków.

Biskupi litewscy nie kierują diecezjami. Sprawy tej nie znam dokładnie. Wiadomo mi tylko, że w Wilnie jest administrator apostolski ks. Kriwajtis. Wielu księży jest zastraszonych, szantażowanych lub „prowadzi politykę" donosząc władzom pod wpływem nacisku o ważniejszych sprawach, kontaktach itp. Dlatego np. siostry zakonne, żyjące w ukryciu na Litwie, nieznanym im bliżej księżom z reguły nie mówią, że są zakonnicami.

Będąc ostatnio w Wilnie zauważyłem, że niektóre ważniejsze kościoły zamknięte od wojny i niszczejące, są powoli odnawiane, oczywiście z przeznaczeniem na cele świeckie (np. muzeum itp.). Dotyczy to na przykład kościoła św. Jana Ewangelisty przy Uniwersytecie Batorego, kościoła Franciszkanów i in. Podobno jest to skutek zainteresowania turystów, którzy pytają o zabytki, a do tych należą przede wszystkim kościoły. Większość zamkniętych dotychczas kościołów zamieniona jest na składy i takie lub inne magazyny. Kościół św. Kazimierza zamieniony został na muzeum ateizmu. Na prowincji zamknięte kościoły zamienione zostały na magazyny i niszczeją tak samo szybko, jak zamknięte na głucho.

W Ostrej Bramie można zawsze spotkać także na ulicy modlących się ludzi (Ostra Brama zamknięta jest dla ruchu kołowego). Zorganizowane grupy młodzieży odwiedzające kaplicę Matki Boskiej nie modlą się, lecz zachowują się godnie.

Obecnie kościół św. Teresy przy Ostrej Bramie jest odnawiany przez artystów z Polski (pięciu). Według oficjalnego, podanego z ambony przez ks. proboszcza, zapewnienia koszty odnowy pokrywane są całkowicie z ofiar wiernych. Jest to zgodne z prawdą, gdyż ofiary płynące do Ostrej Bramy są bardzo duże. Przybywają tu niekiedy z daleka całe grupy, zwłaszcza kobiet polskich, i składają duże ofiary na Msze św. Młodsi księża, z reguły Litwini, o wiele uprzejmiej przyjmują Litwinki niż Polki. Wielokrotnie byłem tego świadkiem. Nie dotyczy to ks. Proboszcza, który równie życzliwie przyjmuje Litwinów jak i Polaków.

Głośne rozruchy w Kownie w ub. roku, spowodowane podpaleniem się studenta litewskiego, nie miały, gdy chodzi o genezę, absolutnie charakteru religijnego. Mała grupa studentów, wśród której wylosowano mającego się podpalić (początkowo los wyciągnęła dziewczyna, lecz ponieważ okazała lęk, zastąpił ją chłopiec) miała charakter hippisowski. Podpalenie się było protestem przeciwko uciskowi politycznemu i ograniczeniu wolności (członkowie grupy chcieli udać się do Monachium, lecz zostali wykpieni przez urzędników). W czasie manifestacji ludności dołączyły się motywy religijne.

2. *Łotwa*

Nieco podobna sytuacja religijna panuje na Łotwie. Dużą niespodzianką dla mnie był fakt, że prawie wszyscy księża, w większości Łotysze, mówią dobrze po polsku i że 50 % katolików na Łotwie stanowią Polacy (według opinii jednego z księży łotewskich). W niektórych miejscowościach stanowią nawet większość. Np. w Dźwińsku (Dynaburg, Daugupils) w jednej z parafii Polacy stanowią 75 % wiernych. Tłumaczy się to w tym wypadku bliskością dawnej granicy polskiej i liczną, przedwojenną kolonią polską. Duży procent Polaków na Łotwie pochodzi stąd, że do dawnej grupy etnicznej Polaków doszła polska emigracja zarobkowa sprzed ostatniej wojny, a obecnie wewnętrzna imigracja z terenu Litwy, Białorusi i Ukrainy. Główną rolę wyżej wymienionej migracji odgrywają motywy ekonomiczne, lecz również polityczne i religijne (większa swoboda). Oczywiście Polacy osiedlają się w miastach. Warunki mieszkaniowe są ciężkie i młodzi ludzie nieraz już po kilkanaście lat mieszkają w hotelach robotniczych będących mieszaniną wszystkich narodowości ZSSR i mających fatalną opinię, gdy chodzi o poziom moralny.

W Seminarium Duchownym w Rydze (drugie po Kownie z istniejących na całą Rosję) jest ponad 20 alumnów, przede

wszystkim Łotyszów. Ostatnio władze bardzo utrudniają przyjmowanie Polaków. W Seminarium wykładany jest język polski. Alumni obecnie znają go już słabo. Główną pomocą w studiach zarówno dla księży profesorów jak i alumnów, są podręczniki w języku polskim, i łacińskim przeważnie przedwojenne. Przygotowanie alumnów jest bardzo słabe, gdy chodzi o uprzednią formację religijną. Trzeba ją zaczynać od kursu katechizmu. Trudne warunki sprzyjają jednak kształtowaniu się autentycznych postaw kapłańskich.

Na Łotwie istnieje około 150 parafii. Diecezją ryską rządzi bp Wojwods (ponad 70 lat). Ostatnio został konsekrowany jego ewentualny następca, rektor Seminarium Duchownego (ks. Zondaks?). Jest to pewne osiągnięcie, bo wielką obawą była tam sprawa następcy, na którego władze przygotowywały swojego kandydata, człowieka bez żadnych skrupułów moralnych.

Księża obok ścisłego nadzoru policji i nacisków różnego rodzaju nie mogą mieć także pełnego zaufania do siebie, gdyż niektórzy są dla policji informatorami w sprawach dotyczących życia religijnego i kontaktów. Jest to skutek zastraszenia czy szantażu. Tacy księża są jednak znani kolegom i nieraz nawet z góry proszą, by o pewnych sprawach nie mówić w ich domu.

Łotwa ma swoje sanktuarium maryjne w Ałdonie, założone przez Dominikanów (dawny klasztor). Obecnie jest to ośrodek życia religijnego, tzn. miejsce pielgrzymkowe. Łotwa dzieli się wyznaniowo na dwie odrębne religijnie części. Pierwsza jest protestancka, druga katolicka (Łatgalia). Ta ostatnia została odzyskana dla Kościoła przez Jezuitów i Dominikanów — po Reformacji.

Jeden z biskupów łotewskich nie ma prawa pełnienia funkcji kapłańskich i jest drwalem przy jednej z piekarni. Bp Sloskans przebywa od czasu zakończenia wojny w Louvain.

3. *Ukraina (relacja w oparciu o rozmowy na Łotwie)*

Kościół na Łotwie, a dokładnie Seminarium Duchowne, spełnia ważną rolę gdy chodzi o duszpasterstwo katolickie na Ukrainie (jakkolwiek bliżej jest Litwa i Kowno).

Z kościoła łotewskiego zostało w ostatnich kilkunastu latach skierowanych na Ukrainę kilkunastu księży Polaków (lub mówiących po polsku, bo tylko tacy są przyjmowani przez ludzi). Wydaje mi się, że teren ten jest najmniej znany, gdy chodzi o życie religijne. Po okresie silnego terroru religijnego (często panuje on nadal) obecnie się krystalizuje świadomość praw co do życia religijnego w ośrodkach o dużej ilości katolików i Polaków (choć

często nie mówiących na co dzień po polsku). Władze miejscowe zmuszone są niekiedy pod naciskiem kilkusetosobowych delegacji wiernych szukać nowego księdza, jeśli dotychczasowy zostaje np. przeniesiony (do czego władze z reguły dążą, jeśli ktoś dobrze pracuje i posiada wpływ na ludzi).

W Odessie na Ukrainie (jeden z trzech kościołów katolickich obok Leningradu i Moskwy, gdzie księża przejezdni — turyści — mogą odprawiać Mszę św. bez zgłaszania tego władzom) jest ok. 6 tys. katolików Polaków. Kościół, mały zresztą, w niedzielę jest wypełniony po brzegi. Niekiedy chór śpiewa coś po rosyjsku, bo i miejscowa ludność z ciekawości zachodzi w niedzielę do kościoła w czasie spaceru po mieście. Codziennie można słuchać pięknego śpiewu (przed Mszą św.) żałobnego, tzw. wigilii, które śpiewane są po łacinie przez ok. 30-ci, głównie starszych kobiet. Śpiewane są na zmianę cztery różne melodie, podobno Moniuszki (zostały przewiezione z Wilna).

Najbliższym sąsiadem księdza z Odessy (300 km.) jest Polak, pracujący dla katolików w Kiszyniewie (stolica Mołdawii). W ub. roku słyszałem, że ksiądz w Odessie jest ciężko chory z przepracowania. Przed kilku laty władze robiły mu pewną nadzieję, że będzie mógł wysłać do Rygi młodego człowieka na studia do Seminarium Duchownego.

3. *Białoruś*

Sytuacja najcięższa, wprost dramatyczna, panuje na Białorusi. Władze dążą tu nie tylko do bezwzględnej rusyfikacji, ale także do zamknięcia kościołów i zlikwidowania normalnej pracy duszpasterskiej. Księża są zastraszeni, a raczej, chcąc służyć ludziom, zachowują wszelkie środki ostrożności, często na prośbę samych wiernych. Pracuje tam ok. 40 księży dojeżdżających niekiedy do sąsiednich, dawnych parafii (do 30-40 km. można starać się o to pozwolenie). Po śmierci księdza wcześniej czy później, pomimo obrony i wysiłków ze strony wiernych, kościół zostaje zamknięty.

Znam z relacji bezpośredniego uczestnika opis Mszy św. „odprawianej" bez księdza. Na ołtarzu zapalane są świece, rozkłada się szaty liturgiczne, stawia kielich, mszał itd. i ktoś z obecnych odmawia modlitwy Mszy św. Zebrani śpiewają pieśni i niektóre części Mszy św. Ksiądz, który uczestniczył w tej liturgii nie mogąc się ujawnić, stwierdzał, że jest to przejmująca modlitwa i znaczyła dla niego więcej niż rekolekcje. Odradzono mi wyjazd (byłby nielegalny) do tej miejscowości ze względu na specjalną inwigilację policji, która legitymuje obcych.

Niekiedy na Białorusi udział wiernych we Mszy św. jest imponujący i pomimo istniejących zakazów w kościele są także dzieci i młodzież (tylko do Mszy św. służą z reguły starsi). Uczestniczyłem w takiej Mszy św. i mogę stwierdzić, że rzadko w Polsce można spotkać tak żywy, wyrażający się w śpiewie udział całego kościoła w liturgii. Przeżyciem były śpiewane przez wszystkich, od najmłodszych dzieci poczynając, nieszpory. Mszę św. mogłem odprawić dopiero po wyjściu wiernych, przy zamkniętych drzwiach.

Latem, w każdą niedzielę niewielkie autobusy kursujące na prowincji są przepełnione, gdyż ludzie z odległości 20-30 km. udają się do kościoła. Rozmawiają zwykle mieszaniną języka polskiego, rosyjskiego, białoruskiego, lecz odpowiadają po polsku na pytania w tym języku. Gdy w autobusie robiącym tzw., lewy kurs z Wilna do Trok w niedzielne przedpołudnie w lipcu bież. roku zacząłem rozmawiać po polsku, cała grupa licząca ok. 20 osób, rozmawiająca dotychczas po rosyjsku, przeszła na dobry język polski i okazało się, że wszyscy są Polakami.

Młodsze pokolenie na skutek ignorancji religijnej i trudności dotarcia do kościoła, a także nieznajomości języka polskiego, powoli obojętnieje religijnie.

II. PRACA DUSZPASTERSKA KSIĘŻY

1. Według wyrażanej przez księży opinii, główna ich praca polega na zachowaniu tego co zastają. Służą głównie starszemu i średniemu pokoleniu wychowanemu religijnie w latach ubiegłych. Niewielki procent młodzieży, w zależności od rodziny i środowiska parafialnego, wypełnia praktyki religijne. Młodzież szkół średnich i uniwersytecka poddawana jest silnemu naciskowi ideologii antyreligijnej i tzw. filozofii marksistowskiej. Często jej nie przyjmuje, lecz pozostaje na rozdrożu, gdy chodzi o wiarę (mówię o młodzieży z rodzin katolickich). Otwiera się jednak całkowicie na przyjęcie prawdy religijnej, gdy przełamane zostaną opory nieufności. Spotyka się wśród studentów zupełnie szczery podziw dla Lenina i jego haseł. Są one traktowane jako ideał w porównaniu z rzeczywistością, często budzącą sprzeciw i ocenianą jako odejście od zasad Lenina. Wydaje się, że jest to duże osiągnięcie doktrynalne.

2. *Nauczanie katechizmu.* Z reguły księża nie podejmują się tego z tej racji, by nie stracić za karę praw spełniania funkcji

kapłańskich dla wiernych. Księżom na Litwie i na Łotwie (nie znam sytuacji na Białorusi odnośnie tej sprawy) wolno jedynie egzaminować dzieci przed dopuszczeniem do 1-szej Komunii św. Znam wypadek, że za egzamin taki — lecz w obecności innego dziecka — ksiądz został skazany na trzy lata z zawieszeniem (był po zawale serca) i utracił „rospisku" tj. prawo sprawowania funkcji kapłańskich dla wiernych. Motywem wyroku było formalne naruszenie ustawy, zabraniającej propagandy religijnej wobec dzieci. Ksiądz pytając jedno dziecko przy drugim uczył tym samym to, które było obecne przy egzaminie i słuchało. Takie było uzasadnienie skazania.

Przygotowaniem dzieci do 1-szej Komunii św. zajmują się głównie siostry zakonne działające w ukryciu, z narażeniem swych stanowisk i wolności, często po 8 godzinach pracy zawodowej. Tak dzieje się przynajmniej na terenach, które znam. Katechizacja małych grupek dzieci odbywa się potajemnie, w domach prywatnych. Siostra, z którą rozmawiałem skarżyła się na obojętność rodziców na wsi. Dzieci uczą się w języku polskim (w tym wypadku chodzi o teren Wileńszczyzny) z tekstów pisanych alfabetem rosyjskim na maszynie lub ręką (widziałem takie teksty). Według oceny księży przygotowanie to jest bardzo ogólnikowe i słabe ze względu na ogromne trudności w tej dziedzinie. Wymaga się przy egzaminie znajomości najbardziej elementarnych prawd. Nauczanie religii urywa się po 1-szej Komunii św.

3. *Styl nabożeństw i spowiedzi.* Msza św. odprawiana jest po łacinie, a nabożeństwa mają charakter tradycyjny (ulubione są godzinki zarówno w języku polskim jak litewskim i łotewskim) jak przed 30-20 laty w Polsce. Podobny jest styl kazań. Odkrywa się atmosferę dawnych lat. Wierni uczestniczą głównie przez śpiew tradycyjnych pieśni, bo Msza św. odprawiana jest najczęściej po cichu i w swej dawnej formie daje więcej możliwości do śpiewu. Ma się często wrażenie, że udział w liturgii jest pełniejszy niż w Polsce na przykład, gdzie Msza św. odprawia się głośno a wierni słuchają.

Uderzający jest styl spowiedzi. Odbywa się ona bardzo szybko i ogranicza się do wyznania grzechu i pokuty. Jest to nawyk z masowych często spowiedzi. Dumą niektórych kościołów na Litwie i na Łotwie są chóry kościelne, złożone głównie z osób starszych, choć należą do nich także ludzie młodzi, niekiedy z inteligencji. Pomijam sprawę odwiedzin starszych, chorych osób, którym księża, nieraz daleko, zanoszą Komunię św., co zabiera im wiele sił i czasu. Obie ostatnie sprawy dotyczą jednak głównie miast.

4. *Księża robotnicy.* O tego rodzaju wypadkach słyszałem na Litwie. Ponieważ władze niekiedy nie dopuszczają do święceń kapłańskich niektórzy z alumnów czekali po kilka lat (nieraz nawet 5-10 lat) i potem święcenia otrzymywali oficjalnie. Ostatnio niektórzy z wydalonych zostali wyświęceni potajemnie (nie wiadomo przez kogo i gdzie) i pracują jako pracownicy państwowi. Władze wiedzą już o tym i chciałyby, aby księża ci ujawnili się i ewentualnie podjęli normalną pracę duszpasterską, bo wtedy może być ona kontrolowana. Z kolei księża ci nie mają na to zupełnie ochoty (nie z obawy kary, bo ta, być może, nie grozi), gdyż w środowisku swej pracy mają często wdzięczne pole do apostolstwa.

Materialna sytuacja księży jest zwykle dobra, a niekiedy bardzo dobra. Ofiarność wiernych jest wielka. Każdy z księży (mam na myśli środowiska polskie przede wszystkim) ma wiele intencji mszalnych z reguły niemal żałobnych, i prosi o ich przyjęcie, oczywiście przekazując stypendia. W Moskwie byłem świadkiem odprawiania drugiej Mszy św. żałobnej w dniu powszednim przez tego samego księdza. (W wielu kościołach przez cały tydzień przed głównym ołtarzem w kościele rozłożony jest żałobny dywan i stoją świece itd., ponieważ ksiądz codziennie odprawia żałobną mszę św.).

Księża mieszkają w domkach dawnych kościelnych czy organistów (obszerne plebanie zostały zajęte przez władze). Sprawami materialnymi zajmuje się komitet parafialny. On wypłaca księdzu pensję w zależności od dochodu, opłaca służbę przykościelną itp. Nie stanowi to jednak większych trudności, bo członkami komitetu są często ludzie oddani Kościołowi.

III. ŻYCIE ZAKONNE

Oczywiście chodzi tu jedynie o zgromadzenia żeńskie. Są to przede wszystkim dawne zgromadzenia bezhabitowe O. Honorata*.

Warto zauważyć, że o ile życie zakonne katolickie (zgromadzenia żeńskie) utrzymuje się, a nawet niekiedy rozwija, o tyle domy mniszek prawosławnych, np. w Wilnie, są społecznościami wymierającymi, nie przyjmującymi kandydatek. Na pytanie: dla-

* Po powstaniu w 1863 roku rząd carski rozwiązał wiele zgromadzeń i klasztorów w Polsce. O. Honorat Koźmiński założył wówczas 16 odrębnych zgromadzeń bezhabitowych dla pracy apostolskiej w różnych dziedzinach życia społecznego. Wszystkie istnieją do dziś i niektóre są bardzo liczne.

czego pada odpowiedź: *„nie lzia"*. Nie wiem, czy istnieje ukryte prawosławne życie zakonne.

IV. ŚRODOWISKA POLSKIE A KATOLICYZM

Zarówno w Odessie jak w Leningradzie i Moskwie, a częściowo na Łotwie (nie mówiąc o Białorusi i Ukrainie) ogromna większość katolików to Polacy. W Odessie, Moskwie, i Leningradzie (w dwu ostatnich miastach księża nie są Polakami) wszystkie śpiewy, kazania i nabożeństwa odprawiane są po polsku, poza oczywiście Mszą św. Robi to duże wrażenie na tym, kto wchodzi do kościoła po raz pierwszy i przybywa z Polski. [Mimowoli przychodzi na myśl zdanie: Polonia *antemurale christianitatis* — tak źle obecnie widziane w Polsce, choć zarazem tak bardzo prawdziwe]. W Tbilisi w kościele katolickim (o ile wiem, jedynym na całą Gruzję i południową Rosję) obok staruszka Gruzina, który dobrze nauczył się po polsku, pracuje zresztą w trudnych psychicznie warunkach, młody ksiądz Polak. Niemal wyłącznie polscy księża pracują na Ukrainie, w Mołdawii i na Białorusi. W tej ostatniej „republice" jedynie tylko ks. Czerniawski z Wiszniewa jest nacjonalistą białoruskim, głosi kazania, spowiada itp. w języku oficjalnym „republiki". Pierwsze kazanie w tym języku, wygłoszone przed kilkunastu laty, spowodowało, że już na pierwsze słowa, wszyscy ludzie z oburzeniem opuścili kościół. Potem, z braku kapłanów, pogodzili się z tym stanem rzeczy.

Na Łotwie, w Dynaburgu i okolicy mówi się np. „wyszła za Polaka" co oznacza, że wyszła za katolika i odwrotnie. Trudnym problemem jest pewna ilość mieszanych małżeństw Polaków. Młodzi chłopcy, głównie ze wsi, już w czasie służby wojskowej na apel i zachęty władz zgłaszają się do pracy na „cielinach" (ziemie dalekich republik niezagospodarowane, zdobywane pod uprawę i dla przemysłu), by w ten sposób zdobyć możliwość pracy w przemyśle. Jest to świadomie obierana taktyka. Stosują ją głównie chłopcy z kołchozów, by w ten sposób zdobyć dowód osobisty (którego ludność pracująca w kołchozach nie posiada, dlatego by nie mogła przenosić się do miasta), a tym samym prawo do zatrudnienia w przemyśle i w mieście. Po kilku latach pracy i ewentualnym zawarciu małżeństwa, ludzie ci przenoszą się często do stron rodzinnych, lecz ich małżeństwa zawierane w czasie pracy na „cielinach" ze względu na obcość kulturalną i wyznaniową żony najczęściej rozpadają się. Ponieważ były zawierane bez księdza, przez zainteresowaną stronę polską uważane

są za nieważne, podczas gdy księża, zgodnie z prawem kościelnym uważają je za ważne. Powoduje to szereg dramatów osobistych. Zainteresowana strona katolicka z reguły bowiem nie rozumie takiego stanowiska kościoła.

V. POLITYKA RUSYFIKACYJNA

1. *Białoruś*

Polityka ta jest bardzo przemyślana, konsekwentna i długofalowa. Na Białorusi, tzn. na ziemiach polskich sprzed 1939 roku, systematycznie zacierane są wszelkie ślady polskości, usuwane napisy, pomniki itp. Nie istnieją tu żadne szkoły polskie i nie ma też języka polskiego w szkołach (w Polsce, o ile mi wiadomo, szkoły białoruskie istnieją). Prawie wszyscy Polacy na tzw. Białorusi (piszę tzw., bo włączono do niej także prawie czyste etnicznie, polskie części Wileńszczyzny, jak np. oszmiańskie) zostali zaraz po wojnie niezależnie od ich oświadczeń wpisani jako Białorusini. [Niektórzy przez parę miesięcy nie brali dowodów, niektórym wyrzucano je przez okna, gdy odchodzili odmawiając ich przyjęcia. Powoływanie się na historię rodziny (w oszmiańskim mieszkała głównie dawna szlachta) rodziców czy rodzeństwo w Polsce, nie miało żadnego wpływu na decyzje urzędników].

Nawet język białoruski jest coraz bardziej eliminowany ze szkół. Najmłodsze pokolenie pomimo nazwisk i imion polskich mówi wyłącznie po rosyjsku. Historia Polski, wykładana w ramach historii Europy, ujęta jest odrażająco i nie ukazuje żadnych osiągnięć kulturalnych Polski. „Po roku 1920 rządzili 'Białopolacy' a ich rządy to znów jedno pasmo klęsk i ucisku klasy robotniczej". Tak wygląda historia Polski według podręcznika w języku polskim (tłum. z rosyjskiego), który w roku 1970 przeglądałem w księgarni polskiej w Wilnie. Pewną ilustracją *à propos* może być autentyczna rozmowa jaką miałem w pewnej rodzinie polskiej na Białorusi. Rodzice mówią po polsku. Ich syn 14-letni nie zna języka polskiego. Na moje pytanie kim jest odpowiada zdecydowanie: „Ja Polakiem nie chcę być, bo u Polaków gierojów niet".

Jedyną ostoją polskości i katolicyzmu na Białorusi są nieliczne już kościoły polskie. Wydaje się, że władze stosując politykę długofalową czekają na naturalną śmierć tych ośrodków. Próbują jednak obecnie pewnych, lekkich co prawda, nacisków, czy raczej sugestii na razie, by język polski, jako nieużywany przez ludność na co dzień (co jest prawdą) zastępować w kościele białoruskim

(relacja księdza z osobistej rozmowy z urzędnikami w roku 1970).

I tu warto zwrócić uwagę na rolę łaciny i niebezpieczeństwa związane z wprowadzeniem do liturgii języka polskiego na tych terenach. Księża robią to w najlepszej intencji chcąc nadążać powoli za zmianami liturgicznymi w Polsce. Ale, jak sygnalizują wyżej wspomiane sugestie władz, usunięcie łaciny daje argument za usunięciem języka polskiego, jako nie używanego przez ludność, a zarazem politycznie niewygodnego.

2. *Litwa*

Największą stosunkową swobodę mają Polacy na Litwie. Istnieje tu pewna ilość szkół podstawowych polskich i Instytut Pedagogiczny Polski w Wilnie (podobno rzadkością jest Polak z pochodzenia w gronie profesorskim).

W księgarni polskiej w Wilnie, pod koniec wakacji letnich można słuchać przez cały dzień niekończących się pytań polskich kobiet ze wsi o książki polskie do klasy III, IV, V, VI itd. Osobiście słyszałem z reguły odpowiedzi, że książek nie ma, lub już nie ma. W Wilnie wychodzi *Czerwony Sztandar* po polsku, istnieje zespół teatralny, można kupić (podobnie zresztą jak w Odessie, a zwłaszcza na Łotwie) rządowe gazety polskie *Trybunę Ludu, Życie Warszawy* itp. Od dwóch lat prawie wstrzymano abonamenty *Przekroju*. Polskość na Litwie może jako tako wegetować. Jej ośrodkiem jest Wilno i kościoły polskie lub obsługiwane przez księży Litwinów dla Polaków po polsku. Na Litwie, podobnie jak na Łotwie, z zasady stosuje się łacinę podczas Mszy św. ze względu na mieszaninę ludności w kościele. Jedynie nabożeństwa „paraliturgiczne" i kazania głoszone są w języku litewskim, łotewskim, czy polskim. Młody jeszcze nacjonalizm litewski bardzo zdecydowanie konsekwentnie zwalcza to wszystko co świadczy o polskości na Litwie. Jest to niekiedy naiwna litwinizacja nazwisk ludzi znanych z historii, polityków, uczonych, pisarzy, artystów, niekiedy nawet aktualnie żyjących w Polsce i działających jako Polacy, lecz np. związanych w jakiś sposób z najnowszą historią przedwojenną Litwy.

Polityka rusyfikacji Litwy ma, jak mi się wydaje, niewielki wpływ na zmianę stosunku Litwinów do Polaków.

3. *Łotwa*

Ponieważ Łotwa jest narodowościowo młodsza i słabsza od Litwy, nacisk rusyfikacyjny jest tu o wiele silniejszy. W roku 1947 zamknięto szkoły polskie istniejące tu od czasów przedwojennych pod pretekstem, że są to szkoły szpiegów antysowieckich. Ostatnio nasilają się naciski na księży, by usuwali język polski z kościoła. Kandydatom pochodzenia polskiego do Seminarium Duchownego w Rydze władze robią coraz większe trudności. Polacy wiedzą o tym, że są nieoficjalnie bardzo źle widziani i uważani ciągle za potencjalnych rewolucjonistów i za główną przeszkodę w rusyfikacji Łotwy i Białorusi.

Głuche niezadowolenie ludności wywołuje (np. w Rydze) fakt, że nowe dzielnice mieszkaniowe przeznaczane są dla Rosjan, którzy bez rozgłosu, lecz masowo, przysyłani są z głębi Rosji. Dotyczy to także Litwy. Jest to zupełnie obcy kulturalnie i duchowo element, który wprowadza podział i wzajemną nieufność.

VI. PERSPEKTYWY ŻYCIA RELIGIJNEGO

Są one w tej chwili bardzo smutne ze względu na brak kontaktu młodzieży z Kościołem i słabe oddziaływanie religijne na młodzież i dzieci. Ignorancja religijna wśród młodzieży jest duża, choć młodzież ta wydaje się zarazem moralnie o wiele zdrowsza niż młodzież na Zachodzie, a nawet w Polsce. Przeciętny typ młodzieży wydaje się być pod wpływem nacjonalizmu rosyjskiego lub raczej potęgi materialnej, technicznej i politycznej ZSSR. Rosja może imponować ogromem przestrzeni, bogactwami i osiągnięciami technicznymi. Technika stosowana w życiu codziennym na Zachodzie jest młodzieży nieznana. Gdy w roku 1969 spotkanemu przypadkiem na ulicy w Rydze zadałem pytanie do jakiej szkoły posyła dzieci, odpowiedź brzmiała: do łotewskiej. W wyjaśnieniu mój rozmówca dodał, że czyni to dlatego, iż w łotewskiej szkole propaganda wielkości Rosji jest łagodniejsza i istnieje mniejsze niebezpieczeństwo opanowania umysłów i wyobraźni dzieci potęgą Rosji sowieckiej.

Pewną słabiutką zresztą pociechą dla Ukrainy, gdy chodzi o życie religijne, jest tu i tam wyrażona zgoda władz na wysłanie do Seminarium w Rydze kandydatów na kapłanów. Nie wiem w jakim stopniu jest to realizowane. Znam wypadek podobnych starań na Białorusi, nie uwieńczonych zresztą rezultatem. Są to jednak wypadki odosobnione i nie mogą mieć wpływu na ogólny bieg rzeczy. Pozostaje nadzieja, bardzo ważna dla terenów tamtejszych, że nieprzewidziane wypadki spowodują zmianę polityki władz i pozwolą na swobodniejszy rozwój życia religijnego które, jak się wydaje, ma w tym kraju wielką przyszłość ze względu na duchową wrażliwość psychiki wschodniej na wartości religijne.

VII. PRZYKŁADY POSTAW RELIGIJNYCH I MORALNYCH

Nigdzie dotychczas nie spotkałem ludzi o tak prostej jasnej i głębokiej religijności, jak w Sowietach (mam w tej chwili na myśli spotkania na Litwie i na Łotwie). Jest to typ religijności oparty nie na głębszym wykształceniu religijnym, lecz na znajomości podstawowych prawd wiary, przeżywanych w sposób bardzo osobisty i żywy.

Kilkakrotnie miałem okazję spotkać, niekiedy także młodych ludzi, o zadziwiającym wyczuciu religijnym i delikatności sumienia, mówiących o sprawach religii i osobistych problemach moralnych w sposób autentyczny i głęboki. Niekiedy mieli za sobą wielką próbę moralną, będącą konsekwencją wyznawanej wiary.

Uderza ogromny szacunek dla księży, szczególnie na Białorusi. Jedynie najmłodsze pokolenie nie rozumie kim jest ksiądz.

Zdarzają się wypadki nawrócenia z całkowitej ignorancji religijnej, dalekiej od świadomego ateizmu. Jednym z takich wypadków jest przyjęcie chrztu przez dziewczynę z dalekiej Syberii, która nigdy w swoim życiu nie widziała kościoła czy cerkwi, księdza, krzyża, nie znała imienia Jezus, itp. Ksiądz, który mi to wydarzenie opowiadał zetknął się ze wspomnianą dziewczyną, gdy po raz pierwszy w życiu znalazła się w kościele w Wilnie, jako turystka, i zapytała co oznacza przybity do krzyża człowiek. Prawdopodobnie na dalekiej Syberii w programach szkolnych nawet w sposób negatywny nie mówi się o religii chrześcijańskiej. Jako całkowicie nieobecna w danym kraju, nie musi być także zwalczana. Chrystus i chrześcijaństwo były w tym wypadku całkowitym odkryciem.

Katolicy polscy (czasem niemieccy) z dalekiej Syberii przybywają do kościoła w Odessie niekiedy odbywając podróż przez 2-3 tys. km. W kościele padają na twarz, długo, często ze wzruszeniem i łzami, modlą się i dopiero potem udają się do księdza, by prosić jednocześnie o różne sakramenty. Młodzi stosunkowo dobrze znają katechizm (jeszcze lepiej znają go Niemcy nadwołżańscy deportowani na Syberię, którzy także trafiają do Odessy). Nauka katechizmu jest jednym z punktów podczas niedzielnych spotkań na modlitwie, które na Syberii odbywają się w skupiskach polskich. Latem mają one miejsce na cmentarzu, a zimą po domach prywatnych. Katolicy ci szczególnie proszą o obrazek Chrystusa ukrzyżowanego, który jest dla nich szczególnie cennym znakiem religijnych.

Problem hierarchii Kościoła prawosławnego i kontaktów ze Stolicą Apostolską

Odrębnym problemem jest sprawa stosunku Kościoła katolickiego do Hierarchii Kościoła prawosławnego. Zarówno dla księży katolickich jak i dla wiernych — wizyty kardynała Willebrandsa w Rosji i ich forma są niezrozumiałe i przykre. Jest bowiem rzeczą powszechnie znaną, że najwyższa hierarchia w Rosji jest podporządkowana władzy sowieckiej — ateistycznej i wrogiej religii — i dlatego nie cieszy się zaufaniem u wiernych. Księża, których spotkałem, wyrażali obawę, że Stolica Apostolska straci na autorytecie i że jej przedstawiciele zupełnie nie rozumieją ani psychiki rosyjskiej ani rzeczywistości, jaka panuje w Rosji sowieckiej.

Raz czy drugi słyszałem brutalną uwagę ze strony księdza katolickiego: „Żeby nas tylko nie sprzedali".

Forma ewentualnej pomocy Kościoła w Związku Sowieckim

Najbardziej skuteczną formą będzie tworzenie silnej i znanej w świecie opinii publicznej, ukazujące (bez narażania ludzi tam żyjących) gwałt zadawany podstawowym prawom człowieka, gdy chodzi o religię. Do dziś bowiem, zarówno w Rosji, jak i w innych krajach jej podporządkowanych, obowiązuje zasada: *cuius regio eius religio*. Wydaje się, że sprawa wolności religijnej dla wierzących, niezależnie od wyznania, powinna być przedkładana przez organizacje katolickie na konferencjach politycznych Wschód-Zachód (np. w Helsinkach) w formie, która by z kolei stała się znana światowej opinii publicznej, na którą jednak Rosja zwraca uwagę.

Sprawy wolności religii i przekonań powinny trafiać na łamy prasy, do telewizji i do radia. Ludzie wierzący w Rosji, zarówno katolicy jak prawosławni, powinni wiedzieć, że ich bracia w wierze nie zapominają o nich. Psychologicznie jest to ogromnie ważne, bo pomaga zachować nadzieję na zmianę w przyszłości. Ponadto może wywrzeć pewien dodatni dla Kościoła wpływ na politykę religijną Rosji sowieckiej. Jako przykład może tu posłużyć sprawa wyjazdu Żydów z Rosji do Izraela, gdzie pod wpływem zorganizowanej opinii władze sowieckie zmieniły politykę, dotyczącą emigracji Żydów.

J. MIRSKI

W sowieckiej prasie

7 października *Izwiestia* zamieściły na pierwszej stronie komunikat: „Izrael napadł na Egipt, Syrię i Liban". *Izwiestia* ukazują się po południu tak że było jasne, iż wojna na Bliskim Wschodzie trwa już 24 godziny i wszyscy doskonale wiedzieli kto na kogo napadł. W następnych dniach prasa sowiecka nadal publikowała tylko arabskie komunikaty wojenne, kładąc nacisk na zwycięstwa wojsk arabskich i na agresywne zamiary syjonistów. Jednak w tych sowieckich komentarzach o odniesionych zwycięstwach brak prawdziwego przekonania i specjalnego zadowolenia. Prasa sowiecka relacjonując wystąpienie przedstawiciela ZSSR w ONZ — Malika, oskarżającego, że bombowce izraelskie zniszczyły w Damaszku sowiecki ośrodek kulturalny, usunęła z jego przemówienia ustęp o zabitych obywatelach sowieckich. Albo ci obywatele nie zginęli, albo w Moskwie nie chcą doprowadzać „antysyjonistycznych nastrojów" do punktu wrzenia.

Piszę ten przegląd w chwili kiedy czwarta arabsko-izraelska wojna dopiero się rozkręca. Nikt jeszcze — jak przypuszczam — nie decyduje się na wysuwanie przewidywań przyszłości — co do rezultatów tej wojny. Ale jedno można stwierdzić już dzisiaj, po tygodniu działań wojennych: broń sowiecka, a w tym najnowsze modele rakiet, okazała się decydującym czynnikiem, który spowodował sukcesy armij arabskich w pierwszym etapie walk. I już dziś można założyć, że przywódcy sowieccy — niezależnie od wszystkich innych planów i zamierzeń — wykorzystują wojnę na Bliskim Wschodzie jako poligon dla wypróbowania swej broni w warunkach bojowych.

Zachodni eksperci wojenni ze zdumieniem odnotowują niezwykły wzrost efektywności rakiet sowieckich w porównaniu z ich działaniem jeszcze nie tak dawno, w Wietnamie. Dziś nikt nie ma wątpliwości, że doświadczenie wietnamskie zostało wykorzystane, że wietnamski poligon przyczynił się do udoskonalenia broni sowieckiej.

Jak wiadomo, już starożytni Rzymianie mówili: „Jeśli chcesz pokoju, szykuj wojnę". Na przestrzeni ostatnich dwóch lat przywódcy sowieccy nie przestają zapewniać, że chcą pokoju. I jak dziś to widać najzupełniej wyraźnie — nie przestają przygotowywać wojny. Ale przeciw komu?

Jeśli sobie przypomnimy, że po zakończeniu drugiej wojny światowej sowieckie siły zbrojne biły się jedynie na rzece Usuri (nie można nazwać wojną przechadzki po Czechosłowacji) odpowiedź będzie jasna. W ostatnich miesiącach możliwość wojny chińsko-sowieckiej zwróciła uwagę publicystów. W *Literaturnej*

Gaziecie z 3 października etatowy komentator problemów międzynarodowych, Ernst Henry, odpowiadał jednocześnie na dwa artykuły zachodnich specjalistów: na artykuł amerykańskiego profesora Vernona Aspaturiana w piśmie *Survey* i na artykuł amerykańskiego publicysty Josepha Alsopa w *Reader Digest*. Warto zauważyć, że artykuł Alsopa ukazał się w październikowym numerze *Reader Digest*, a odpowiedź nastąpiła już 3 października (zapewne dlatego by nie stwarzać wrażenia zbytniego pośpiechu E. Henry oświadcza, że artykuł Alsopa ukazał się w sierpniowym numerze amerykańskiego pisma). Wiemy co może odpowiedzieć sowiecki komentator. Odpowiada tak, jak dziś należy odpowiedzieć: wyciągając z artykułów Amerykanów wzmianki o chińskich przygotowaniach do wojny z ZSSR stwierdza on, że Związek Sowiecki ze wszystkich sił dąży do pokoju, że jest przeciwko wojnie. Po krótce: Chińczycy chcą z nami walczyć, a my im odpowiadamy — pokój, przyjaźń. Artykuł Josepha Alsopa, dziennikarza „anty-sowietczyka", jak określa go E. Henry, nosi tytuł „Czy Rosja napadnie na Chiny?". W sierpniu 1973 roku przeniknął na Zachód wielki artykuł, napisany w Związku Sowieckim, zatytułowany: „Dlaczego potrzebna jest wojna z Chinami?". O tym artykule wspomniał w swoim interesującym przeglądzie Brukselczyk w październikowej *Kulturze*, nazywając go co prawda „dziwnym dokumentem". Mnie się wydaje, że ten artykuł, podpisany pseudonimem Andriej Samochin, zasługuje na znacznie większą uwagę niż udzielił mu jej Brukselczyk.

Zacznę jednak od artykułu Josepha Alsopa, starego, doświadczonego dziennikarza, od dawna zajmującego się Chinami, który był tam niedawno i przeprowadził rozmowy z przywódcami polityki chińskiej — w tym trzygodzinną rozmowę z Czu En-lai'em. Joseph Alsop pisze, że w roku 1969 sowieccy attachés wojskowi w Tokio, Canberze i „w jeszcze jednej stolicy" w jednym i tym samym czasie zadali swoim kolegom amerykańskim jedno i to samo pytanie: „Czy nie uważacie, że nie byłoby źle, by zlikwidować jednym uderzeniem chiński potencjał atomowy?". W sierpniu 1969 roku Nixon w sposób najbardziej stanowczy odpowiedział, że ta koncepcja Stanom Zjednoczonym nie podoba się. I wtedy — pisze Alsop — Związek Sowiecki chwilowo ze swego planu zrezygnował, uważając, że nie jest jeszcze przygotowany. Od 1969 roku zaczyna się nasilenie wojskowego potencjału sowieckiego na granicy chińskiej. „Byłoby śmieszne" — pisze amerykański dziennikarz — „zakładać, że ludzie nigdy nie robią tego, do czego się jawnie przygotowują". Rząd chiński traktuje groźbę wojny prewencyjnej najbardziej serio. W odpowiedzi na pytanie jakiego jest zdania o obecnych kierownikach sowieckich, Czu En-lai „gorzko odpowiedział: znacznie gorsi od Chruszczowa". Joseph Alsop wylicza trzy powody, które mogą skłonić Związek Sowiecki do napaści na Chiny: pierwszy — sowieckie pretensje do kierowania światowym ruchem komunistycznym; drugi — instynktowny, „być może irracjonalny", strach przed Mongołami, przed żółtym niebezpieczeństwem; wreszcie powód trzeci: strach

przed zmianą równowagi sił światowych jaka nastąpi gdy Chiny staną się wystarczająco silne, aby wojna prewencyjna przeciwko nim nie opłacała się. Amerykański dziennikarz uważa, że jest 25 % prawdopodobieństwa, że Związek Sowiecki w ciągu najbliższych trzech lat napadnie na Chiny. Analiza Alsopa zasługuje na uwagę, choć w rzeczywistości powtarza on wszystko to, o czym mówiono już w tej sprawie na Zachodzie. Problem możliwości konfliktu chińsko-sowieckiego Alsop i inni obserwatorzy zachodni rozpatrują przede wszystkim z punktu widzenia stosunków międzynarodowych. Artykuł Andrieja Samochina analizuje prawdopodobieństwo napaści ZSSR na Chiny z punktu widzenia wewnętrzno-sowieckich problemów, i w tym jest jego specjalne znaczenie. Autor artykułu nie stawia pytania: Czy Rosja napadnie na Chiny, czy nie. Uważa on odpowiedź na to pytanie za oczywistą. Tak, napadnie, gdyż ta napaść jest niezbędna sowieckiemu kierownictwu w pierwszym rzędzie dla rozwiązania problemów wewnętrznych. „Oceniając sytuację w całości można z całą pewnością powiedzieć, że tak zaplątanego i zaciśniętego węzła ekonomicznych, społecznych i politycznych problemów nie było w historii tego kraju od czasu wojny domowej. Co trzeba zrobić by „rozplątać" ten węzeł? Czy rozciąć go? Nawet jeżeli trzeba by było rozciąć go mieczem atomowym?".

Andriej Samochin wylicza cele, o których osiągnięciu marzą sowieccy przywódcy w wyniku wojny (naturalnie zwycięskiej): wojna pozwoli osiągnąć „zjednoczenie partii z narodem", skupić naród w obliczu niebezpieczeństwa — obojętnie prawdziwego czy rzekomego; po wojnie atomowej, nawet krótkiej, nie będzie mowy o domaganiu się swobody słowa, jednostki, prasy; będzie można zwalić na wojnę wszystkie niewypełnione obietnice, wszystkie niepowodzenia, wszystkie pomyłki, będzie można na dziesiątki lat odłożyć „założenie fundamentów pod wspaniały gmach komunizmu". Po wojnie będzie można kraj całkowicie izolować i dokładnie, po stalinowsku, go wyczyścić.

Autor artykułu zaznacza, że wśród kierownictwa Związku Sowieckiego nie wszyscy są zgodni co do niezbędności wojny z Chinami: jedna grupa naciska na natychmiastową wojnę, druga woli „poczekać". Podział przechodzi nie po linii — wojskowi z jednej strony — partyjni i działacze z drugiej. Ci, którzy chcą czekać liczą, że po śmierci Mao w Chinach nastąpią zamieszki, które będzie można wykorzystać, ci zaś, którzy czekać nie chcą uważają, że trzeba będzie tak czy inaczej uciec się do użycia siły, a więc lepiej to zrobić wcześniej niż później.

Wszyscy zachodni obserwatorzy stwierdzają koncentrację sowieckich sił wojskowych na granicy z Chinami. Pisze o tym i Andriej Samochin cytując w szczególności sowiecki podręcznik „Historii Wojennej" (Moskwa, 1971, str. 273), w którym mówi się: „Doświadczenie operacji mandżurskiej (idzie tu o wojnę z Japonią w 1945 roku) potwierdza możliwość wojskowego wykorzystania zasadniczych rodzajów wojsk w specyficznych warunkach dalekowschodniego teatru działań wojennych". Ale oprócz tego

Andriej Samochin cytuje fakty nieznane Zachodowi: „Zmiany w wewnętrznym życiu kraju — które według niego — mówią znacznie więcej o przygotowaniach do wojny niż koncentracja sowieckich wojsk na granicy chińskiej".

Wśród tych „zmian" autor cytuje: wprowadzenie surowego systemu przepustek na pociągi i samoloty w wielu rejonach Dalekiego Wschodu, przylegających do granicy chińskiej, gdzie do niedawna takie przepustki nie były wymagane; poza tym wprowadzono ograniczenie poruszania się ludności na skrajnej północy, gdyż tam przenosi się więźniów, których ewakuuje się z zony konfliktu; wprowadzono w życie znacznie bardziej surowe zasady przyjmowania i usuwania z ewidencji wojskowej; wzmaga się przygotowywanie zapasów produktów, które dają się przechowywać przez czas dłuższy; od maja 1972 roku politrucy w armii otrzymali tajne polecenia wzbudzania przy pomocy wszelkich metod niechęci do Chin, chińskiego stylu życia i do samych Chińczyków; reorganizacja Politbiura w kwietniu 1973 roku miała na celu scentralizowanie władzy w jednym, nielicznym głównym organie kierowniczym; przygotowuje się oświadczenie, że Chiny „nie są krajem socjalistycznym" i wykluczenie ich „z światowej, komunistycznej łże-cerkwi".

Andriej Samochin przewiduje, że konflikt może wybuchnąć w ciągu najbliższych czterech-pięciu lat. Argumenty autora artykułu są, ma się rozumieć, tylko przewidywaniami. Podaje on jednak wystarczająco dużo danych, które jego przypuszczeniom dają solidną podstawę. Warto na przykład podkreślić, że dosłownie w ostatnich dniach wyszedł kolejny „Jeżegodnik" Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej, w którym, w artykule o Chinach, usunięto określenie chińskiej Republiki Ludowej jako państwa socjalistycznego. Jest to jak gdyby potwierdzenie słuszności informacji Andrieja Samochina.

Wojna na Środkowym Wschodzie, w której broń sowiecka odgrywa tak wielką rolę, może być jeszcze jednym argumentem za wojną prewencyjną z Chinami, którego do tej pory brakowało zwolennikom tej wojny.

◆

Kampania przeciw A. Sacharowowi rozpoczęta z ogromnym rozmachem w sierpniu, nagle we wrześniu zachłysnęła się. Jeszcze trafiają się gdzieniegdzie (np. w *Literaturnej Gaziecie* Nr 40) przedruki z zachodnich komunistycznych pism, specjalnie szeroko wykorzystuje się tu *Humanité*, ale swoi przestali krzyczeć. Albo podziałało pismo Amerykańskiej Akademii Nauk, która zagroziła przerwaniem współpracy naukowej ze Związkiem Sowieckim, jeśli nie skończy się zaszczuwanie akademika Sacharowa, albo zachodni komuniści zaczęli się skarżyć. W każdym razie przestały ukazywać się petycje pisarzy, akademików, kompozytorów i dojarek — domagające się ukarania uczonego. Ale w tej samej chwili kiedy zbierało się podpisy, publikowało petycje i organi-

zowało się zebrania — miesięcznik *Nowyj Mir* (Nr 8) ogłosił opowiadanie, w którym ta cała procedura została bezlitośnie wyśmiana.

Muszę z miejsca się przyznać, że nie jestem znawcą literatury perskiej. Naturalnie, w odległej młodości, zdarzało mi się czytać Fierdusiego, Omar Hayami albo Rudaki. Ale — przyznaję ze wstydem — współczesna literatura irańska jest mi całkowicie nieznana. Dlaczego, zobaczywszy w ostatnim numerze *Nowego Mira*, w rubryce „Głosy dwóch kontynentów" — dopasowanej do konferencji pisarzy krajów Azji i Afryki — opowiadanie Hosrou Szahani „Huragan" chciałem go opuścić ale gdy już na pierwszej stronie przeczytałem znane mi słowa: „więc właśnie zamkną cię do kozy" — zacząłem czytać dalej (na szczęście opowiadanie liczy tylko trzy i pół strony) — co dało mi satysfakcję, jakiej od dawna już nie odczuwałem czytając utwory zamieszczane w *Nowym Mirze* (no, i w innych sowieckich pismach również).

Akcja opowiadania rozgrywa się w Iranie, w mieście gdzie przez cały rok szaleje huragan, który zniszczył wszystkie drzewa i krzewy. Pewnego wieczoru bohater opowiadania, chowając się w domu przed kolejnym huraganem — napisał list do przyjaciela mieszkającego w Teheranie. Między innymi wspomniał, że „i wrogowi nie życzę mieszkania w mieście, gdzie panuje nieprzenikniony mrok, gdzie z powodu tego przeklętego huraganu wszyscy chodzą z zamkniętymi oczami i nikt nie odważa się rozglądać dokoła czy otworzyć usta, a już jeśli idzie o wypowiadanie się, to od dawna...". List został wysłany. Nagle do naszego bohatera przyszedł przyjaciel i poinformował go, że w mieście „organizuje się ogromną petycję i że wszyscy obywatele pod nią się podpisują. W petycji mówi się, że w naszym mieście nigdy nie było wiatru, że dzięki nieustannym zabiegom pana gubernatora, przedstawiciela magistratu i szanownych naczelników oddziałów nasze miasto nie ma sobie równego jeśli idzie o czystość i porządek. Twierdzić coś innego może tylko zdrajca i wróg. Wszyscy podpisujący się domagają się natychmiastowego stawienia ciebie przed sądem".

Zdumiony autor listu może wydusić z siebie tylko jedno zapytanie: „Okazuje się więc, że choć u nas wiatr wieje, trzeba mówić, że wiatru nie ma. Czy dobrze cię zrozumiałem?" Następnego dnia zjawiło się u niego „dwóch w cywilu" i zaprowadzili go do gubernatora, któremu „odpowiedzialne organy" list przekazały. „Jak list trafił do odpowiedzialnych organów — mówi bohater — nie mogę do tej chwili zrozumieć". Rozmowa z gubernatorem była krótka. Oskarżonemu pokazano mapę. „Co to jest? — spytano go. — Wydaje mi się, że to jest plan naszego miasta — odpowiedział. — Przyjrzyj się uważnie i powiedz co jest narysowane na jego brzegach? — Na brzegach są narysowane sosny, jodły i inna roślinność. — Czy rozumiesz co to wszystko znaczy? — Nie... — To jest projekt zaplanowanego zalesienia, które powinno zagrodzić drogę huraganowi. Czy zrozumiałeś? — Tak, ekscelencjo, zrozumiałem. — Jeśli wszystko tak dobrze rozumiesz, to dlaczego napisałeś ten list? — Z głupoty...".

Wyrok był lekki. Biorąc pod uwagę szczery żal i stosując maksymalną pobłażliwość, oskarżonego skazano, by w ciągu sześciu miesięcy trzy razy dziennie po godzinie krzyczał na głównym placu w mieście slogan: „Precz ze zdrajcami".

Gdy członkowie sądu razem z oskarżonym wyszli na ulicę rozpoczęła się taka burza piaskowa, że wszyscy „natychmiast stracili siebie z oczu. Wicher tak wył i świszczał, żeśmy stali z zaciśniętymi oczami, nie odważając się rozejrzeć dokoła. Chciałem krzyczeć: Panie Gubernatorze, czcigodni sędziowie! Jeśli to nie jest huragan, to co to jest? — Ale z powodu huraganu nie można było nawet otworzyć ust, a tym bardziej mówić. Wszystkie drzwi były zamknięte, na ulicach ani żywego ducha, a wicher wył jak głodny wilk i zmiatał wszystko ze swej drogi".

Tak kończy się opowiadanie.

Naturalnie możliwe, że ten opis wiernie oddaje sytuację w Iranie. Tak samo z całym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że opowiadanie jest wyłącznie aktualne dla Związku Sowieckiego, zresztą już Mikołaj I bardzo nie lubił jeśli ktokolwiek pisał, że w Rosji jest zły klimat. Cenzura tamtych czasów wykreślała wszystkie uwagi o niezdrowych petersburskich mgłach czy syberyjskich wiatrach nie tylko z powieści, ale również z dzienników podróży.

Jakby tam nie było można przypuszczać, że sowiecki cenzor, który puścił opowiadanie irańskiego pisarza, będzie miał poważne przykrości. Nie będziemy go jednak żałować. Opowiadanie Hosrou Szahani to pewna rekompensata za to wszystko, co w ostatnich latach drukuje *Nowyj Mir*. Za jeden z najbardziej malowniczych przykładów „szeregowej produkcji literackiej", zapełniającej strony pisma, można uważać ogromny poemat jednego z sekretarzy moskiewskiego Oddziału Związku Pisarzy Sowieckich, Siergieja Narowczatowa, pt.: „Wasilij Busłajew". Nowgorodzki kupiec Wasilij Busłajew to jeden z ulubionych bohaterów rosyjskich bylin, siłacz, śmiałek, który nigdy nikomu nie chciał się podporządkować, poświęcający wszystko dla wolności. Siergiej Narowczatow dzieli swój poemat na dwie części: w pierwszej Waśka Busłatow jest taki, jakim przedstawiają go byliny, w drugiej to chciwy władzy samodzierżawny władca Wielkiego Nowgorodu. Nie odpowiada to faktom historycznym, ale za to bardzo dobrze odpowiada chęciom kierowników literatury sowieckiej. W początku lat dwudziestych poeta sowiecki Nikołaj Asiejew pisał: „Niech żyje rewolucja, która skończyła z władzą starców!" Siergiej Narowczatow pisze inaczej: „Młodości — szaleństwo, młodości — odwaga, młodości — wolność, starości zaś — władza". A potem następuje szereg stronic z wyliczeniem na co może liczyć młodość: przede wszystkim na pocałunki, na wino, na tęsknotę. Ale pod koniec każdego wyliczania — następuje stwierdzenie: starości — władza. W poemacie łatwo odkryć mnóstwo aktualnych aluzji: do Chin, do NRF, do USA

i do Marksa. Sekretarz oddziału Związku liczy koniec końcem nie tak dużo — bo 54 lata, ale, jak wiadomo, generalny sekretarz KC ma o wiele więcej. Jemu poemat może się podobać. Możliwe, że poecie udało się odgadnąć jego myśli. Sekretarz zrozumiał sekretarza.

◆

Kończy się organizacyjna praca dla zabezpieczenia przywilejów, jakie otrzymał rząd sowiecki podpisując 27 maja 1973 roku Konwencję o prawach autorskich. We wrześniu utworzono w Moskwie specjalną wszechzwiązkową Agencję dla praw autorskich. W wywiadzie udzielonym przez przedstawiciela Agencji, były redaktor *Komsomolskiej Prawdy*, Borys Pankin, cele i zadania Agencji wyykłada z czarującą prostotą: „Prawa autorskie sowieckich pisarzy, uczonych, kompozytorów, artystów podlegają nieustannej ochronie... Ochraniać je będzie Agencja". Gdyż — jak oświadczył Borys Pankin — do rozmów z wydawcami w sprawach honorariów „w naszym kraju najbardziej odpowiednia jest Agencja". Dla samych autorów byłoby to „kłopotliwe i nieekonomiczne". Do tego wszystkiego „w naszym kraju, jak wiadomo, istnieje monopol państwa na handel zagraniczny. Akt sprzedaży cudzoziemskiej firmie praw na wykorzystanie utworu, to jest operacja z dziedziny handlu zagranicznego, której nie może u nas załatwić samodzielnie człowiek prywatny" — zakończył Pankin. Agencja w ten sposób automatycznie nabywa prawa do wszystkich powstających w ZSSR utworów literackich, muzycznych, artystycznych, itp. Sprzedaje je — otrzymuje za nie honoraria — i wypłaca je autorom. Jest już wiadomo, ile będzie wypłacać. Na początku września ogłoszono w „Biuletynie Najwyższej Rady ZSSR" dekret, który pozwala zabierać pisarzowi 75 % tego honorarium; poprzednio podatek od honorarium zagranicznego nie przewyższał 3 %.

W odpowiedzi na pytanie: czy zyskaliśmy (Związek Sowiecki) czy też straciliśmy na przyłączeniu się do Konwencji autorskiej, Borys Pankin nie uchylił się od szczerej odpowiedzi: „Wygrała sprawa pokoju, wygrywają twórcy duchowych wartości, gdyż wzrasta szacunek do ich nielekkiej pracy".

Adam KRUCZEK

Kronika czeska i słowacka

INDEX

Leży przede mną arcyciekawy dokument — wykaz zakazanych dzieł i autorów, których dzieł na terenie Czeskiej Republiki Socjalistycznej czytać nie wolno. Dokument, którego treść postaram się zanalizować, został wydany w wykonaniu słynnego zarządzenia byłego ministra kultury CSR Miloslava Brużka (p. *Kultura*, nr 9/312). Index obejmuje 356 autorów, z tego 146 autorów, czyli 41 %, jest zakazanych całkowicie — inni autorzy dotknięci zostali tylko częściowo, tzn. niektóre z ich dzieł objęte zostały zakazem. Ponieważ jednak wykaz obejmuje zarówno autorów objętych całkowitym zakazem, jak i dzieła zbiorowe, przeto trudno było dokładnie ustalić ilość zakazanych dzieł. Zważywszy jednak, że większość wymienionych w wykazie dzieł podana jest obok nazwisk autorów, oraz że niektórzy spośród zakazanych całkowicie napisali kilka książek, przeto należałoby przyjąć, iż ilość zakazanych dzieł wynosi około 500.

Kto został zakazany całkowicie? Listę tych autorów da się podzielić na kilka kategorii. Do pierwszej zaliczyłbym twórców i czołowych działaczy pierwszej republiki: T. G. Masaryka i E. Benesza, co do których jest wzmianka, że zakazane są również wszelkie prace o nich — tzn. o pierwszym i drugim prezydentach republiki. W myśl starej sowieckiej zasady — depersonifikacji, czyli skazania na zapomnienie. Do drugiej grupy autorów zaliczam czołowych działaczy i przywódców „praskiej wiosny" — Dubczeka, Smrkovskiego, Cisarza, Mlynarza, J. Hajka. Trzecia grupa obejmuje działaczy „wiosny praskiej", którzy nie zaprzestali działalności na emigracji — Svitaka, Szika. Pelikana, Löbla, Londona i innych. Dalej idą autorzy skazani w znanych procesach: Hübl, Bartoszek, Lederer, Hochman, Kyncl. Całkowicie zakazani są tacy pisarze jak Kohout, Klima, Vaculik, Trefulka; filozofowie jak Kosik, Kusy, Kalivoda; opozycyjni pisarze sowieccy — Sołżenicyn, Anat. Kuzniecow, Zamiatin, ale w grupie tej znaleźli się również pisarze z innych krajów: Mrożek (jakby inaczej!), Sartre, Gide. Osobną grupę stanowią zagraniczni filozofowie i socjolodzy: E. Fromm, E. Fischer, R. Garaudy, H. Marcuse. Przeciwko nim propaganda czechosłowacka od dawna strzelała z najcięższej artylerii.

Przypatrzmy się jednak bliżej tytułom zakazanych dzieł, bo to także lektura nader pouczająca. Listę otwierają dzieła L. Aszkenazego, autora niezmiernie poczytnego i tłumaczonego na wiele języków, w tym również na polski. Dalej idzie Antoni Czechow (sic!) — Szwedzka zapałka. Nie mogę odgadnąć, jaką to szkodę poczciwy Czechow wyrządził Husakowi, ale autorzy indexu wyjaśniają, iż stało się to z powodu dramatyzacji tego utworu przez Alfreda Radoka, który objęty został anatemą całkowitą. Podobny los spotkał starego Marksa i Lenina, ponieważ zbiorowe tomy tych ostatnich redagowane były m.in. przez takich zdrajców klasy robotniczej jak Zd. Eis.

Nie został objęty całkowitym zakazem (dlaczego?) Franz Kafka, o którym prasa czechosłowacka ostatnio rozpisywała się bez miary. Kto by jednak zechciał przeczytać jego „Listy do Mileny" — tego spotka zawód, bowiem to właśnie dzieło zostało zabronione. Ale do dzieł zabronionych zaliczyć należy również książkę Mikołaja Kozakiewicza, znanego skądinąd w PRL autora prac o młodym pokoleniu. Ciekawy jestem co na to władze PRL, czy pójdą w ślady czeskich cenzorów? Adama Schaffa zakazane są dwie książki: „O krytyce polskiego rewizjonizmu" (1957) i „Wstęp do semantyki" (1963). Zakazem objęto książkę E. Kardelja — „Notatki o krytyce społecznej" (1966) — wiadomo, nie wolno krytykować — oraz J. F. Kennedy'ego „Profile odwagi". Co do tego ostatniego tytułu to też wiadomo — czechosłowaccy władcy najmniej potrzebują ludzi odważnych. Przy okazji ciekawostka. Zakazana została książka „W Londynie podczas wojny" B. Lastoviczki, przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego za czasów Novotnego oraz nadal członka najwyższych władz partyjnych. Autor, podobnie jak kilku innych czołowych komunistów czechosłowackich, spędził wojnę w Anglii. Powodem zakazu są rozgrywki w łonie kierownictwa partyjnego.

Oczywiście, zakazana jest cała literatura polityczna „praskiej wiosny", nawet stenogram z plenum KC KP Słowacji, na którym Gustav Husak wybrany został I sekretarzem KC KPS.

Na zakończenie tego smutnego dokumentu nietolerancji: dzieło Lope de Vegi „Bunt w domu wariatów"...

Karol SZWEDOWICZ

CONTRA PUBLISHING

PRZEDSTAWICIELSTWO

POLSKIEJ FUNDACJI KULTURALNEJ W LONDYNIE,
INSTYTUTU LITERACKIEGO W PARYŻU
i
OFICYNY POETÓW I MALARZY W LONDYNIE

- Doręcza wyłącznie drogą pocztową książki wymienionych wyżej wydawnictw.
- Przyjmuje prenumeratę na miesięcznik *Kultura,* Kwartalnik *Zeszyty Historyczne,* tygodnik *Wiadomości* i *Dziennik Polski.*
- Wszystkie książki wysyła się odwrotną pocztą po otrzymaniu zamówienia. Zamówienia płatne z góry. Do ceny książek należy doliczyć 10 % na koszty przesyłki.
- Katalogi wysyła się bezpłatnie.
- Sprzedaż książek wyłącznie drogą pocztową.

CONTRA PUBLISHING
54, NORMAN AVENUE,
BROOKLYN, N.Y. 11222.

Kraj

Glossy do wydarzeń

Pięć lat temu zastanawiano się na Zachodzie czy na ewolucję komunizmu sowieckiego większy wpływ wywrze demokratyzacja w krajach Europy Wschodniej, czy nacjonalizm komunistyczny. Dzisiaj wiemy już bez żadnej wątpliwości, że ani komunizm demokratyczny ani nacjonalistyczny, ale chiński będzie wpływał na losy imperium rosyjskiego i jego prowincji ościennych, noszących dumną nazwę Demokracji Ludowych.

Przez pierwsze dziesięć lat od śmierci Stalina politolodzy zachodni i optymiści ze Wschodu delektowali się: dopiero trzy, pięć, siedem lat od śmierci tyrana, a już tak wiele się zmieniło. Dzisiaj, po dwudziestu latach od jego śmierci, wiemy już doskonale, że poza zaniechaniem otwartego i bezsensownego terroru, nie zmieniło się nic, albo bardzo mało.

Ostatnie lata nie tylko nie przynoszą zmiany na lepsze, ale raczej proces stałej regresji wolności i suwerenności krajów Europy Wschodniej.

Starcie komunizmu chińskiego i rosyjskiego, z którym należy wiązać nadzieje na zmiany w bloku sowieckim, nie jest starciem komunizmów mniej lub bardziej prawdziwych, ale konfliktem dwóch imperializmów nacjonalistycznych. Są to imperializmy krajów zapóźnionych, w gruncie rzeczy dopiero rozwijających się, w których do głosu dochodzą kompleksy i chorobliwe urazy, zniekształcające poczucie narodowe. Na patologiczny charakter dążeń imperialno-narodowych w Rosji i Chinach wpływają także deformacje polityki tych krajów, wynikające z ich systemów rządów, które mimo wszystkich pozornych i prawdziwych przeciwieństw stanowią w istocie podobną, partyjną lub wojskowo-urzędniczą oligarchię biurokratyczną. Prawa socjologiczne rządzące tego rodzaju oligarchiami zaostrzają jeszcze dewiacje narodowo-imperialne obu zapóźnionych w rozwoju olbrzymów. Biurokracje partyjne, urzędnicze i wojskowe potrzebują śmiertel-

nych wrogów swoich narodów i ich roszczeń do hegemonii światowej, aby mieć tytuł do absolutnej i niekwestionowanej władzy. Ideologia marksistowska, czy socjalistyczna, jak już nieraz stwierdzono, nie jest niczym innym jak instrumentem dającym rządzącym uzasadnienie ich władzy. Po jakiż bowiem inny instrument mogą sięgnąć, skoro nie opierają się o zasady dynastyczne ani demokratyczne. O polityce Rosji i Chin decydują niezmiennie motywy imperialistyczne, choć głoszone zasady socjalistyczne zmuszają te państwa do różnych koncesji na rzecz potrzeb narodów, z którymi zupełnie nie musiał się liczyć carsamodzierżca. Dlatego niesłuszny byłby pogląd, że w imperiach rosyjskim i chińskim nie istnieją pewne urządzenia i zdobycze socjalistyczne. Są one niezaprzeczalnym faktem. Ale granice ich wyznacza interes rządzącej oligarchii partyjno-urzędniczej i jej pretensje do hegemonii swego mocarstwa w polityce światowej. Dążeniu do hegemonii politycznej jest w szczególności podporządkowana piękna zasada internacjonalizmu socjalistycznego. Dla ZSSR internacjonalistyczne jest to co służy interesom Rosji, dla Chin to co umacnia ich pozycję w świecie! Zaiste ideały socjalistyczne, społeczne i międzynarodowe nigdy nie były tak cynicznie i bezwzględnie deptane. Daje to taki skutek, że np. w Rosji silne są prądy nacjonalistyczno-religijne, a w Polsce modny jest nie tylko nacjonalizm, ale i konserwatyzm. Być może ożywi to polską myśl polityczną przypominając jej pewne zapomniane tradycje. Cóż jednak oznaczać może konserwatyzm w kraju, w którym cały przemysł jest państwowy, w większości zbudowany przez państwo, reprywatyzacja jego nigdy nie będzie możliwa, a socjalizacja gospodarcza i społeczna zostaną na zawsze oczywistą koniecznością.

Polityka polska nie może dzisiaj — wbrew wszystkim pozorom — żyć pod sugestią roku 1904 i podróży Piłsudskiego i Dmowskiego do Japonii. Polscy dogmatycy endeccy, czyli w praktyce pan Jędrzej Giertych w Londynie i typki w rodzaju pana Edmunda Męclewskiego w Warszawie, sądzą że trzeba iść z Rosją przeciwko Chinom, Ameryce i całemu światu. Pan Mijal jest agentem albańskim i chętnie zrobiłby rewolucję w PZPR, bo w Polsce pozbawiono go stanowisk. Jest on jednak stalinistą, a nie niepodległościowcem. Nie ma w Polsce niczego takiego, co można by porównać z osobą i działalnością Józefa Piłsudskiego. Nie ma też, i chyba słusznie, przeciwstawnych orientacji, które wystąpiły przed pierwszą wojną światową. Rosjanie nie chcą mieć u nas sojuszników lecz agentów i dopóki ten stan będzie trwał nie ma realnych szans na inną koncepcję prorosyjską niż ta, którą wyraża PZPR. Chińczykom wystarcza za sojusznika Mijal i dobrze że tak jest, bo ich interesy w Europie są mocno sprzeczne z naszymi. Jedni sądzą, że nieuchronna jest wojna prewencyjna Rosji przeciwko Chinom, inni uważają, że jest na nią o kilka lat za późno. Jest to kwestia strategiczno-wojskowa i trudno wyrobić sobie o niej pewny pogląd. Ale sprawa ma swoją stronę psychologiczno-polityczną. Trzeba znać mentalność

kierownictwa sowieckiego. Nie należy go nie doceniać. Rosjanie boją się awantury. Są w pełni świadomi wszystkich słabości swojego systemu. Wolą popychać innych do walki. Są pomni doświadczeń USA w Wietnamie. Boją się długotrwałej wojny partyzanckiej. Wiedzą, że mają już dużo do stracenia i że arbitrem w ich wojnie z Chinami byliby Amerykanie. Nie można wykluczać, że okoliczności popchną Rosję, wbrew jej woli, do wojny z Chinami. Ale trudno przewidzieć kiedy to nastąpi i co przyniesie. Natomiast pewne jest, że nawet „zbrojno-pokojowa" rywalizacja Rosji i Chin, choć jej efekty będą ujawniały się stopniowo, wyznacza sytuację krajów Europy Wschodniej.

Nie w tym sensie, aby należało robić w Polsce chińską orientację i antyrosyjską awanturę, która w obecnych warunkach skończyłaby się krwawą łaźnią. Także nie należy pomagać imperializmowi sowieckiemu w zaciskaniu jego obręczy na krajach Europy Wschodniej, czego nie zdają się rozumieć tacy endecy jak Giertych lub nawet prof. Adam Bromke.

Polityka polska może liczyć na sympatie Zachodu to jest USA, Francji, Anglii, ale nie na realną pomoc tych krajów. Musi ona więc polegać na rozwiązywaniu swego odwiecznego dylematu: stosunków z sąsiadami.

Nie sposób oczywiście przewidzieć w jaki sposób konflikt chińsko-rosyjski wpłynie na rozwój stosunków narodowościowych między wschodnimi sąsiadami Polski. Jedno jest pewne, że okres absolutnej dominacji Rosjan musi się skończyć, a Polska powinna ułożyć sobie zgodne współżycie z Rosjanami, Ukraińcami, Białorusinami i Litwinami. Jest to oczywiście możliwe tylko w obecnych granicach wschodnich. Silna pozycja polityczna Polski w Europie będzie zależała od tego, czy nie będziemy uchodzili za burzycieli spokoju na Wschodzie. Wtedy nie tylko bezprzedmiotowe staną się ewentualne kombinacje polityczne rosyjsko-niemieckie lub ukraińsko-niemieckie, ale także państwa zachodnio-europejskie będą nam sprzyjały w ułożeniu pokojowych stosunków z Niemcami na linii Odry-Nysy. Rewizjoniści niemieccy — a nie może być wątpliwości że tacy będą się ujawniali bardzo silnie w razie przewidywanego rozwoju wydarzeń — pozostaną w impasie, jeśli nie będzie rewizjonistów polskich. Stąd przekonanie całej miarodajnej opinii polskiej do obecnej formuły terytorialnej Polski jest bardzo ważne dla sprawy polskiej w przyszłości. Opinia w kraju jest w tej sprawie bardziej jednolita, niż starszego pokolenia na emigracji. Nie mniej jednak, ze zrozumiałych względów, właśnie emigracji przypada większa rola niż ośrodkom krajowym w szukaniu kontaktów z elitami politycznymi naszych wschodnich sąsiadów. W kraju jest to zajęcie najniebezpieczniejsze z niebezpiecznych, co zresztą nie oznacza, że tam można po prostu „umyć ręce" w tej sprawie.

Należy także odnotować pojawienie się w Polsce w związku z konfliktem chińsko-rosyjskim swego rodzaju orientacji neoendeckiej. Neoendecy są za sojuszem z Rosją, abstrahując od sytuacji narodowościowej w ZSSR, czyli przechodzą do porządku

nad podstawowymi pojęciami demokratycznymi. Jest to dość zgodne z tradycjami endenckimi, ale bardzo sprzeczne ze światowym trendem zaniku zależności kolonialnych. Jest zrozumiałe, że polityczny *establishment* w PRL chcąc coś uzyskać od Rosjan traktuje ZSSR jako całość, nie wchodząc w jego wewnętrzne problemy. Komuniści i ci Polacy którzy są zmuszeni do działania na płaszczyźnie formuły państwowej PRL, nie mają innego wyjścia i mają tym samym swoje racje. Nie da się zaprzeczyć, że polityka ta wyraża w różnych sprawach polskie interesy i rację stanu. Na przykład układ warszawski między PRL a NRF był ważnym wydarzeniem w stosunkach polsko-niemieckich. Złudzeniem endeków jest jednak przypuszczenie, że przy dalszym istnieniu imperium sowieckiego w jego obecnym stanie ktokolwiek mógłby uzyskać lepsze warunki od Rosji niż komuniści. Złudzenie to żywił przez 28 lat Piasecki, okazało się, że bez żadnego rezultatu. Dziś żywi je pan Giertych i różne kreaturki i notoryczni oportuniści, którzy ostatnio ubierają się w szaty neoendeckie i deklamują o wspólnej polityce komunistów i nacjonalistów, oraz o jeszcze innych podobnych mitach. Uznawanie specyficznych okoliczności historycznych za zbieżność programów politycznych jest głupstwem. Inny, modny ostatnio, jego przejaw wśród neoendeków wyraża teza, że rozejście się komunizmu ze światową społecznością żydowską jest ważniejsze, niż gdyby nastąpiło pojednanie między marksizmem a chrześcijaństwem. Jeszcze piękniejszy mit głosi, że Żydzi stworzyli komunizm i tylko oni są w stanie go zniszczyć. Ten typ myślenia przypomina najgorsze tradycje endeckie. Nie da się jednak zaprzeczyć, że jest on w kraju rozpowszechniany i to nie bez życzliwego poparcia Bezpieki, która chce wykorzystać nacjonalizm i antysemityzm przeciwko tendencjom liberalnym i demokratycznym. Nic się nie zmieniło. Ochrana carska, gdy nie chciała stosować terroru, uciekała się także do podsycania niechęci narodowościowych, a rozpalanie antysemityzmu było zawsze jej ulubioną metodą. W Polsce nie ma Żydów, więc się ich „mianuje", „wymyśla", by był wróg i by można było odwracać uwagę od sytuacji politycznej i gospodarczej kraju. Goering powiedział: kto jest Żydem to ustalam ja. I tak teraz ustala się w PRL dowolnie kto jest Żydem, skazując go jednocześnie na śmierć cywilną, wyrzucenie z życia publicznego. Ludzie ci w większości wypadków nie podpadaliby nawet pod słynne norymberskie ustawy III Rzeszy. Ale przecież nie o nich chodzi. Idzie o odwrócenie nienawiści od reżymu w inną stronę. Rosyjska i polska tajna policja mają ułatwioną robotę i najprostszy schemat walki z uzasadniającym jej rację bytu wrogiem.

Wydrukowany parę miesięcy temu w *Kulturze* artykuł Leszka Kołakowskiego odbił się dużym echem w kraju, szczególnie ze względu na uznanie przez autora potrzeby kontynuacji takich nurtów ideowych w Polsce jak socjalistyczny, katolicki a nawet endecki. Chciałbym nawiązać właśnie do sprawy nurtu endeckiego. Zdaję sobie sprawę, że odważny na gruncie myśli lewicowej pogląd Kołakowskiego wynika z troski o podmiotowość kultury i myśli polskiej i o jej oparcie się „sowietyzacji". Nie zamierzam też podejmować dyskusji z Kołakowskim, przede wszystkim ze względu na demokratyczny charakter jego koncepcji. Uważam jednak za niezbędne poczynienie kilku uwag uzupełniających. Sowietyzacja życia polskiego jest zjawiskiem bardzo groźnym moralnie, deprawując sporą część społeczeństwa. W sferze myśli i przekonań jest bardzo powierzchowna i jak tylko nadarza się okazja różne środowiska społeczne manifestują swoją niezależność. Ostatecznie w ciągu ostatnich pięciu lat mieliśmy dwa olbrzymie wstrząsy społeczne, polała się krew, a sytuacja zmieniła się jakościowo, bo robotnicy i najbliższa im inteligencja techniczna i ekonomiczna uzyskali świadomość swojej wielkiej siły.

W kraju z wszelką pewnością nie wykorzystuje się wszystkich legalnych i realnych sposobów walki i dróg do czynu ale sytuacja powstającego społeczeństwa konsumpcyjnego jest tak dalece odmienna od wszelkich poprzednich wzorów, modeli i przykładów zmagań o niezależność, że nie należy uciekać się do analogii z przeszłością, choćby do 1905 roku. Nie zmienia to oczywiście konieczności walki o niezależność myśli i kultury polskiej wszędzie tam, gdzie jest to możliwe.

W walce tej dość specjalną rolę odgrywały właśnie tendencje narodowe tradycyjnie wrogie socjalistycznym i lewicowym. Endeckość była wrośnięta dość głęboko w życie polskie, a jej flirty z sowietyzmem są stosunkowo niedawne, a w ogóle dotyczy przecież ludzi mających znaczenie zupełnie marginalne, takich polskich *enfant terrible*'ów.

Natomiast większość nurtu endeckiego w Polsce, który zresztą nie ma już nic wspólnego z endeckimi organizacjami politycznymi, jest głęboko opozycyjna wobec sowietyzmu. Jest to jednak opozycyjność pchająca polską świadomość narodową wstecz, a nie do przodu. Ze względu na dość anachroniczne, nacjonalistyczne zapatrzenie w przeszłość, a nie w uniwersalne wartości kultury humanistycznej. Ze względu na uprzedzenia i kompleksy wobec dosłownie wszystkich naszych narodowościowych sąsiadów. Ze względu na utożsamianie polskości z katolicyzmem i odpisywanie na straty narodowe ateistów, liberałów i innowierców. Ze względu na przypominający się znów i niespodziewanie obmierzły zapach antysemicki. I jeszcze z kilku podobnych powodów, których nie ma potrzeby dłużej tu przytaczać.

Z tych wszystkich względów nie kwestionując demokratycznego prawa kontynuacji wszystkich polskich autentycznych kierunków myślowych, należy stwierdzić, że nurt endecki nie przejawia, niestety, tendencji odrodzeniowych, grzęznąc raczej w dogmatyzmie geopolitycznym i dość tanim tradycjonalizmie. Życząc mu odrodzenia i rozkwitu wielkie nadzieje polskiego programu wewnętrznego należy wiązać z zupełnie innym procesem niż kontynuacja kierunków historycznych.

Nadzieje te stanowić może tylko powstanie wielkiej, organicznej i silnej tradycji demokratycznej w Polsce. Opór przeciw sowietyzacji stwarza podatność społeczeństwa na ten kierunek rozwoju. Ale tradycji demokratycznej, to prawdę mówiąc, mamy w Polsce za mało. Wynika to nie tylko z braku państwowości w kształtującym oblicze Europy XIX wieku i nie tylko z autorytatywnych tradycji w historii II Rzeczpospolitej. Wynika to także z faktu, że naród po 20 latach niepodległości znów już od 34 lat żyje w systemach totalnych i w warunkach nienormalnych, które nie sprzyjają powstawaniu wielkiej tradycji demokratycznej.

Jej rozwój i głębokie wrośnięcie w świadomość narodową Polaków wydaje się chyba najważniejszym zadaniem polskiego programu wewnętrznego, polskiego wychowania społecznego.

Józef KALISKI

Otwieranie zamkniętej gospodarki

Potrzeba rozszerzenia kontaktów handlowych gospodarki polskiej z krajami zachodnimi urosła obecnie do rangi podstawowego kanonu strategicznego.

Od dwóch lat publicyści przekonują się wzajemnie, że licencje sprzedawane przez kraje zachodnie mogą lecz nie muszą prowadzić do podporządkowania gospodarczego, ale na pewno sprzyjają przypływowi postępu technicznego. Publicyści wyrywają sobie spod piór Japonię odkrywając, że już w 1960 roku 50 % eksportu japońskiego przemysłu elektromaszynowego, 35 % hutniczego i 24 % przemysłu chemicznego pochodziło z produkcji licencyjnej. I Japonia nie została podporządkowana — przeciwnie, stała się groźnym rywalem największych potęg. Od dwóch lat publicyści zaczęli sobie udowadniać, że „nawet" kredyty kapitału zachodniego mogą służyć gospodarce socjalistycznej i niekoniecznie muszą być połączone z warunkami politycznymi. W „Ekonomii politycznej socjalizmu" (wydanej przez KiW w 1972 roku) piszą: „Jeśli pożyczki zagraniczne lub zagraniczne inwestycje umożliwiają przyspieszenie rozwoju ekonomicznego, to ich występowanie w gospodarce socjalistycznej należy ocenić pozytywnie". Kiedyś wygłoszenie takiego poglądu wymagało niemałej odwagi, mogło przesądzić o karierze i losie autora — dziś

pogląd taki należy do mocnych stron „nowej strategii gospodarczej". Jeszcze nie tak dawno w propagandzie całego bloku wschodniego dominował hurra-optymistyczny ton o wyższości ekonomicznej gospodarki wschodniej nad gospodarką zachodnią, o przyśpieszonym doganianiu czołówki światowej — obecnie coraz częściej mówi się o potrzebie przyśpieszonej likwidacji luki technologicznej i konieczności otwarcia zamkniętej gospodarki — szerszego otwarcia na Zachód. I słusznie, najwyższy czas — już nawet kremlowskie kuranty wskazują za pięć dwunastą...

Cena izolacji

Polska i inne kraje socjalistyczne przez długi okres nie rozwijały zakupu ani wymiany licencji z krajami zachodnimi. Dziś wskazuje się na wiele przyczyn — takich jak ograniczenia nakładane przez kraje zachodnie na eksport wiedzy technicznej do Europy Wschodniej, tendencje autarkiczne w ramach bloku wschodniego, brak odpowiednio przygotowanego aparatu handlu zagranicznego, niedostatek dewiz itd. W istocie główne przyczyny miały charakter polityczny ukształtowany w okresie zimnej wojny. Związek Sowiecki wytyczył dla całego bloku wyraźnie zakrojone wąziutkie ramy polityki licencyjnej, a każda próba ich przekroczenia traktowana była z najwyższą podejrzliwością. Zakup licencji zachodnich miała zastąpić szeroka i bezpłatna wymiana wiedzy techniczno-organizacyjnej w ramach RWPG, zgodnie z uchwałą II Sesji RWPG podjętej w 1949 roku w Sofii. Jak dowiodły późniejsze lata, współpraca w tej dziedzinie napotykała na duże przeszkody, co wobec braku dopływu zachodniej wiedzy technicznej fatalnie zaciążyło na gospodarce wszystkich krajów wschodnich. Powstanie odizolowanego tzw. rynku socjalistycznego spowodowało silne uzależnienie się gospodarki krajów satelickich od gospodarki ZSSR, kraju w gruncie rzeczy technicznie zacofanego o mało wymagającym rynku wewnętrznym. Do rangi symbolu „internacjonalizmu i technicznej pomocy" ZSSR urosła Nowa Huta i Pobieda przechrzczona na Warszawę, gdy w tym czasie na Zachodzie trwała już kolejna rewolucja techniczno-naukowa.

Pierwszy po wojnie zakup licencji zachodniej miał miejsce w 1949 roku. Zakupiono wówczas licencję na produkcję krosien czółenkowych od szwajcarskiej firmy „Adolph Saurer" dla zakładów „Wilfama" w Łodzi oraz „Mesko" w Skarżysku-Kamiennej. Później zakup licencji prawie całkowicie ustał — do roku 1957 nabyto w sumie *pięć* licencji, w tym 3 ze Szwajcarii i po jednej z Wielkiej Brytanii i Francji. Sytuacja uległa zmianie na lepsze w latach 1958-1959, kiedy zakupiono odpowiednio 11 i 14 sztuk licencji. Taką samą mniej więcej ilość licencji kupowano w latach następnych — do 1965 roku. Wymowa tych danych stanie

się bardziej zrozumiała gdy dodamy, że w samym tylko 1966 roku zrealizowano na świecie *40.000* umów licencyjnych!

Wyraźne ożywienie w zakupie licencji zachodnich datuje się od 1966 roku, o czym świadczy fakt, że do 1970 roku przemysł ciężki, maszynowy i chemiczny zakupiły 102 licencje — więcej niż cała gospodarka w okresie poprzednich dziewiętnastu lat. Był to już znaczny postęp, jeszcze w 1966 roku udział produkcji licencyjnej w produkcji przemysłowej nie przekraczał 1 %, a w cztery lata później wynosił on już ponad 3 %. Wpływ zakupionych licencji był dużo wyższy jeśli chodzi o samą modernizację produkcji. Jak pisał miesięcznik *Gospodarka planowa* (nr 8/1972):

> „Licencje zakupione w latach 1966-1970 odegrały i odgrywają olbrzymią rolę w unowocześnieniu i podnoszeniu jakości wielu wyrobów naszego przemysłu".

Dziś nie sposób nawet w przybliżeniu ustalić, ile kosztowała Polskę izolacja od zachodnich rynków. Jakieś pojęcie dają rzadko dokonywane badania. Jedno z nich, przeprowadzone przez Państwową Radę do Spraw Techniki jeszcze w 1958 roku wykazało, że około 25 % ogółu technologii stosowanych wówczas w przemyśle maszynowym, 30 % w chemicznym, 75 % włókienniczym należy uznać za przestarzałe z punktu widzenia *średniego* poziomu światowego. (Dane takie podaje m.in. A. Karpiński w książce: „Gospodarka Polski na tle świata", Warszawa 1965). Dane te *Gospodarka Planowa* z grudnia 1972 skomentowała następująco:

> „Biorąc pod uwagę stosunkowy niedorozwój potencjału badawczo-rozwojowego Polski, małą drożność kanałów pionowego jak i poziomego transferu rezultatów badań naukowych oraz braku szerokiego importu nowoczesnej wiedzy techniczno-organizacyjnej, trudno przypuszczać, żeby dokonały się od tej pory w tym zakresie radykalne zmiany. Zwłaszcza, że nastąpiło w tym czasie wyraźne przyspieszenie dynamiki postępu technicznego na świecie".

W tych warunkach brak poprawy był równoznaczny z pogorszeniem się. Najsmutniejsze jest to, że cofanie się miało miejsce nie tylko w stosunku do postępu technicznego na świecie — *także w porównaniu do wcześniej osiągniętego poziomu w Polsce!* I tak według bardzo optymistycznych szacunków niektórych ekonomistów krajowych, powstały w latach 1950-1960 dochód narodowy był zaledwie w 10-11 % efektem postępu technicznego, ale w latach następnych udział ten nie tylko nie wzrósł, przeciwnie — *nastąpił spadek udziału postępu technicznego w przyroście dochodu narodowego.* W tym samym czasie bardzo szybko rosły nakłady inwestycyjne w gospodarce narodowej, które w 1970 roku w porównaniu do okresu sprzed dziesięciu lat osiągnęły ponad 220 %. Polska kroczyła po najdroższej i zarazem najmniej efektywnej drodze rozwoju gospodarczego. Kraj zapłacił niezwykle wysoką cenę za prowadzenie zamkniętej gospodarki, albo inaczej — za jej otwarcie tylko na Wschód.

Spółki zachodnio-wschodnie?

Pierwsza zaczęła Rumunia, za co wysłuchać musiała niemało słów krytycznych innych „bratnich krajów" — że próbuje osłabić swoje więzi z RWPG, że zaciąga kredyty na Zachodzie co może mieć „zgubne skutki polityczne" itd. Ale jedno zostało przemilczane: parę lat temu Rumunia wyraziła zgodę na lokatę obcych (zachodnich!) kapitałów u siebie w postaci inwestycji we *wspólne* rumuńsko-zachodnie przedsiębiorstwa. Przemilczono nie bez kozery, aby przykład nie był zaraźliwy, ale i tak bez skutku, o czym za chwilę. Rumunia wygrała nie tylko dlatego, że była pierwsza, również dlatego, ponieważ w innej dziedzinie była ostatnia. Otóż Rumunia przystąpiła do forsownej industrializacji o kilka lat później niż pozostałe kraje Europy Wschodniej (nie licząc ZSSR). Za to wcześniej od innych zaczęła kupować zachodnie licencje i — za kredyty zachodnie — maszyny. Już w 1967 roku importowane maszyny i urządzenia w blisko 59 % pochodziły z wysoko rozwiniętych krajów zachodnich (w tym czasie odpowiednie wskaźniki wynosiły: w Polsce — 25 %, w Czechosłowacji — 20 %, w NRD — 25 %, w ZSSR — 23 % i na Węgrzech niecałe 22 %).

I jako drugi kraj, ale o kilka lat później, ideologiczne tabu naruszyły właśnie Węgry. W październiku 1972 Węgry wyraziły zgodę na utworzenie w tym kraju mieszanych towarzystw, w których kapitał obcy będzie stanowił 49 % a kapitał węgierski 51 %. Jak podał zachodnioniemiecki *Spiegel* w końcu ubiegłego roku, węgierskie ministerstwo Finansów oświadczyło:

> „Zachodnie kapitały inwestycyjne są pożądane tam, gdzie istnieje szczególna potrzeba poprawy i wzrostu poziomu technicznego produkcji".

Co więcej, Węgrzy udostępnili zachodnioniemieckim kapitalistom 38 specjalnie wybranych dziedzin, gdzie mogą według własnego wyboru swobodnie lokować kapitały! W wyścigu po zachodnie kapitały i technologię Węgry zdystansowały inne kraje socjalistyczne również w dziedzinie kooperacji przemysłowej. Jak wynika ze sprawozdania Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ z połowy 1973 roku, według danych na koniec 1972 roku między krajami Europy Zachodniej i Wschodniej zawarto 600 umów kooperacyjnych, przy czym najwięcej przypada na Węgry, bo aż 164 (w tym 47 z NRF, 30 z Austrią). Na drugim miejscu znajduje się Polska.

Atuty PRL

Co na to wszystko Polska? Brak jeszcze dostatecznych informacji odnośnie ewentualnych zamiarów władz polskich wobec

towarzystw mieszanych z udziałem kapitału zachodniego. Jest już natomiast pewne, że Warszawa usilnie zabiega o zachodnie kredyty inwestycyjne, a głównym celem tych starań są Niemcy Zachodnie. Za zwróceniem się w kierunku NRF przemawia kilka ważnych przyczyn. Władze polskie od lat usiłują dokonać modernizacji przemysłu maszynowego, z czym wiążą nadzieje na unowocześnienie całego przemysłu oraz na zwiększenie udziału maszyn w eksporcie, co mogło byłoby doprowadzić do korzystnych zmian w całym handlu zagranicznym. Jedynym zachodnioeuropejskim krajem mogącym udzielić wydatnej pomocy w modernizacji polskiego przemysłu maszynowego są właśnie Niemcy Zachodnie. Niestety, dotychczasowe możliwości eksportu do NRF, który mógłby zrekompensować import nowoczesnych maszyn i technologii, jest ograniczony. Prasa zachodnioniemiecka zwróciła niedawno uwagę na fakt, że wzajemne obroty handlowe obydwu krajów mają osiągnąć w tym roku trzy miliardy marek, ale deficyt ze strony polskiej wyniesie jedną trzecią.

W tych warunkach czynnikiem bardzo ważnym jest stosunkowo bliska odległość dzieląca obydwa kraje, dzięki czemu Polska byłaby w stanie eksportować do NRF energię elektryczną o wartości pięćset milionów marek rocznie — w zamian za kredyty inwestycyjne. I jeszcze jeden czynnik niemało ważny przemawia za wyborem NRF: władze polskie posiadają w swoim ręku atut mogący odegrać dużą rolę w pertraktacjach z NRF. Jest nim sprawa Niemców zamieszkałych w Polsce, o przesiedlenie których Bonn usilnie zabiega od lat. Dla NRF sprawa ta ma dwojakie znaczenie: ekonomiczne — Niemcy Zachodnie cierpią na brak siły roboczej i są zmuszone sprowadzać obcokrajowców; humanitarne — chodzi zwłaszcza o łączenie rodzin — na co Niemcy są bardzo uczuleni. Takiego atutu nie posiada żaden inny kraj Europy Wschodniej...

Można śmiało powiedzieć, że na linii Warszawa-Bonn toczy się gra o dużą stawkę, chyba większą od stawki w węgierskiej grze w mieszane towarzystwa. W sierpniu odwiedził Warszawę jeden z czołowych działaczy SPD Hans-Jürgen Wischnewski, uchodzący w NRF za zwolennika szerokiej współpracy ekonomicznej z Polską i opowiadający się za udzieleniem Polsce pomocy inwestycyjnej na takich samych zasadach, na jakich pomoc ta jest okazywana krajom rozwijającym się. Jak wynika z jego wypowiedzi po powrocie do NRF, w Warszawie miano zaproponować dostawę energii elektrycznej do NRF, wykazano „duże zainteresowanie" długoterminowymi kredytami dla Polski, napomknięto o ewentualności wspólnej budowy rafinerii dla przeróbki ropy sowieckiej. Wischnewski odniósł ponadto wrażenie, że sprawa przesiedleńców „widziana będzie w kontekście tych wszystkich problemów". W październiku gościć ma w Warszawie minister spraw zagranicznych NRF Walter Scheel, który zapewne omówi wszystkie te problemy.

Innymi słowy, Polska dojrzała już do zaciągnięcia kredytów u zachodnioniemieckich kapitalistów, ci jednak wydają się być

jeszcze nie w pełni dojrzali do ich udzielenia jakiemukolwiek państwu które, jak pisze prasa NRF, „posiada upaństwowiony handel". Problem formułowany jest następująco: *czy należy przy pomocy podatków obywateli NRF finansować rozwój gospodarki socjalistycznej*... Jeszcze parę lat temu ten sam problem „ideologiczny" nurtował teoretyków komunistycznych — trudna sytuacja ekonomiczna skłoniła ich do ustępstwa od dogmatu. Czy to wystarczy dla pozyskania zaufania kapitalistycznych kredytodawców — okaże się już w niedługim czasie. O decyzji krajów zachodnich — dać czy nie dać i komu dać a komu nie — zadecyduje w niemałej mierze postawa wobec Zachodu Związku Sowieckiego.

Dolary Rockefellera zamiast reformy

Kilka miesięcy temu w światku przemysłowców i polityków zachodnich wybuchła bomba — Związek Sowiecki niespodziewanie zaproponował Niemcom Zachodnim sprzedaż... *paliwa atomowego, uranu*, na początek za trzydzieści milionów marek, a później za kilkaset milionów! Przynęta była silna, NRF przez długie lata nie mogło nakłonić Francji ani Wielkiej Brytanii do dostaw uranu, na które istniał monopol amerykański. Moskwa wyraziła gotowość zawarcia porozumienia obejmującego dostawy aż do roku 2000, przy czym po cenie dużo niższej od płaconej przez NRF Amerykanom! Gdyby propozycja została przyjęta, byłby to dotkliwy cios dla współpracy gospodarczej między USA i NRF. Skończyło się na transakcji wartości trzydziestu milionów marek — zasadnicza oferta spotkała się z odmową ze strony Bonn. Sprawa stała się wymowną ilustracją zamierzeń Moskwy w dziedzinie gospodarczej i politycznej: rozszerzyć współpracę ekonomiczną z Europą Zachodnią, w szczególności z Niemcami Zachodnimi, w celu odizolowania ich od Stanów Zjednoczonych.

Sensację wywołało oświadczenie sekretarza generalnego RWPG, Nikołaja Fadiejewa, złożone w sierpniu podczas wizyty w Danii. Fadiejew podał do wiadomości, iż RWPG postanowiło wreszcie uznać EWG i wezwał aby obydwie organizacje w celu nawiązania współpracy gospodarczej powołały do życia specjalną komisję. Tak więc jeszcze jeden dogmat odłożono do lamusa (przypomnijmy, że partie komunistyczne inspirowane przez Moskwę, poza włoską, ostro atakowały EWG), ale i w tym przypadku w ściśle określonym interesie Związku Sowieckiego. Już od paru lat Moskwa obserwowała z niepokojem nieoficjalne zabiegi Rumunii, potem Polski i Węgier w celu nawiązania współpracy z EWG, co w razie powodzenia mogłoby prowadzić do osłabienia sowieckiej kontroli nad krajami satelickimi w obrębie RWPG. Nie będąc widocznie w stanie przeciwstawić się tendencjom odśrodkowym, Moskwa wyraziła zgodę na uznanie EWG przez

RWPG, aby w ten sposób utrudnić indywidualne kontakty z EWG i wzmocnić kontrolę nad gospodarką krajów satelickich. W końcu września zbierze się w Brukseli rada ministrów spraw zagranicznych EWG, która ustosunkuje się do propozycji Fadiejewa. Rewelacji raczej nie będzie, Europejska Wspólnota nie znajduje się w sytuacji jakiegoś państwa, czyniącego rozpaczliwe wysiłki o międzynarodowe uznanie.

Obydwie sprawy (oferta „uranowa" i uznanie EWG) rzucają pewne światło również na próby Moskwy zbliżenia gospodarczego z USA. Nie ulega wątpliwości, że Rosjanie są zafascynowani poziomem technologii i rozwojem gospodarki USA. Silna jest jeszcze pamięć o rozmiarach pomocy, jaką Związek Sowiecki otrzymał w latach wojny w ramach *lend-lease*'u. Tym, czym dla Polski może stać się NRF — modernizatorem przemysłu — tym samym mogą być dla Związku Sowieckiego Stany Zjednoczone! Z drugiej strony Amerykanów nęcą wielkie sowieckie zasoby surowcowe, ropy i gazu ziemnego.

Na pierwszy rzut oka wszystko wydaje się zmierzać ku szybkiemu rozwojowi współpracy gospodarczej obydwu super-mocarstw — już zaczynają płynąć kapitały amerykańskie do Związku Sowieckiego! Niewiele tego, ale jednak. I tak Bank Eksportowo-Importowy USA udzielił już sowieckim centralom handlu zagranicznego kredytów w wysokości prawie ćwierć miliarda dolarów na zakup maszyn i urządzeń dla wielkiej fabryki ciężarówek nad Kamą. Parę miesięcy temu Armand Hammer, prezes „Occidental Petroleum Corporation" i Mikołaj Komarow — wiceminister handlu zagranicznego Związku Sowieckiego, podpisali największą transakcję w historii handlu obydwu krajów. Porozumienie obejmuje wzajemne dostawy urządzeń i surowców do produkcji nawozów sztucznych na sumę ośmiu miliardów dolarów w okresie 20 lat. Rosjanie mieli także zaproponować zaangażowanie kapitału amerykańskiego do zagospodarowania pewnych bogactw surowcowych Związku Sowieckiego. Przypuszczalnie chodzi o wspólne eksploatowanie bogactw naturalnych na Dalekim Wschodzie, a w takim wypadku ewentualny najazd sowiecki na Chiny mógłby być przedstawiony jako dokonany także w imię interesów amerykańskich... w Związku Sowieckim. Dodajmy, że podobne oferty były już wcześniej wysuwane pod adresem kapitału japońskiego.

Do rangi rewelacji urósł przyjazd do Moskwy, w czerwcu br., Davida Rockefellera. Kim jest Rockefeller, wiadomo i nie o samą wizytę chodzi. Otóż miliarder amerykański przybył na otwarcie oddziału „Chase Manhattan Bank", którego jest prezesem. A więc filia banku Rockefellera w Moskwie! I po tym wszystkim komentator sowieckiej agencji *Nowosti*, Norman Borodin, w wywiadzie dla warszawskiej *Polityki* stwierdza:

„Rzecz jasna, KPZS zakładała i zakłada, że walka klasowa dwóch systemów — kapitalistycznego i socjalistycznego — będzie w sferze

***gospodarki*, polityki i ideologii trwać. Cele klasowe socjalizmu i kapitalizmu są przeciwstawne i nie do pogodzenia".**

A więc walka także w sferze gospodarki — przy pomocy jakich metod? Borodin przypuszczalnie wie co mówi, oferta „uranowa" jest chyba jedną z owych metod „walki klasowej w sferze gospdarczej". Ale w świetle takich enuncjacji bardziej zrozumiałe stają się np. opory NRF przed finansowaniem rozwoju gospodarki socjalistycznej. I trzeba przyznać — nie bezzasadne.

Bo o co właściwie Sowietom idzie? Oczywiście — o kapitały, o technologię zachodnią. Ale to tylko środki do osiągnięcia określonych celów. Strategię sowiecką z punktu widzenia polityki gospodarczej można streścić w następujących punktach:

— gospodarka sowiecka znalazła się przed wysokim progiem, zwanym drugą rewolucją naukowo-techniczną, którego nie jest w stanie przekroczyć bez daleko idących reform ekonomicznych i politycznych; przywódcy sowieccy uznali widocznie, że alternatywą tak pomyślanych reform — przed którymi usilnie się bronią — mogą być kapitały zachodnie i zachodnia pomoc w dziedzinie technologii;

— Zachód będzie coraz ostrzej odczuwał brak surowców, które pod dostatkiem posiada Związek Sowiecki; Związek Sowiecki mógłby eksportować niemało maszyn i urządzeń, te jednak nie znajdują uznania na rynkach zachodnich, można jednak eksportować do krajów Trzeciego Świata w zamian za surowce — sprzedawane następnie na Zachód za nowoczesną technologię; umocni to pozycję Związku Sowieckiego i osłabi pozycję Zachodu w krajach Trzeciego Świata;

— wzrost ekonomicznego zaangażowania Zachodu w Europie Wschodniej sprzyjać będzie osłabieniu więzi między Europą Zachodnią i Stanami Zjednoczonymi, a w połączeniu z próbami neutralizacji („finlandyzacji") Niemiec Zachodnich — stworzy warunki sprzyjające wyrzuceniu czy wycofaniu się Ameryki z Europy Zachodniej;

— wysuwanie nęcących ofert pod adresem Zachodu ma również przeciwdziałać rozszerzeniu jego współpracy gospodarczej z Chinami Ludowymi, a na wypadek konfliktu zbrojnego — przyciągnąć Zachód na stronę sowiecką.

Zachód o tym wszystkim dobrze wie — każda z obu stron posiada w tej zawiłej grze swoje własne rachuby. Istnieją tu jednak co najmniej trzy szkoły myślenia. Według jednej — handel jest handlem, pieniądz nie śmierdzi, można i trzeba handlować z kim tylko się da. Według innej, wejście kapitału zachodniego i nowoczesnej technologii do krajów Europy Wschodniej osłabi ich strukturę polityczną zwłaszcza, że, jak się sądzi, rozwój współpracy gospodarczej będzie również prowadził do wzrostu wymiany ludzi, idei i informacji. Ta szkoła popiera oczywiście opinie pierwszej. I wreszcie trzecia powiada wręcz: nie pomagajmy pokonywać trudności, jakie rodzi ustrój komunistyczny —

nadzieje na jego liberalizację są złudne, partner nie nadaje się do współpracy... Trudno przewidzieć, która z tych szkół myślenia zwycięży tym bardziej, że i w Związku Sowieckim nie jedna istnieje szkoła.

◆

Zaczęliśmy od Polski i skończyliśmy na Związku Sowieckim. Zatytułowaliśmy tekst: „Otwieranie zamkniętej gospodarki", a na dobrą sprawę należałoby dać tytuł: „Otwieranie zamkniętego obozu". Nie należy się bowiem łudzić co do możliwości Polski w nawiązywaniu szerokich kontaktów gospodarczych z Zachodem. Są one i będą mniej więcej proporcjonalne do możliwości otwarcia się całego obozu na Zachód. Należy pamiętać, że współpraca i integracja gospodarcza Europy Zachodniej byłaby nie do pomyślenia przy zamkniętych granicach — rozszerzenie współpracy z Europą Wschodnią również wymaga otworzenia granic wschodnich. Dosłownie i w przenośni. Jest to jednak cena, której Moskwa nigdy nie chciała zapłacić. I wątpić należy, czy zezwoli na to Polsce, Węgrom i innym krajom satelickim. A dopóki zaryglowane będą granice — dopóty zamknięta będzie również gospodarka.

Antoni GUTOWSKI

Jeszcze o wydarzeniach marcowych

Różne są spojrzenia na historię. Odpowiada mi to, które można znaleźć w „Iliadzie". Nie wszystko jest zasługą bojowników i nie wszystko jest zasługą bogów olimpijskich. Kształt wydarzeń powstaje z działania obydwu stron. Artykuł w *Zeszytach Historycznych* autorstwo wydarzeń przypisuje przede wszystkim bojownikom.

◆

Bogowie prowokowali, ale nie zawsze łatwo było się o tym przekonać. Ich spory rzutowały na to, co się działo na ziemi. To nie jest więc sytuacja nowa. Autor artykułu słusznie twierdzi, że podejmując rozważania nad wydarzeniami marcowymi warto się zastanowić nad tym, co to jest prowokacja. Autor wyróżnia trzy pojęcia prowokacji, lecz posługuje się głównie

* Na marginesie między innymi artykułu „Spór o wydarzenia marcowe", *Zeszyty Historyczne* Nr 24-ty.

czwartym: prowokacją jest to, w czym nie należy uczestniczyć. W wydarzeniach marcowych należało uczestniczyć, a więc nie były one sprowokowane.

◆

Nawet jeśli się już wie, co to jest prowokacja, to osobną sprawą jest wiedzieć, po czym prowokację można poznać. Zdaniem autora, prowokatorem jest ten, kto korzysta, *id provocat qui prodest*. Nie ma prowokacji nieudanych. A może są?

◆

Zauważmy, że jeśli ktoś kogoś prowokuje, to robi różne rzeczy w różnym czasie i to w zależności od reakcji tego drugiego lub tych drugich. W związku z tym warto może się zastanowić, jak długo trwały wydarzenia marcowe. Czy skończyły się 8 marca, czy tego dnia się zaczęły, czy może obejmowały sobą ów dzień i rozciągały się — żeby użyć określenia geometrycznego — dość daleko w obie strony czasoprzestrzennego stożka, którego wierzchołek umieszczony był o dwunastej w południe na dziedzińcu warszawskiego uniwersytetu?

1. Prolog

Jeśli coś jest sprowokowane, to na pewno jest tak, że prowokujący się do tego przygotował (to jest dla prowokacji warunek niezbędny, choć nie wystarczający). W tej sprawie chmury czasem odsłaniają Olimp. Czy władze przygotowały się do wydarzeń marcowych? To znów zależy od tego, co rozumieć przez te wydarzenia. Otóż ważną częścią owych wydarzeń była kampania praso-radio-telewizyjno-urzędowa, na dodatek poprzedzona oficjalnie nieoficjalnymi ulotkami, rozpowszechnianymi przez siły porządku. Kampania ta miała między innymi ułatwić zwolnienie części posad, oddziałać na to, by jak najwięcej osób spłynęło w dół z partyjnej piramidy, również z jej górnych rejonów. Aby uświadomić sobie sposób przygtowania marcowej kampanii, warto się przyjrzeć jej forpocztom, wspomnianym ulotkom lub artykułowi, który w sobotę lub w niedzielę przed 11 marca pojawił się skądś na biurku spowinowaconej widać z Olimpem redakcji *Słowa Powszechnego*. Przygotowanie inspiratorów kampanii oceniam jako zadawalające — zaopatrzyli się na czas w odpowiednie nazwiska i brzmienie niektórych nazwisk potrafili uogólnć.

2. Zyski i straty

Podwójną buchalterię wynaleziono ponoć w miastach włoskich. To nie jest nazwa dla oszustw, chodzi o księgowanie osobno zysków i strat. Bilans zresztą nie zawsze jest wyrównany: zysk

jednej strony nie musi być stratą drugiej. Mówimy wtedy, że gra nie ma sumy zerowej i konflikt nie jest doskonały. Ale autor artykułu w *Zeszytach Historycznych* podkreśla, że po stronie władz (a ściślej — tak zwanych „moczarowców") zyski były co najwyżej niewielkie, a wystąpiły także straty (policja się kompromituje, gdy dopuszcza do demonstracji). Natomiast po stronie ruchu opozycyjnego autor dostrzega głównie zyski (jeżeli abstrahować od strat osobistych, które ponieśli uczestnicy). Uzupełnijmy rachunek. Nie była zyskiem opozycji akademickiej nowa ustawa o szkolnictwie wyższym, nie były zyskiem społecznym trwalsze skutki propagandowej kampanii (istnieją i takie jej skutki). Spośród wartości obecnych w marcu 1968 część odżyła po przeszło dwu latach (słusznie pisze się o tym w *Zeszytach Historycznych)*, ale jeśli istniały szanse, by w grudniu i po grudniu 1970 protest robotniczy został intelektualnie pogłębiony i wzbogacony, by Gierkowi nie szły tak łatwo pertraktacje ze stoczniowcami — to marzec 1968 roku dość skutecznie te szanse zmniejszył. To był zysk tych, którzy sprawują władzę w PRL. A jeśli już mówić o miesiącach, to po marcu 1968 był jeszcze sierpień. W Polsce rozrzucono wtedy ulotki, Jerzy Andrzejewski napisał list. I to dobrze. Ale poza tym była cisza — i również do niej marzec się przyczynił. To był zysk sprawujących władzę w obozie socjalistycznym.

Nie tylko „moczarowcy" stanowili po stronie władz podmiot, który mógł odnosić zyski lub straty. Takim podmiotem były władze PRL traktowane jako całość i władze obozu jako całości. Jeśli protest ambasady ZSSR wystarczał, aby w roku 1973 wycofać książkę z księgarń, to najprawdopodobniej wystarczałby i do tego, by pięć lat wcześniej wstrzymać kampanię antyinteligencką i „antysyjonistyczną". W tym wypadku Centrala działała więc co najmniej przez zaniechanie. I nie poniosła strat.

3. *Wpływy wzajemne*

Ale co to znaczy, że marzec się do czegoś przyczynił? Przyczyniło się postępowanie władz, do postępowania władz przyczyniło się postępowanie studentów, do postępowania studentów przyczyniło się postępowanie władz... Za każdym razem przyczyniało się w pewnym tylko procencie, za każdym razem w innym i trudnym do wyliczenia, lecz różnym od stu. Czy Moczar rozpoczął wydarzenia marcowe, tak jak to twierdzi Brukselczyk, któremu przeciwstawia się autor artykułu w *Zeszytach Historycznych?* Trudno powiedzieć, kto rozpoczął. Mamy do czynienia z szeregiem wzajemnych wpływów, akcji i reakcji następujących po sobie. Ale ani studenci nie podyktowali władzom wszystkiego, co te robiły, ani władze — studentom. Często jedna strona odnosiła (przynajmniej doraźnie) korzyść z tego, co czyniła druga. Władze uzasadniały swoje poczynania tym, co robili studenci

lub intelektualiści (albo raczej tym, co pisano, iż studenci i intelektualiści robili). Ale socjalistyczna władza nie jest słaba i nie jest pozbawiona pomysłowości. Gdyby studenci robili co innego, te same poczynania władz mogłyby zostać uzasadnione inaczej. Ludzie usuwani z posad na ogół niewiele mieli wspólnego z ruchem studenckim(w dodatku czasem dotyczyło to usuwanych studentów lub usuwanych pracowników uczelni). Ówczesny, miniaturowy w porównaniu ze stalinowskim okresem, mechanizm represji działa podobnie jak tamten: probabilistycznie. Niektórzy posiadali z góry przypisane cechy, które zwiększały prawdopodobieństwo. O wszystkim jednak decydowała w MSW papuga w stopniu kapitana lub majora, której zadaniem było wyciąganie fiszek z kartoteki. Może zresztą obyło się bez ptaszyska. Póki co, nie tylko MSW, ale historia w całości działa niesprawnie.

Ruch studencki, a przedtem różne ruchy na Uniwersytecie Warszawskim, były z pewnością autentyczne. Najprawdopodobniej nie było prowokatorów wewnątrz ruchu (to jest tak zwanych *agents provocateurs*, jakichś mikro-naśladowców Azefa). Nawet inwigilację prowadzono raczej z zewnątrz. Ale to nie znaczy, by nie starano się na ten ruch (różnie w różnych fazach jego historii) wpłynąć, by nie starano się skłonić go do rozmaitych działań przez stwarzanie faktów, na które by reagował. Przede wszystkim zaś starano się młodzież wykorzystać w grze, która toczyła się wewnątrz aparatu władzy. W tym celu dorabiano studentom koligacje, opiekunów lub protektorów, kształtowano propagandowo oblicze opozycji. Toczyły się wydarzenia na scenie akademickiej, toczyły się na arenie władzy. *Iunctim* między nimi ustalała — lub tylko dawała do zrozumienia — prasa. Na skutek tego studenci musieli się w swych rezolucjach od coraz to innych rzeczy odcinać: od syjonizmu, od tych lub innych inspiratorów. Głosili, że są za tym lub owym i że są przeciw temu lub owemu. Starali się — wbrew trudnościom — jakoś dotrzeć do opinii publicznej.

Jeśli ktoś w związku z wydarzeniami marcowymi mówi o prowokacji, to nie ma na ogół na myśli obecności agentów w ruchu akademickim. Polemika, w której stwierdza się, że agentów nie było, nie jest w tej sytuacji odpowiedzią na pytanie o to, czy prowokacja miała miejsce. Jeśli o prowokacji w ogóle się mówi, to w tym sensie, że strony skłaniały się nawzajem do różnych działań. A ponieważ mniej jawne były tego rodzaju poczynania ze strony studentów i intelektualistów, więc to jeszcze przypomnimy. Otóż studenci udatnie sprowokowali partię i rząd, by owe władze zajęły się tekstem konstytucji, lub by po kilku tygodniach poświęcono całe strony gazet historii zakazu przedstawień „Dziadów", o której przedtem było dość głucho. Nagle ujawniono, co dyrektor Balicki kilka tygodni wcześniej w długim przemówieniu mówił na ten temat warszawskim literatom. Stefan Kisielewski sprowokował rządzących, aby publicznie rozpowszechnili jego krótką charakterystykę rodzaju rządów. Ktoś sprowokował Władysława Gomułkę, by ten odwdzięczył się Januszo-

wi Szpotańskiemu za popularność: obaj umieścili się w swoich utworach. A jeszcze Leszek Kołakowski samym swym istnieniem sprowokował Jarosława Ładosza do napisania o nim najdłuższego zapewne artykułu, jaki kiedykolwiek na świecie poświęcono filozofowi w prasie codziennej. Prokowacji patronował Komitet Centralny, w którego organie rzecz opublikowano.

4. Kto był przeciw?

Jeśli już o Leszku Kołakowskim mowa, to wróćmy jeszcze na Uniwersytet Warszawski. Wedle tekstu opublikowanego w *Zeszytach Historycznych* — była tam opozycja złożona z członków partii. A może były inne opozycje, nawet na Uniwersytecie? Istniał kiedyś Klub Krzywego Koła, istnieją do dziś Kluby Inteligencji Katolickiej. Nie tylko dziś, ale i dawniej enklawy wolności w środowisku intelektualnym — zgoda, że w niezbyt wiele wolności wyposażone — można by było zobaczyć także poza PZPR. Może też warto przejrzeć protokoły zebrań nieistniejących już obecnie rad wydziałów i wyczytać tam coś o stosunku osób, nazywanych później rewizjonistami, do tak zwanej liberalnej profesury, i ogólniej, do tych, którzy do PZPR nie wstępowali? Późniejszy ambasador PRL w Wielkiej Brytanii już na początku roku akademickiego 1967/68 wygłaszał na Uniwersytecie odczyt o liberałach wśród marksistów. To był jeden z pierwszych wypadów na te tereny, na których później skoncentrowano ostrzał marcowy. Ale ten, kogo biją, nie zawsze zasłużył. Ciosy, przy wszystkich akcjach, padały na oślep, przedtem spadały na trochę innych, potem na innych. Ich rozdawcy też się zmieniali, tylko kierująca nimi firma pozostała ta sama, choć posługiwała się różnymi wykonawcami. Jak zresztą zauważono, przy likwidacji Klubu Krzywego Koła podali sobie ręce Adam Schaff, zachodząca gwiazda rewizjonizmu, i Józef Kępa, wschodząca gwiazda tego nurtu, który nie był skażony liberalizmem nawet w marksistowskiej wersji.

5. Widziane z góry

Wielu już zaglądało w to, co dobrze widziane może być tylko z góry. Na tej górze przebywał przez pewien czas jakiś Moczar, który — zdaniem autora artykułu w *Zeszytach Historycznych* — nie prowokował, bo przegrał. Plotkowano, że temu Moczarowi chodziło wówczas o całą władzę, a tymczasem otrzymał tylko trochę więcej niż poprzednio. Władysław Gomułka przejął w marcu hasła swego antagonisty. Ale czy to wszystko było napisane w górze? Przyjrzyjmy się datom, bo niestety nie możemy przejrzeć się protokołom posiedzeń ścisłego kierownictwa. Otóż Władysław Gomułka na czele narodu pojawia się dość nagle: w przemówieniu Edwarda Gierka z 15 marca. Przedtem ta sprawa widać nie była omówiona, omówiono ją niedostatecznie, lub może w

ogóle była nierozstrzegnięta. O studencie Dajczgewandzie, Ewie Zarzyckiej i Jasienicy można się było publicznie dowiedzieć przed 15 marca, o Gomułce jakoś nie. W cztery dni później ten ostatni pojawia się osobiście w Sali Kongresowej. Przez dwanaście lat wędrował sprzed Pałacu Kultury do wnętrza i z otoczenia ludności Warszawy w otoczenie tak zwanego aktywu. Ale nie było widać, by nawet w tym ścisłym gronie czuł się nazbyt swobodnie. Chociaż tak zwani marcowi hunwejbini zdobyli może mniej posad niż projektowali, to jednak obsada stanowiska przywódcy partii została na dwa lata utrwalona dopiero po sierpniowej interwencji i po listopadowym błogosławieństwie ze wschodu, udzielonym zresztą w tejże Sali Kongresowej. Spotkanie Moczar-Gomułka rozegrał sędzia. Ale to nie znaczy, że Moczar nie grał.

6. Romans zimowy i mędrcy Syjonu

Rozdział XIV *Romansu zimowego* zawiera syntetyczny opis studenckich demonstracji. Tłem jest plac Narutowicza, gdzie faktycznie miały miejsce demonstracje dość podobne, ale odbyło się to w październiku 1957, a nie wtedy, kiedy akcję lokalizuje autor. Zresztą już z tego widać, że myli się Adam Osiński, bohater powieści, sądząc, że: „Ostatni raz zdarzyło się coś takiego przed jedenastu laty w słynnej poznańskiej fabryce maszyn". Po poznańskim czerwcu był nie tylko październik 1956, ale i październik 1957 — który zaczął się właśnie na placu Narutowicza. Może więc nie ma racji ów Adam Osiński także wtedy, gdy uważa, że: „W zakorkowanym na głucho systemie komunistycznym nie bywa demonstracji spontanicznych, o ile ich ktoś z Partii po cichu nie zarządzi". Bohaterowi powieści wolno mówić lub myśleć sobie to lub owo — Osiński, to nie Staliński, a Staliński nie prowadzi kroniki bieżących wydarzeń, tylko kronikę może czasem ważniejszą: nastrojów. Miesza chronologię, zachowuje klimaty. Jego bohater już 8 marca wie o sprawach, o których można było się dowiedzieć — z prasy — dopiero później, widzi rzeczy, które widziano znacznie wcześniej. Zresztą bohater Stalińskiego nie bierze wszystkich plotek za rzeczywistość. Uważa, że „skoro wieść krążyła i to krążyła uparcie, ktoś musiał ją kolportować w określonych, jak mówiono, celach".

Gorzej, gdy wiedzę o rzeczywistości PRL czerpie z prasy nie postać literacka, lecz publicysta. W jednym z artykułów Aleksandra Zabrzeskiego w *Kulturze* można było znaleźć powtórzoną za Władysławem Gomułką wieść o tym, jakoby ważnym elementem programu studentów było domaganie się powrotu Zambrowskiego do jakiegoś Biura. Postulat ten, według Gomułki a raczej według jego informatorów, wyrażono w formie okrzyku. O czymś podobnym słyszał na dodatek bohater powieści Stalińskiego. Ale Biuro (z dużej litery) można napisać, nie można go z dużej litery powiedzieć lub wykrzyczeć. A w dodatku o Biurze (z dużej litery) mówią tylko członkowie i najbliżsi współpracownicy. Wo-

łam więc odpłacając pięknym za nadobne: Zabrzeski do Biura! I proszę, by pan Zabrzeski się nie obrażał. Sam jest sobie winien. Jego wypowiedź można by traktować jako sprawę niepoważną. Świadczy ona jednak o sukcesie władz, o podatności na marcową propagandę, ujawniającej się wśród osób, u których ta podatność może nie powinna wystąpić. To jest jeden z tych skutków wydarzeń marcowych, które oceniam jako straty.

A wśród tych strat są także krzywdy wyrządzone ludziom, krzywdy, które dodatkowo miały znaczenie dla opinii o Polsce. W Stanach Zjednoczonych, Anglii lub Izraelu, zdają się czasem nie wiedzieć o czymś, o czym my wiemy dość dobrze, ludzie, którzy urabiają opinię publiczną o tym że władze sprawujące rządy w Polsce i społeczeństwo polskie, to trochę co innego.

Za straty, o których wyżej mowa, studenci nie odpowiadają. Szkody pochodzą z działań osób, do których odnosiło się określenie Stefana Kisielewskiego. Ciemniacy i wykonawcy ich poleceń są tu odpowiedzialni. Nie studenci.

Jak może z dotychczasowych rozważań widać, nie stoję na stanowisku głoszącym, że wydarzenia marcowe działy się w „rodzinie". Nie działy się ani na partyjnej górze, ani wśród partyjnej opozycji. Działy się w szczególnym dialogu partii z narodem. W związku z tą sprawą zwróćmy się jeszcze w stronę tekstu, który w *Kulturze* ukazał się w tym samym czasie, co „Spór o wydarzenia marcowe" w *Zeszytach Historycznych*. Chodzi o jakby-wywiad z niezupełnie-wiadomo-z-kim, przeprowadzony przez Dominika Morawskiego. Domniemany rozmówca miał łatwość uogólnień. Żydzi, o których w tym wywiadzie mowa (a także masoni), to niewątpliwa potęga, ale może warto przypomnieć temu — czy tym — rozmówcom, że w Polsce rządzili i rządzą komuniści, a dopiero wśród nich, jak obliczał między innymi Andrzej Werblan, najpierw więcej osób a potem mniej miało niewłaściwe pochodzenie. Relegacja Żydów z Polski, to nie była relegacja komunistów. Wyjeżdżali komuniści i niekomuniści, zostali komuniści i niekomuniści. „Rodzina", o której traktują rozmówcy Dominika Morawskiego, kierowała akcją zmierzającą do tego, by niepowołani nie zajmowali nie przewidzianych dla nich stanowisk, cała sprawa nie była jednak wewnątrz-komunistyczna. Raczej wiedzieli o tym posłowie ze „Znaku" i raczej wiedział o tym episkopat, gdy formułował swe zdanie o wydarzeniach marcowych. Zbiorowy rozmówca Dominika Morawskiego jakby zamiast do Ewangelii zajrzał do „protokołów mędrców Syjonu" i z nich informował się o sytuacji Polski w komunizmie.

7

Gra w marcu, a także i przedtem, toczyła się między wieloma podmiotami i na wielu liniach. Nie tylko na linii „partyzanci"-ruch akademicki. Również na linii „partyzanci"-wierzchołek elity władzy lub na linii władza-społeczeństwo. I Moczar więc działał

prowokacyjnie, i działały szersze zespoły, w których skład wchodził on sam i jego — pod pewnymi względami — sojusznik, a pod innymi — przeciwnik: mówca, który 19 marca wystąpił w Sali Kongresowej. W różnym czasie różnie wyglądały te prowokacje, a polegały między innymi na tym, że usiłowano skłonić studentów, intelektualistów, marksistów, liberałów i różne inne osoby do takich działań, że niektóre ich skutki można by wykorzystać na niekorzyść sprowokowanych. Część tych działań sprowokowani podjęli, część skutków wykorzystano zgodnie z zamiarem. Prowokacja nie musi polegać na infiltracji lub inwigilacji, a hasło „nie dać się sprowokować" nie zawsze jest słuszne. Skutki zamierzone przez prowokujących są co najwyżej tylko fragmentem ogółu skutków. Prowokacja na ogół udaje się częściowo, a może być zupełnie nieudana. Autor artykułu w *Zeszytach Historycznych* przyznaje zresztą, że nie jest tak, by złożone działania społeczne zawsze spełniały wszelkie zamierzenia uczestników tych działań. Zgadza się też z tym, że trudno prowokację wykluczyć i trudno z całkowitą pewnością dowieść, że zaistniała. Proces w tej sprawie jest poszlakowy.

Nie sądzę jednak, by w „Sporze o wydarzenia marcowe" dostatecznie rozpatrzone zostały takie poszlaki, jak zapowiedź zdjęcia „Dziadów" przed ostatnim przedstawieniem, pojawienie się aktywu robotniczego w czasie zebrania Związku Literatów, akcja ulotkowa władz i spektakularna działalność inwigilacyjna w środowisku uniwersyteckim jeszcze przed wiecem 8 marca, nielegalna decyzja ministra szkolnictwa wyższego o relegacji dwóch studentów, wkroczenie umundurowanych i nieumundurowanych bojówek na teren Uniwersytetu, akcje tych bojówek, a wreszcie kolejne osobliwości kampanii prasowej.

Ale i przed 8 marca były wydarzenia, o których z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że nie zostały one zamierzone przez władze i nie zostały przez nie wykorzystane (np. zasięg akcji petycyjnej); były też takie wydarzenia 8 marca (np. spokojne zachowanie studentów) i były takie wydarzenia po 8 marca (przede wszystkim zasięg studenckiego protestu).

Nie mieszajmy sprawy prowokacji i tego, czy było warto i czy ocena sprowokowanych może być jednoznaczna. O tym, czy było warto, można pomówić z osobna i w każdym czasie. Skutki wydarzeń jeszcze się nie skończyły i ich całkowita ocena zależy między innymi od tego, co będzie dalej (a to zależy też od tego, co będziemy robić dalej).

W tym samym numerze *Zeszytów Historycznych*, po 28 latach, ukazały się protokoły narad Sekretariatu KC PPR z 1945 roku. Może mniej czasu upłynie, nim sięgniemy do archiwów z roku 1968. W nich — zapewne też nie w formie bezpośredniej — znajdzie się pełniejsza odpowiedź na pytanie o obraz wydarzeń i o ówczesne plany tych, którzy kierowali partią, prasą i policją, i tych, którzy do kierownictwa aspirowali. Sprawa nie jest zamknięta.

Łukasz KIELSKI

Sprawy i troski

Widziane z plaży

Do Indian na Jukatanie przybyli werbownicy do pracy w rozwijającym się meksykańskim przemyśle; przy pomocy dokładnych obliczeń wykazywali, że po dwudziestu latach pracy w fabryce będą mieli oni tyle pieniędzy, że do końca życia nie będą potrzebowali już nic robić. Indianie rozważyli z powagą obliczenia i popatrzyli na werbowników z politowaniem: „przecież my już teraz nic nie robimy".

(opowieść autentyczna)

Po latach studiów na najsławniejszym uniwersytecie świata, gdzie rozkwit nauk osiągnął już taki poziom, że słowo „inteligencja" zaczęło sprawiać uczonym zasadnicze trudności, a także po wbiegnięciu na co większe góry tego kontynentu, dalszy pobyt w „krainie przyszłości" wydawał się stratą czasu.

Przed nierozważną decyzją emigracji z Ameryki ostrzegał mnie jeden z kolegów: „trzeba być geniuszem aby potrafić urządzić się w Europie", co wcale mnie nie zniechęciło, bo któżby w tak łatwy sposób nie chciał zostać geniuszem. Jeszcze ostatnia wspinaczka w Sierra Nevada, ostatnie wytyczne dla komputera w sprawie mojej płacy — i wylądowałem w Europie.

Wraz z upływem sezonu narciarskiego rozpłynęły się i resztki mych amerykańskich oszczędności, a jednocześnie rozpoczął okres intensywnego studiowania w gazetach rubryki *offres d'emploi.* Odpowiadające mym kwalifikacjom oferty dzieliły się w zasadzie na dwie kategorie: a) praca „powielacza", czyli rozmaitych *programmer analyst,* który by przy pomocy komputera pomnażał ilość przedmiocików na świecie, oraz b) praca „pchacza", czyli *technicien de vente,* który by te przedmiociki upychał po instytucjach i ludziach, a do której to funkcji wymagano zazwyczaj

wykazania się „dynamicznym entuzjazmem". Taki podział prac widać było i u moich co lepiej ustawionych paryskich znajomych, i dość dobrze odzwierciedlał on wewnętrzne życie społeczności powielająco-pchackiej, czyli nowoczesnego społeczeństwa konsumpcyjnego.

Przyglądając się temu stanowi rzeczy, znajomi absolwenci l'Ecole Polytechnique wyrażali nadzieję, że niedługo się to wszystko jakoś rozleci, a myślący bardziej praktycznie sławni fizycy polskiego pochodzenia przypuszczali, że niedługo powinna wkroczyć armia z czerwoną gwiazdką i cierpiąca na ciągłe kryzysy i inflacje ekonomia zachodnia ulegnie nareszcie radykalnemu uzdrowieniu.

Wobec tak optymistycznych prognoz na przyszłość, zarzuciłem chwilowo troskę o poważną pozycję społeczną i zacząłem się rozglądać za jakimś bardziej pozytywnym zajęciem. Ktoś poradził mi aby iść do „Klubu Mediterranée". U mojego przewodnika duchowego, Tofflera, wyczytałem, że jest to *packaged fun & sex,* co nieco odstraszyło mnie od tej instytucji, zwłaszcza że nie jestem zbytnim amatorem „wakacji w opakowaniu". Jednak w ramach generalnego paczkowania świata tak czy owak trzeba sobie znaleźć miejsce w jakimś *boîte**, więc dlaczegóż nie spróbować w pudełku z uciechą i seksem? Przyciśnięty koniecznością życiową udałem się do kwatery głównej śródziemnomorskiego *dolce vita.* Po pół godzinie wyszedłem jako instruktor żeglarski, z kontraktem do ośrodka Malabata w Marokku, gdzie przez następnych kilka miesięcy biegałem codziennie punktualnie na dziewiątą w slipkach na plażę, dokładnie tak jak inni w krawacie do biura.

Praca ta oznaczała mą prywatną dezercję z szeregów uczonych i techników, mających pchnąć świat ku zbawieniu, a zatem i wyraźne obniżenie szczebla mego rozwoju. Już pierwsze tygodnie pracy w Klubie potwierdziły, że w czasie tej wegetacji można rzeczywiście zginąć, a to tak jak na filmie „La Grande Buffe" z przejedzenia, albo z nadmiaru możliwości sportowo-fizjologicznych. Pozostawał także niezaspokojony problem rozwoju intelektualnego, jak ostrzegał mnie znajomy intelektualista, *fun* i *sex* nie mają bezpośrednich powiązań ze sferą przeżyć duchowych. Cóż jednak są te „przeżycia duchowe", w których niepraktyczne istnienie już od dawna zwątpili Amerykanie?

Według znanego filozofa polskiego inteligencja jest czymś w rodzaju niematerialnej protezy, pomagającej w przetrwaniu trudnych chwil, upiększającej niedostatki realnego życia — w pewnym sensie zjawiskiem dość odwrotnym do ogólnego kierunku

* *boîte* — skrzynka, pudełko, popularna francuska nazwa zakładu pracy.

przemian w świecie, który to nadmiarem prozy usiłuje przykryć swą zasadniczą niewydolność w dziedzinie poezji.

Gdzie by tu, w Klubie Mediterranée, znaleźć zastosowanie dla takiej protezy? Pewien paryski kolega opowiadał mi o Polaku jeszcze z wojennej emigracji, z którym on pracuje, który mu codziennie donosi o bojach jakie stacza wieczorami z Zakonem Krzyżackim. Mimo pozornej śmieszności takie boje wydają się zajęciem całkiem praktycznym: wymagają dobrej znajomości historii, kształcą wyobraźnię, a i przeciwnik jest najwyższej jakości. Nie ma nawet co porównywać tych walk z walkami staczanymi na łamach setek czasopism między Nixonami, Breżniewami czy Gierkami — te ostatnie dowodzą tylko braku wyobraźni, a i osobowość adwersarzy wydaje się być tyci, tyci.

W „Ostatnim tangu w Paryżu", przeciętny akt sodomii został uświetniony przez Wielkie Hasła Patriotyczne, skandowane w czasie jego trwania, więc idąc śladem Mistrzów i ja zapragnąłem swej skromnej prozaicznej działalności dodać trochę blasku bijącego ze zdarzeń, w których uczestniczenie nie będzie już dane mojej generacji. Pierwszy tydzień nie był pod tym względem zbyt płodny. Zamiast seksu było dużo pracy organizacyjnej. Ale już niedługo potem, pod samotnym eukaliptusem stoczyłem krótki bój spotkaniowy z interesującą wdówką. Wkrótce na pokaźnej Niemce brałem odwet za wuja poległego w Powstaniu Warszawskim, wraz z młodą przesiedloną przeżywaliśmy heroiczne chwile trzech powstań śląskich. Ledwie co obroniłem Tobruk przed zakusami Korpusu Rommla, gdy na horyzoncie pojawiło się coś, co kroiło się na ofensywę pod Kurskiem, ale skończyło się na niepokaźnej bitwie pod Studziankami.

◆

Brak gazet i telewizji na niższym szczeblu rozwoju wyraźnie wpływał na zawężenie mych horyzontów i z konieczności me pole widzenia ograniczało się do plaży, morza i niewyraźnych konturów Europy na horyzoncie. Jedni widzą świat z Londynu, inni z Brukseli, a ja zmuszony jestem widzieć go z plaży.

Plaża składa się z piasku i właśnie na tym piasku koncentrowała się ma, wyostrzona przez lata pracy w Ameryce, uwaga. Występowała w nim bowiem mazista, brunatna substancja klejąca się do nóg, ubrań i jachtów, a której to substancji nadałem odpowiadającą jej pochodzeniu i zastosowaniu nazwę *Wasserscheisse*. Była to niewątpliwie jedna z cięższych frakcji odkrytego przez Łukasiewicza oleju skalnego, który to materialny olej wydaje się że zupełnie wyparł we współczesnym świecie metafizyczny olej w głowie.

Już krótka chwila zastanowienia pozwala nam sobie uzmysłowić jak dalece u podstaw naszej egzystencji znajduje się ten olej. Bez niego rozsypałyby się w proch największe mocarstwa przemysłowe, setki milionów ludzi zostałoby bez pracy, nie do pomyślenia byłyby wakacje w Marokku, a prawdopodobnie stanęłyby nawet maszyny drukujące *Kulturę*. Bez żadnej przesady mogłem powiedzieć, że cała nasza cywilizacja, wydobywanie się z wiekowego zacofania, komuniści i faszyści, afera Watergate i loty kosmiczne, wszystko to przybywało na mą plażę w konkretnej postaci lepiącego się do mych nóg *Wasserscheisse*. Niejakim pocieszeniem w tych rozważaniach był dla mnie fakt, że mój własny ojciec jest cenionym, w Polsce i kilku innych krajach specjalistą, za zasługi poniesione dla zwiększenia produkcji *Wasserscheisse*. Tak więc problemy o charakterze światowym zaczęły przybierać wymiary rodzinnej dyskusji pokoleń.

Podnosząc wzrok znad piasku, sto metrów na wschód widać kontury potężnych rozmiarów hotelu „Holiday Inn", budynku o architekturze tak doskonałego pudła, że wystraszył on zdaje się nawet rząd marokański, który już od ponad roku odmawia zezwolenia na jego otwarcie, a według zgodnej opinii użytkowników „Klubu Mediterranée", najpraktyczniejszą rzeczą jaką można by z tym koszmarkiem zrobić byłoby podłożenie pod niego ładunku nitrogliceryny.

Około 50 metrów na zachód od mojego stanowiska pracy uwijali się robotnicy przy konstrukcji nowego hotelu. Przyglądałem się ich pracy z pewnym niepokojem — no bo jak zbudują taki potworek jak ten z drugiej strony i będzie się tylko nadawał na zrobienie bum, to ich praca zatraca jakikolwiek racjonalny sens i zamienia się w dość ponury rytuał, którego jedynym praktycznym skutkiem jest to, że mi stukają nad uchem i zamurowywują widok.

◆

Mój pobyt na plaży służył uprzyjemnianiu pobytu ciałom ją zalegającym i z zawodowego obowiązku obserwowałem także ruchy tych ciał. Już pobieżna analiza ilościowa wskazywała że na około 700 osób raczej młodego wieku spędzających wakacje w Klubie, z udogodnień sportowych — względnie z naturalnej plaży — korzysta zaledwie 100-200 uczestników, znakomita zaś większość ciał zadawalała się powolnymi obrotami pomiędzy barem a basenem. Empirycznie potwierdzałoby to odkrycie Skinnera: kierunek rozwoju społecznego winien być zgodny z termodynamicznym prawem entropii — jest to kierunek ogólnego wyrównywania się różnic, zastygania w komfortowym bezruchu w możliwie sztucznym, bezpiecznym środowisku.

Nie chcąc przeszkadzać w śnie większości, obracałem się głównie wśród bardziej spersonalizowanych fluktuacji statystycznych, które wytracały swą energię przy pomocy niezbyt zracjonalizowanych poruszeń. Tu wystarczała prosta analiza jakościowa aby zauważyć, że mimo wzrastającej równości, Niemcy wyraźnie górują nad Francuzami pod względem ogólnego wysportowania. Raz nawet, przy barze, w czasie dyskusji otaczających nas ciał, nie bez pewnego samozadowolenia zauważyliśmy z jednym młodym Niemcem, że jak na pokolenie zrodzone w okresie gdy nasi rodzice zajęci byli wzajemnym wyrzynaniem się i to pokolenie zrodzone dla podobnych celów — tośmy wyrośli raczej udanie.

Te humanistyczne obserwacje podsunęły mi myśl, że może by się udało „namówić" młodych Niemców do wspólnego spuszczenia wody z Amerykanów. W tym też celu, zaopatrzywszy się w tomik Nietzschego, zabrałem się do solidnego rozpracowania „Der Deutsche Geist" (Ducha niemieckiego). Już po kilku stronach jego lektury zafrapowała mnie awersja Nietzschego do Sokratesa — który dla mnie z kolei jest ideałem. Nietzsche zarzucał mu, że wskutek jego wybujałego indywidualizmu i braku naiwności zostały przez Greków zaprzepaszczone możliwości postępu, powstania wielkich idej państwowotwórczych, możliwości szczęścia ogólnego, a także pozbawione zostały zupełnie znaczenia osiągnięcia nauki. Nietzsche sam nie negował nauki — chciał tylko przyporządkować ją filozofii — co logicznie doprowadziło do komór gazowych, praktycznych autostrad, komputerów i bomb atomowych, podczas gdy wskutek naukowej abnegacji Sokratesa mieliśmy Wieki Ciemne, po których pozostały nam pozbawione wartości utylitarnych kościoły.

Ta zasadnicza różnica między Sokratesem i Nietzschem poddała mi myśl, że to właśnie na stosunku do Nauki i Technologii polega *differentia specifica* między romantyzmem i faszyzmem, podobna do różnicy między tymi co próbują wyzywać przeciw sobie świat uzbrojeni tylko w czekan i raki, a tymi, w których ta boska odwaga wstępuje dopiero wtedy gdy są w kupie i czują pod sobą wibracje Hondy 750. Faszyzm w każdym kontekście historycznym występuje tak nierozerwalnie z rozkwitem technologicznym, że słowo to wydaje się kojarzyć bardziej z autostradą niż z postacią Hitlera.

A gdyby tak romantycy spróbowali rozłożyć faszystów, Kordian złapał za mordę Chama? W tym celu wystarczałoby wyjąć spod Chama niosącą go protezę, obalić Technologię, to znaczy pozbawić znaczenia Naukę, czyli doprowadzić do Przewrotu Sokratycznego i to w dobie obecnej. Trzeba szczerze przyznać, że komuś, kto spędził kilkanaście lat i uzyskał parę dyplomów na kilku najsławniejszych uczelniach świata, to taki pomysł musi imponować: bo jeśli Sokrates miał rację, to jego znaczenie jest niewątpliwie większe od znaczenia wszystkich laureatów Nobla razem wziętych. W dodatku do dokonania swego przewrotu nie napisał on zdaje się ani jednej pracy naukowej i ponoć większość życia spędził na plaży.

Nietzsche dziwił się z jaką łatwością uczeni sprzed tysięcy lat ulegli argumentacji Sokratesa — teraz taki przewrót wydaje się o wiele trudniejszy: kiedyś uczonych było tylko dwudziestu i wszyscy się między sobą znali, teraz jest ich dwadzieścia milionów i znają swą specjalizację. W dodatku, za czasów Sokratesa uczeni zajmowali się nauką dla własnej przyjemności i w momencie utraty zainteresowań naukowych mogli się zająć np. żeglarstwem, podczas gdy obecnie ich egzystencja zależy od ilości wyprodukowanych prac i często zastanawiam się, czy nie znajdują się oni w sytuacji tych robotników budujących hotel, pilnujących się nawzajem aby któryś z nich się nie wychylił i nie zauważył, że gmach który wznoszą zamienia się w koszmarek.

Gdy zaś się w tej swojej gorączkowej pracy nie opamiętają, to dojdzie do tego, że wszystko to zakończy się paleniem bibliotek, albo co gorsza wielkim bum.

◆

Pewnego dnia na mojej plaży pojawił się pan ostrzyżony na Gierka, który przedstawił się jako pracownik znanego Ministerstwa i zaprosił mnie na obiad. Z listów uwierzytelniających wymiarkowałem, że fatygował się on za mną aż do Marokka, czyli że żyjemy na skalę światową: ja jeżdżę do Marokka wozić paryżan łódką, inni przylatują do Marokka jeść ze mną obiadki. W czasie grzecznościowej wymiany zdań dowiedziałem się, że ten hotel o którym pisałem, to właśnie My budujemy, a więc symboliczny obraz plaży się dopełnił: z jednej strony zmachali swój pomnik imperialiści, z drugiej machają komuniści, a na moją plażę zostało już tylko 150 metrów.

Wracając do bardziej konkretnych prac Ministerstwa, dowiedziałem się, że w 1968 roku to Żydzi namówili do złego z natury dobrą polską młodzież. Oznaczało to, że w Ministerstwie nadal obowiązuje duch „narodowy" i ukute przez mego kolegę szlacheckiego pochodzenia hasło: „Proletariusze Wszystkich Krajów nie Kupujcie u Żyda!" nie utraciło nic na wartości. Zbliżając się do celu swej wizyty przedstawiciel przekazał na me ręce pozdrowienia dla p. redaktora Giedroycia, chwalił lekkość i ostrość pióra, a z troskliwych wypytywań ile mi w *Kulturze* płacą, wywąchałem, że to być może Ministerstwo zainteresowane jest moim talentem. (Ta czułość Ministerstwa podsunęła mi sza-

tański pomysł, że może by tak zacząć szantażować p. Giedroycia, że jak nie podniesie mych lichych stawek autorskich to zacznę pisywać dla *Prawa i Życia*. Patrząc na to po amerykańsku, *business is business*, pracuje się tam, gdzie płacą lepiej).

W końcu przedstawiciel wystąpił z otwartą ofertą pracy: przebywałbym na Zachodzie jeszcze rok albo dwa, artykuliki do *Kultury* pisał (co czynię), a od czasu do czasu małe sprawozdanko dla Ministerstwa. W zamian za to Ministerstwo pomogłoby mi przeżyć w dobrych hotelach trudne chwile na Zachodzie, co pewien czas przysyłałoby mi na Zachód tatusia, abym się mógł nim nacieszyć, a po powrocie do Polski zapewniłoby mi gruntowną zmianę środowiska i godziwe zabezpieczenie przyszłości, czyli *retirement*. Wyglądało to na propozycję solidnej, normalnej i niezbyt uciążliwej pracy. W Stanach Zjednoczonych też wypisywałem na papierze jakieś bzdury, za co sowicie płaciła mi armia amerykańska.

Przy omawianiu szczegółów kontraktu okazało się, że moja praca polegałaby tym razem nie na rozpracowywaniu ziarenek piasku, ale na rozpracowywaniu emigracji polskiej, zwłaszcza młodej emigracji — a więc byłaby bardziej odpowiedzialna, w zasadzie niczym się nie różniąca od pracy mego francuskiego kolegi, który dla znanego koncernu komputerowego rozpracowywuje grupy wpływu, rozkład sił i kompetencji w kierownictwach rozmaitych przedsiębiorstw. W pewnym sensie moja działalność wydawała się być bardziej „czysta" z ekologicznego punktu widzenia: on to robi po to aby najefektywniej wtrynić tym przedsiębiorstwom reprezentowane przez siebie maszyny, ja zaś bym robił to tylko dla zaspokojenia humanistycznych zainteresowań Ministerstwa.

W celu sprawdzenia mej przydatności do proponowanej pracy, przedstawiciel pytał o organizację kombatantów marca 68, na co ja przytaknąłem, że niewątpliwie idea jest przednia i wartałoby coś takiego założyć, do której to propozycji przedstawicielowi zaświeciły się oczy. To z kolei wzbudziło we mnie straszne podejrzenie, że Ministerstwo boryka się z iście Mrożkowskim problemem policjanta, któremu nikt nie chce się buntować, a co zatem idzie, grożą mu obcięcia premii, etatów i wszystkim nam znane okropności związane z zanikiem działalności sprawozdawczej. (Później miałem wyrzuty sumienia, że ja dureń nie połapałem się od razu o co chodzi i nie wziąłem od Ministerstwa zaliczki na zorganizowanie jakiejś grupy rewolucyjnej — mybyśmy mieli za co wypić zdrowie Ministerstwa, a Ministerstwo mogłoby się wykazać wykryciem kolejnej organizacji, działającej na szkodę państwa).

Z kolei przystąpiliśmy do omawiania warunków wynagrodzenia. Propozycja Ministerstwa, że na jego koszt mógłbym odpoczywać co pewien czas w dobrym hotelu nie wzbudziła we mnie zbytniego zainteresowania — bo opowiadać alpiniście o hotelu, to trochę tak jakby skowronkowi tłumaczyć, że wygodniej mu będzie w klatce, a Klub Mediterranée z nadmiarem wystarczał do zaspokojenia mych nawet najgłębszych potrzeb fizjologicznych.

Bardziej atrakcyjna wydawała się propozycja, że od czasu do czasu Ministerstwo będzie mi przysyłać na Zachód tatusia — bo tatusia rad widzę. Ale i tu pojawiły się uboczne, ale dość istotne obiekcje. Otóż w związku z zupełnym zanikiem ambicji pozytywistycznych nie zdołałem jeszcze spłacić długu zaciągniętego na poprzedni pobyt tatusia na Zachodzie. Dlatego w wypadku przyszłych przyjazdów wypadałoby usamodzielnić finansowo tatusia — samodzielnego pracownika nauki. Wiązałoby się to jednak z radykalną reorganizacją siatki płac w instytucjach naukowych co z kolei, myśląc ekonomicznie, mogłoby się odbić ujemnie na budżecie Ministerstwa. Tak znajdujemy się w błędnym kole: gdy usamodzielnimy tatusia, to może zabraknąć funduszy na etat dla mnie, zaś bez samodzielnego tatusia ma praca dla Ministerstwa traci wiele na uroku.

Pozostawała jeszcze kwestia *retirement*, czyli mej sytuacji po ewentualnym powrocie do Polski. Tu dowiedziałem się, że „śledztwo w Waszej sprawie już przyschło i oczywiście, gdybym podjął pracę to wszystko zostałoby mi wymazane, ale jakby coś nie tak, to naturalnie można by to odnowić" — czyli z tą „gruntowną zmianą środowiska" to na dwoje babka wróżyła, i świetlana perspektywa powrotu do kraju w randze kapitana utraciła dużo na swej atrakcyjności — mam niejakie wątpliwości, czy udałoby się Rakowiecką zamienić na „Klub Śródziemnomorski", zwłaszcza że wobec generalnego zatrucia Wisły byłoby prawie niemożliwe zorganizowanie szkółki żeglarskiej.

Podsumowawszy wszystkie aututy i obiekcje, podziękowałem przedstawicielowi Ministerstwa za obiadek oraz za interesującą, acz niedość atrakcyjną ofertę i popedałowałem w kierunku mego luksusowego wygnania. Przedstawiciel biegł jeszcze przez chwilę za moim rowerem, wymachując zielonymi papierkami, w czym zupełnie przypominał arabskich przekupniów, którzy w czasie obiadu bezustannie krążyli koło nas, usiłując sprzedać nam rozmaite przedmiociki. I jak zawsze w takich przypadkach poczułem zażenowanie, że sprawiam zawód tym ludziom, że mnie te przedmiociki zupełnie nie interesują i że tak niepotrzebnie się oni męczą.

Aha, jeszcze jedno — reprezentant Ministerstwa mnie prosił aby o naszej rozmowie nikomu nie mówić — w czym słowa dotrzymuję, bo mowy nie było o tym aby nie pisać.

◆

Gdzieś z początkiem lipca jakość „ludzkiego mięsa" przywożonego do Klubu zaczęła się gwałtownie pogarszać. Wiązało się to z napływem fali „tych co pracują jedenaście miesięcy w roku", a którzy to ludzie zawsze wzbudzali we mnie podziw pomieszany z lękiem, bo prawdę mówiąc, największy strach w moim życiu, strach który gnębi mnie już od prawie dziesięciu lat, to to, że kiedyś powinienem zostać jednym z nich. Strach ten okazał się uzasadniony, bo szef ośrodka wyraźnie zapowiedział, że ci co pracują jedenaście miesięcy w roku żadnych uchybień nam nie wybaczą — czyli że są nietolerancyjni.

W tej sytuacji zdecydowałem się opuścić me bezpieczne pudełko i wyjechałem w Alpy, gdzie alpinistyczna elita świata osiągała już najniższy możliwy poziom ewolucyjny, przebywając we wprost tragicznych warunkach materialnych. Gnieździli się oni stłoczeni po kilkanaście osób w wilgotnej izbie, pozbawionej światła; niewystarczająco odziani trzęśli się z zimna pod gołym niebem; przymierali z głodu i wycieńczenia, a czasem nawet ginęli w zaciętej, irracjonalnej walce z górami, dając swym zachowaniem świadectwo, że jeszcze nie wyblakły zupełnie stare opowieści o rycerzach i wiatrakach.

Marek GŁOGOCZOWSKI

Genewa, 31 sierpnia 1973.

Sprawy (nie tylko) wydawnicze

Na bezdrożach prawa

Sprawa przystąpienia ZSSR do Konwencji Genewskiej (UCC) o międzynarodowej ochronie praw autorskich wciąż wraca na szpalty prasy światowej. W znanym „wywiadzie" dla *Monde* w końcu sierpnia br. Sołżenicyn zadał sobie sam pytanie co sądzi o zamiarach władz w związku z zakazem drukowania dzieł autorów — obywateli ZSSR zagranicą. Autor „Pierwszego kręgu" (cytuję za prasą szwedzką) „odrzuca ze wzgardą" groźby urzędników „od kultury", że wobec wywozu zagranicę dzieł literackich zastosowane zostaną przepisy o monopolu handlu zagranicznego.

Jak wyzwanie brzmi oświadczenie Sołżenicyna: „Jak długo drogi do publikacji moich książek będą w kraju zamknięte, będę je wysyłał wydawcom zagranicznym bez względu na finansową dyskryminację i policyjne zakazy. Oświadczam z góry, że żaden sąd nie jest kompetentny do ferowania wyroków, kwestionujących moje prawo dysponowania własnymi dziełami i w sprawach rosyjskiej literatury w ogóle". Na zakończenie ironiczna inwokacja do władz, by zgodnie z duchem Konwencji Genewskiej sprzyjały szerokiemu rozpowszechnieniu każdego utworu pisarza rosyjskiego, który znajduje wydawcę zagranicą, i chroniły jego utwory przed bezprawnym przedrukiem.

21 września nastąpiła zapowiadana próba sił. Sołżenicyn przekazał prasie zachodniej wiadomość, że w trybie „Samizdatu" rozpoczął rozpowszechnianie w ZSSR dwu nowych rozdziałów „Pierwszego kręgu" i powierzy ich druk również wydawcom zagranicznym. Sołżenicyn miał oświadczyć przy tym (według streszczenia agencji prasowej), że „przystąpienie ZSSR do Konwencji Genewskiej, której sensem najistotniejszym jest zapewnienie swobodnego przepływu informacji i idej między narodami, stanowi upoważnienie dla każdego pisarza do publikowania swego dzieła w kraju i za granicą bez żadnych przeszkód".

Może przypadkowo zbiegło się to oświadczenie Sołżenicyna z inauguracją działalności nowoutworzonej „Agencji Autorskiej"

(właśnie „Urzędu ZSSR do spraw *copyright*'u"). Dyrektor Agencji Pankin (b. redaktor naczelny *Komsomolskoj Prawdy)* przedstawił się prasie jako pełnomocnik autorów ZSSR, posiadający na prawach monopolu upoważnienie do prowadzenia pertraktacji i podpisywania umów w ich imieniu z wydawcami zagranicznymi. Nie bardzo przy tym wiadomo czym grozi jego zapewnienie, że „uczyni wszystko dla należytej ochrony praw autorów ZSSR za granicą". Jednoznacznie o zadaniach Agencji mówił osławiony sekretarz Związku literatów Markow: „Agencja nie ograniczy się do załatwiania formalności. Będzie ona rozpatrywała każdą sprawę ' z pozycji klasowych' ".

Granice tej ochrony zostały, jak się okazuje z komentarzy prawników, na najbliższe lata poważnie zwężone. W miesięczniku *Sowietskoje gosudarstwo i prawo* (nr 7/1973) czytamy w artykule M. M. Bogusławskiego, że ZSSR postanowił skorzystać z odpowiedniego przepisu Konwencji Genewskiej i zapewnia ochronę tylko tym dziełom zagranicznym, chronionym w krajach związkowych, które zostały po raz pierwszy w oryginale wydane drukiem po 27 maja 1973 roku[1]. Warto tu zaznaczy, że ze względu na intencje twórców Konwencji żaden z krajów, które dotychczas do UCC przystąpiły, nie wprowadził tego typu ograniczeń.

Oczywiście ten zakres ochrony praw autorów zagranicznych w ZSSR powoduje na zasadzie wzajemności wyjęcie spod ochrony dzieł autorów sowieckich, wydanych w ZSSR w oryginale po raz pierwszy przed 27 maja 1973 r. O tym jednak ani słowa w cytowanym komentarzu. Sprawa jest również przemilczana w przepisach wprowadzających postanowienia Konwencji. W instrukcji „Gławizdata" o stosowaniu znaku ochrony (© = *copyright* z rokiem wydania i nazwą wydawcy lub nazwiskiem posiadacza praw autorskich) nie wspomina się o powyższym ograniczeniu. Instrukcja zobowiązuje wydawcę, a nawet drukarza do umieszczania symbolu Konwencji Genewskiej na *każdej* publikacji. Nie tylko zresztą na niechronionych wznowieniach i przekładach: w nadmiarze gorliwości dumny symbol międzynarodowej ochrony prawa autorskiego umieszczono nawet na... katalogach i prospektach księgarskich stoiska ZSSR na Targach Książki we Frankfurcie.

Tyle o ZSSR. A w kraju? Na moje uwagi o swoistej „polskiej" metodzie blokowania bezpośrednich kontaktów pisarzy z wydawcami zagranicznymi *(Kultura,* nr 5/1973) otrzymałem od anonimowego czytelnika nowe zarządzenie w tej sprawie ministra

1. Ile głosów prasy na ten temat tyle niemal nieporozumień. Korespondent moskiewski Agencji TT opatrzył cytowane wyżej oświadczenie Sołżenicyna uwagą, że przeznaczone obecnie do publikacji dwa nieznane dotąd rozdziały „Pierwszego kręgu" nie podlegają rzekomo ochronie UCC, gdyż zostały... napisane przed 27 maja 1973 r. Data napisania utworu w żadnym znanym mi prawie autorskim nie ma wpływu na jego ochronę po publikacji. Ważna jest jedynie w sporach o autorstwo (jako dowód w sprawach o plagiat).

finansów *(Monitor,* nr 29/1973) z radosnym komentarzem, że zakazy te należą już do mrocznej przeszłości.

Niestety, wielosłowie urzędowych dokumentów zmyliło niezbyt chyba uważnego czytelnika. Zarządzenie utrzymało w mocy (w § 20) zakaz bezpośredniego zawierania umów między autorem polskim i wydawcą zagranicznym. Jedyna zmiana wynika z rozgrywek wewnętrznych: ZAIKS pod prezesurą Karola Małcużyńskiego utracił pozycję pośrednika-monopolisty z czasów prezesa Ryszarda Dobrowolskiego. Zawierać umowy z wydawcą zagranicznym mogą również „polskie przedsiębiorstwa wydawnicze". Jest to jednak różnica jedynie biurokratyczno-organizacyjna: zarówno ZAIKS, jak również wydawcy podpisują umowy zagraniczne tylko formalnie. Uroczysty akt zawarcia umowy wymaga bowiem uprzedniego uzgodnienia wszystkich jej elementów i licznych (policyjno-dewizowo-administracyjnych) zatwierdzeń i zezwoleń.

A więc nadal obowiązuje w Polsce zakaz bezpośrednich kontaktów autora z wydawcą zagranicznym, nadal obowiązuje zakaz wywozu i wysyłania za granicę maszynopisów bez odpowiednich zezwoleń. I tu obserwujemy modne teraz w Polsce paroksyzmy kolejnych liberalizacji i nowych zakazów. W stosunkach z Zachodem sytuacja paradoksalna: władze liberalizują wyjazdy zagraniczne (NRF 1973: 110.000 wiz turystycznych dla obywateli polskich!), ale pragną utrzymać, a nawet zagęścić za wszelką cenę sieć zatrzymującą na granicy, wychwytującą na poczcie każdy ślad myśli ludzkiej, niezatwierdzonej przez GUKPPiW (czytaj CENZURA).

O wiele skuteczniejszą jest selekcja dzieł zagranicznych, przełożonych na język polski. Tu oka sieci są niezwykle zagęszczone i dobry tuzin instancji i urzędów czuwa nad właściwym dozowaniem informacji i treści artystycznych, docierających do kraju z Zachodu. Szczególnie bolesna jest izolacja od czytelnika w kraju pisarzy polskich pozostających na emigracji. Od lat kilkunastu nie wznawia się książek Gombrowicza.

Tu krótka dygresja: los to nie tylko Gombrowicza. Trafnie pisał niedawno Wierzbicki *(Literatura,* 26. 7. 1973), że „pleni się w Polsce niedobry obyczaj informowania 'z drugiej ręki' o dziełach, autorach, kierunkach artystycznych i naukowych". Czytelnik nie może sobie wyrobić własnego zdania, bo źródła są niedostępne; o dziełach niewydanych w Polsce, albo dawno wyczerpanych, o wydarzeniach, autorach i problemach dowiaduje się jedynie z różnych opracowań i referatów.

Przykład (podaję za Wierzbickim): wspaniała 130-tomowa Biblioteka Klasyków Filozofii jest już dziś niemal całkowicie wyczerpana, oryginały dzieł filozofów niemarksistowskich są niemal nie do zdobycia. Ale rozmaite opracowania o nich — naukowe i popularnonaukowe z gotową papką ocen krytycznych mnożą się na półkach księgarskich.

Tu glossa: Biblioteka Klasyków Filozofii (od czasów najdaw-

niejszych do połowy XIX wieku) powstała w roku 1951 z inicjatywy m.in. Karola Kuryluka, a następnie była wydawana pod kierunkiem dr Ireny Krońskiej. Komitet redakcyjny pod przewodnictwem prof. Tadeusza Kotarbińskiego składał się z czołowych polskich filozofów i historyków filozofii wszystkich kierunków. Poziom naukowy i edytorski przekładów, wstępów i komentarzy stawia Bibliotekę w rzędzie najlepszych europejskich naukowych serii wydawniczych tego typu.

Przeznaczona dla specjalistów, Biblioteka Klasyków Filozofii drukowana była w nakładach zapewniających zaopatrzenie księgarń w ciągu wielu lat, zwłaszcza wobec groteskowego cennika narzuconego wydawcy: obowiązywała zasada geograficzna — dzieła filozofów „Zachodu" były trzykrotnie droższe (w przeliczeniu na jedną stronę) niż dzieła filozofów polskich i rosyjskich. „Materialiści" zachodni korzystali z niewielkiej zniżki w porównanu z najdroższymi w serii „idealistami".

Po marcu 1968 pasja niszczenia narodowego dorobku kulturalnego przybrała w stosunku do Biblioteki Klasyków Filozofii swoistą formę: ogłoszono jej wyprzedaż obniżając ceny poniżej kosztów papieru i oprawy (np. „Krytyka czystego rozumu" Kanta w dwu tomach, w oprawie: cenę obniżono ze 130 zł na 20 zł). W krótkim czasie Biblioteka znikła z półek księgarskich. Najszybciej rozchwytano dzieła „zachodnich" filozofów „idealistycznych". W prasie i na wystawach antykwariatów pojawiły się ogłoszenia o skupie wyczerpanych tomów Biblioteki... po dawnych cenach.

Ale wróćmy do dzieł Gombrowicza i — niespodzianie — do spraw bezdroży prawa autorskiego — tym razem w Polsce. W maju br. nie kto inny a stary cynik Sokorski przerwał kilkunastoletnie przemilczanie w kraju tekstów wielkiego pisarza. Oczom własnym wierzyć nie chciałem — od numeru 5 począwszy, co miesiąc *Miesięcznik Literacki* Sokorskiego DRUKUJE GOMBROWICZA!

Drukuje — ale jak. W tłumaczeniu z hiszpańskiego! Jest to bowiem tasiemcowy wywiad z Gombrowiczem dziennikarza Marcos de Quebrado, tłumaczony na język polski przez Macieja Szybista. Wywiad nieznany — nie ma o nim nawet wzmianki w dziewięciotomowym wydaniu Dzieł Zebranych, a żaden *Who is who* nie informuje o hiszpańskim dziennikarzu de Quebrado.

Ale wystarczy przeczytać kilka zdań, by rozpoznać autentyczną prozę Gombrowicza. Rzekomy „Gombrowicz podsłuchany" — jak nazwano „wywiad" w *Miesięczniku Literackim*, jest Gombrowiczem przepisanym — z „Dziennika". Ależ to „szutnik" z Pana Macieja — zamiast tłumaczyć pociął „Dziennik" na skrawki, pozszywał, poprzegradzał, wcale zresztą inteligentnymi, wstawkami, „tłumaczonymi" z hiszpańskiego — i prezentacja pisarza gotowa.

Nie moją jest rzeczą oceniać intencje Szybista, chociaż jednoznacznie ocenić należy intencje jego mocodawców. Jego artykuły z pisma studenckiego z roku 1971 pełne były naiwnej wiary w

pogrudniową „odnowę" i hasła budowy „drugiej Polski". Wzywał wtedy literaturę i dziennikarstwo do przerwania milczenia, do aktywnej postawy i odwagi w wyrażaniu własnych poglądów. Niemal w rocznicę buntu na Wybrzeżu potępiał inercję myślową i postawy służalcze, kulturę dnia wczorajszego widział już odmienioną, odzyskującą możliwości swobodnego rozwoju.

Więc o nim by zapewne nie napisał Gombrowicz tak, jak o pewnym prowokatorze w spódnicy: „Gdy tak zwany żurnalista pragnie 'rozrobić' pisarza, talent polega na tym, żeby go zanadto nie przeinaczyć, trzeba raczej cieniować, sztukować, tu się doda, tam się ujmie i ni stąd ni zowąd myśl uczciwa człowieka — który całe życie się wysilał, żeby myśleć jak najpoważniej — staje się świństewkiem" *(Dziennik*, 1961-1966, str. 145).

Zadałem sobie trud porównania z „Dziennikiem" tekstu „wypowiedzi" Gombrowicza w redakcji Szybista. Najłagodniej mówiąc potraktowano tekst bezceremonialnie. Znalazłem zdania urwane w połowie, słowa i całe fragmenty rozumowania opuszczone bez zaznaczenia tego wstydliwymi trzema kropkami.

Bo tam, gdzie się te trzy kropki znalazły, redakcja uważa się za całkowicie rozgrzeszoną. W wyjaśnieniu redakcji, poprzedzającym „tekst p. Marcos de Quebrado", nie wiadomo co bardziej podziwiać — czy udaną naiwność filutów, czy zuchwałą szczerość pewnych bezkarności rzezimieszków literackich. Jest tam wzmianka o „Dzienniku", który „w sposób pełniejszy" wyraża myśli „reportażu a raczej pamiętnika" p. Quebrado. Redakcja jednak woli ten „zapis rozmowy": jest „nieautoryzowany" (!), „widziany oczyma innego, a przecież własny i autentyczny". I wreszcie deklaracja zasadniczej wagi: *„Czuliśmy się upoważnieni do skrótów"* (nie wiadomo tylko przez kogo — A.B.) — pisze redakcja i powiadamia czytelników, że „o wybór fragmentów, które by STANOWIŁY PENDANT DO NASZYCH MYŚLI O LITERATURZE, SZTUCE, KULTURZE etc." (podkreślenia moje — A.B.) zwróciła się do Macieja Szybista.

A więc kawa na ławę. Panu Maciejowi się zapewne wydaje, że za spreparowanie fragmentów „Dziennika" tak, by stanowiły pendant do myśli Sokorskiego o literaturze, sztuce, kulturze etc. odpowiadają tylko zleceniodawcy. Mam jeszcze ciągle nadzieję, że znajdą się w Polsce nie tylko prawnicy, którzy wyjaśnią mu podstawowe, szanowane w każdym kulturalnym kraju i nie ulegające zawieszeniu w pogrudniowej „kulturze dnia dzisiejszego" prawo autora do integralności jego dzieła. Ani Gombrowicz, ani jego bliscy nigdy nie wyrażali i zapewne nie wyrażą zgody na jakiekolwiek skróty, czy zmiany w „Dzienniku". Wolno go jedynie drukować w całości.

Mam przed sobą cztery numery *Miesięcznika*. Nie wiem czy nie będą nadal drukowane okaleczone teksty „Dziennika". Ale już dokonana operacja (jeśli o komunizmie — to kilka zdań o jego atrakcyjności jako nauki, jeśli krytycznie — to o okresie sanacyjnym i o *Skamandrze*, jeśli kpina — to z emigracji i bufonady, jeśli zaskakujące sądy o najważniejszych problemach

twórczości, postawy własnej, o sprawach ogólnoludzkich — to wyrwane z kontekstu, oderwane od wyjaśniającego przykładu) stanowi brutalne naruszenie obowiązującego w Polsce Konwencji Berneńskiej i własnej Ustawy o prawie autorskim. Art. 59 § 2 tej Ustawy przewiduje karę więzienia i odszkodowanie za druk utworu bez zezwolenia autora. Przestępstwo to jest jeszcze jaskrawsze, jeśli nie tylko nie jest wskazane źródło przedruku, ale zatajono naruszenie prawa autorskiego przez podanie źródła fałszywego.

Zdarzały się już w Polsce tego rodzaju „publikacje fragmentów" dzieła. Ogłoszone zostały spreparowane wycinki nie tylko z pamiętników Franka, ale również Becka, Szembeka, Sławoj-Składkowskiego i in. Są to jednak na szczęście wypadki nieliczne — żaden szanujący się redaktor nie podpisze do druku dzieła wykradzionego autorowi, zniekształconego, zakłamanego. Nie znam przy tym — poza „Gombrowiczem podsłuchanym" — ani jednego przypadku podobnego podeptania praw autora dzieła literackiego.

Kiedy piszę te słowa nie doszły mnie jeszcze żadne wiadomości o reakcji w kraju na comiesięcznie okaleczanie utworu pisarza polskiego. Jestem pewny jednak, że podniósł się w Polsce niejeden głos protestu na zebraniach Związku Literatów, PEN-Klubu, Polskiego Tow. Wydawców czy może nawet Stow. Dziennikarzy Polskich. Nic z tego jednak nie dotrze do wiadomości opinii publicznej. GUKPPiW czuwa.

Adam BROMBERG

Uppsala, 1 października 1973

Kronika kulturalna

Tadeusz Święcicki

(Wspomnienie)

Zmarły 11 kwietnia 1973 w Paryżu śp. Tadeusz Święcicki był towarzyszem broni Józefa Piłsudskiego i od zarania jego akcji zbrojnej, należał do ekipy najbliższych mu ludzi. W początkowej fazie odbudowy Państwa Polskiego, kiedy wszystko trzeba było improwizować, a żądających było więcej niż dających, Święcicki ofiarował wszystko co posiadał: życie w walce zbrojnej, wybitną inteligencję w działaniu politycznym, takt i subtelność w stosunkach z ludźmi, wierność dla wodza, w którego ideę i talent nadzieję swą położył i którego zaufania nigdy nie zawiódł. Dobro Rzeczpospolitej było dla niego nie oklepanym frazesem, lecz żywym moralnym nakazem.

Więź która go złączyła z ideą niepodległości (w romantycznym jej ujęciu) wyniósł Tadeusz Święcicki — jak to często bywało — z domu rodzicielskiego. Rodzice jego (oraz siostra i dwóch braci) tkwili już głęboko w ruchu socjalistycznym i niepodległościowym. Ojciec był członkiem I „Proletariatu", a Tadeusz, urodzony 30 października 1893, spędził pierwsze dnie swego życia jako niemowlę przy piersi matki, zaaresztowanej na nabożeństwie za Kilińskiego, w więzieniu. Będąc uczniem prywatnego gimnazjum Górskiego w Warszawie, zaczął już pisywać w tajnym pisemku szkolnym „Ruń".

Rodzice obumarli Tadeusza wcześnie, bo już w roku 1920 nie było ich w obszernym mieszkaniu przy Al. Jerozolimskich — gdzie gospodarowała jego siostra p. Jadwiga — zawsze otwartym szeroko dla zjeżdżających w owym czasie do Warszawy działaczy politycznych i opisanym przez Wiesława Wohnouta w londyńskim *Dzienniku Polskim* w latach 1971 i 1972. Po ukończeniu szkoły średniej, Tadeusz Święcicki rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Przerwała mu je woj-

na 1914 roku. Od razu wstąpił do Legionów i służył w I Brygadzie, dzieląc aż do końca 1916 roku rozliczne jej losy i wykonując różne misje polityczne.

Po „kryzysie warszawskim", jesienią 1915 roku, Komendant Piłsudski wysyła Święcickiego do Warszawy dla organizowania Polskiej Organizacji Wojskowej (POW), gdzie obejmuje funkcję członka jej sztabu. Istniał już wówczas w Warszawie Centralny Komitet Narodowy (CKN) reprezentujący stronnictwa i grupy popierające akcję Piłsudskiego. Święcicki zostaje sekretarzem generalnym tego Komitetu, jednocześnie zajmując się organizacją prasy tego kierunku politycznego. Redaguje po Szpotańskim Biuletyn Informacyjny Komitetu, oraz nielegalny tygodnik *Rząd i Wojsko*. Mało tego. Gdy powstał legalny dziennik *Gazeta Nowa*, obejmuje sekretariat redakcji. To nagromadzenie funkcyj na jednym człowieku daje miarę braku odpowiednich ludzi do tej roboty.

Od chwili powrotu Piłsudskiego z Magdeburga Święcicki pełnił przy nim faktycznie funkcje adiutanta do spraw prasowych, uwijając się niestrudzenie pośród swoich licznych czynności. M.in. w tymże dniu powrotu, 10. XI. 1918, uczestniczył w konferencji Komendanta z przedstawicielami grup niepodległościowych przy ul. Szpitalnej i zrobił notatki częściowo opublikowane przez Wł. Malinowskiego w jego „Najnowszej historii politycznej Polski" (tom II, str. 147). Powiedział wówczas Piłsudski zebranym politykom, że rządy w obecnej Polsce będzie musiała objąć lewica. „Musimy zaczekać — mówił dalej — jak zagadnienie przebudowy społecznej rozwiąże u siebie Zachód... Ale ja Panów ostrzegam: nie zapominajcie, że wy jesteście piasek... Wy jesteście falą nastrojów, ale nie zorganizowaną siłą. Jeżeli nie wykorzystacie tego czasu, kiedy będziecie mieli władzę w ręku, na to by się zorganizować, aby z piasku stać się realną siłą, to ja was z błota wyciągać nie będę...". Jednego z następnych dni złapał Święcickiego na ulicy Feliks Perl, redaktor powstałego dopiero co na gruzach niemieckiej „gadzinówki" (Godzina Polski) *Robotnika* i prosił, by choćby czasowo objął u niego sekretariat redakcji. Święcicki uzyskał zgodę Piłsudskiego i przez krótki czas, dopóki nie znalazł się odpowiedni kandydat, pomagał Perlowi puścić w ruch nowy organ PPS.

Od 1 stycznia 1919 *Gazeta Nowa* zmieniła tytuł na *Gazetę Polską*. Święcicki, będąc członkiem spółki wydawniczej, musiał też objąć w niej sekretariat, by zorganizować cały aparat. Pismo zgrupowało bardzo tęgie siły. Redaktorem naczelnym był Bohdan Straszewicz (zginął w kampanii 1920 roku), redaktorem politycznym Adam Skwarczyński, krytykę teatralną prowadził Jan Lorentowicz, plastyczną Czesław Poznański, filmową Jan Lechoń. Artykuły wstępne pisali wybitni politycy i publicyści: Bohdan Straszewicz, Stanisław Thugutt, Janusz Jędrzejewicz, Tadeusz Hołówko, Irena Kosmowska, Antoni Lange, Jan Baudouin de Courtenay. Mimo to, nawet w stolicy, nowe pismo o tym poziomie, ale bez kapitału, nie mogło konkurować z drobnomieszczańskimi zasiedziałymi kurierkami — warszawskim i porannym. Po niespełna roku *Gazeta Polska* — ta pierwsza — przestała wychodzić.

◆

Wkrótce rozpoczyna się wojna 1920 roku. Święcicki wraca do szeregów i odbywa kampanię wojenną w 64 pułku piechoty, jako adiutant dowódcy pułku płk. Bociańskiego. Zdemobilizowany w lutym 1921 przerzuca się do Poznania, gdzie powstaje dziennik *Przegląd Poranny*, pierwszy organ obozu Piłsudskiego w tym mieście. Razem z Wiesławem Wohnoutem redaguje Święcicki to pismo, przeorując nim nieżyzną dla idei Piłsudskiego glebę i utrzymując wciąż kontakt ze starszyzną legionową i peowiacką.

Po rocznej pracy w Poznaniu, Święcicki postanowił wznowić przerwane przez wojnę studia i w ciągu następnych trzech lat ukończył Szkołę Nauk Politycznych przy Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierując jednocześnie krakowskim oddziałem Polskiej Agencji Telegraficznej (PAT). Wkrótce potem znajomość zawodu dziennikarskiego i polityki międzynarodowej zaprowadziły Święcickiego na ważną placówkę PAT w Berlinie, gdzie jednocześnie redagował *Dziennik Berliński*, organ prasowy przeznaczony dla Polaków w Rzeszy Niemieckiej. Przebywając na tej placówce przeszło cztery lata, Święcicki zdobył sobie popularność w międzynarodowym środowisku dziennikarskim rezydującym w Berlinie. Tam go zastał przewrót majowy w Warszawie 1926 roku.

W sierpniu 1929 roku, w okresie ostrego konfliktu Marszałka Piłsudskiego z Sejmem, potrzebny był w Prezydium Rady Ministrów na stanowisku szefa Biura Prasowego człowiek poważny, wytrawny w stosunkach prasowych, taktowny, twardy i — co najważniejsze wówczas — posiadający zaufanie ministra spraw wojskowych, Józefa Piłsudskiego. Tym warunkom odpowiadał w zupełności Tadeusz Święcicki. Ówczesny premier Kazimierz Świtalski powołał Święcickiego na to stanowisko na którym wytrwał sześć trudnych lat.

Był to czas bardzo burzliwy, naładowany elektrycznością. Ostre gwałtowne wypowiedzi Marszałka w prasie (m.in. słynne Dno oka), polemiki z marszałkiem Sejmu Daszyńskim, przemówienie Marszałka i ministrów przed Trybunałem Stanu w spra-

wie ministra Skarbu Czechowicza, wreszcie ostre starcie z Daszyńskim w Sejmie, długie kryzysy rządowe itp. Obsługa prasowa tych wydarzeń była rzeczą trudną i delikatną, gdyż nieraz Piłsudski osobiście w te sprawy interweniował.

W grudniu 1929 odbyła się u Prezydenta konferencja przedstawicieli Rządu i stronnictw. Miała to być próba usunięcia nieustającego konfliktu pomiędzy Sejmem a Rządem. Oficjalnych protokołów z podobnych konferencyj często nie robiono, — być może po to, aby nie nadawać im charakteru urzędowego. Ale Święcicki, mając zmysł historyka i zbieracza, będąc obecny, wynotował przebieg tego zebrania. Czynił to potem z reguły, gdy widział, że jakaś dyskusja, mająca duże znaczenie polityczne, odbywa się bez protokolanta.

Konferencja grudniowa u Prezydenta nie dała wyniku. Po ustąpieniu krótkotrwałego ostatniego rządu Bartla, konflikt Marszałka Piłsudskiego z Sejmem zaostrzył się. Po kongresie „Centrolewu" w Krakowie i po bojowych na nim wystąpieniach opozycji, ale przed zapowiedzianymi w 23 miastach manifestacjami, na czele rządu stanął nagle po Sławku Piłsudski. W pałacu namiestnikowskim na Krakowskim Przedmieściu, gdzie Święcicki miał swój urząd, od razu zrozumiano, że szykuje się jakieś radykalne posunięcie. Rzeczywiście, w kilka dni potem nastąpiło rozwiązanie Sejmu i Senatu, a 10. IX. 1930 aresztowanie 13 posłów i 6 byłych posłów (ukraińskich) i osadzenie ich w twierdzy brzeskiej. Jednocześnie Marszałek i premier polecił ministrowi spraw wewnętrznych gen. Składkowskiemu zlikwidować szerzący się w Galicji Wschodniej ferment wśród ludności ukraińskiej, przybierający formy rewolty przeciwko państwu. Uderzenie było więc podwójne: w retoryczną raczej rewoltę polskiej opozycji i w rzeczywistą akcję rewolucyjną podjętą przez „Organizację Ukraińskich Nacjonalistów" (OUN) przeciwko „okupacji polskiej". Kierownictwo tej akcji znajdowało się — jak to stwierdził w wywiadzie metropolita Szeptycki — poza granicami państwa. Ale znalazło silny oddźwięk wśród młodszego pokolenia ludności ukraińskiej Galicji Wschodniej.

Reakcje opinii i prasy polskiej na te dwie jednoczesne lecz odmienne akcje represyjne były bardzo silne; ujemne w stosunku do pierwszej, polskiej, znacznie słabsze, często aprobujące w stosunku do drugiej, ukraińskiej. Pod wpływem tych zaskakujących zarządzeń wielki obóz popierający dotychczas Piłsudskiego, nie wyłączając sporej ilości jego żołnierzy z zarania walk legionowych, doznał głębokiego wstrząsu. Wielu dawnych towarzyszy Piłsudskiego odeszło, wielu zachwiało się w wierze w hasła ideowe swego wodza.

Był to zapewne najtrudniejszy czas w życiu i działalności

Tadeusza Święcickiego. Uczuciowo doznać musiał przykrego, bolesnego szoku z powodu brutalności i pasji tego kroku, tym bardziej gdy prędzej od innych dowiedział się o własnowolnym okrucieństwie gorliwych wykonawców, którzy pozostali bezkarni. Lecz nie załamał się pod wpływem tych pierwszych ciężkich wrażeń. Zreflektował się i wytrwał, — nie przez oportunizm lub obawę utraty stanowiska, lecz przez poczucie obowiązku wobec męża, w którego rozum, wolę i wizję Polski wierzył i który brał ten czyn wyłącznie na swój rachunek po to by ratować państwo przed osłabieniem i rozdarciem przez siły odśrodkowe i niezdolność reprezentacji sejmowej do stworzenia silnej władzy, niezbędnej zapory przed anarchią. Święcicki zdał sobie sprawę, że jest to w tym momencie jedyna silna, bezinteresowna i uznana w masie ludności wola opanowania rozwichrzonej, posługującej się już rewolucyjną retoryką opozycji, — niezdolnej zresztą do prawdziwej rewolucji. Nie czuł w tym kroku swego Komendanta chęci przyduszenia wolnego życia w Polsce i zaprowadzenia rządów policyjnych czy totalitarnych, chociaż dostrzegał echa urazów z przeszłości.

Jako umysł polityczny, Święcicki położył na wagę wartość Józefa Piłsudskiego w owej chwili dla Polski — i tej reszty, bez niego. Diagnoza była jasna i szybka. Od roku 1931 Piłsudski zbrzydził sobie sprawy wewnętrzne, Sejm i nieporadną krzątaninę swoich własnych chwalców i krytyków. Kazał Składkowskiemu złagodzić kurs polityki wewnętrznej, złożył urząd premiera przed wyborami sejmowymi, a Arturowi Śliwińskiemu powiedział, że w Polsce nie można rządzić gwałtem, bo Polacy mają tradycję wolności. Odwrócił się do polityki zagranicznej, skąd nadciągały nad Polskę groźne chmury.

Święcicki z tej ogniowej próby bezpośredniej współpracy z dawnym swoim Komendantem wyszedł zwycięsko. Ale jego zadania prasowe były w ciągu tych trzech miesięcy od września do grudnia 1930 roku, niezmiernie trudne. Prasa była podniecona, zaczepna, natarczywa. Lecz Święcicki nie tracił równowagi pomiędzy młotem a kowadłem, ani spokoju, ani daru rozładowywania gorących głów. Z dziennikarzami był z reguły na stopie koleżeńskiej. Miał u nich szacunek, zaufanie i sympatię. (Trzykrotnie był wybierany prezesem Związku Dziennikarzy w Polsce). Nie było w nim ani krzty plag egipskich, nierzadko spotykanych w polskich (a zapewne i w niepolskich) środowiskach inteligencji intelektualnej: snobizmu, arogancji i egocentryzmu. Tłumaczył więc gromadzie oblegających go kolegów, perswadował, dawał inteligentną egzegezę pobudek i celów męża wielkiego kalibru, pisał notatki, przemówienia, wywiady, toczył niezliczone dyskusje. A przy tym wszystkim w latach 1932-33 był redakto-

rem tygodnika *Pion*. Biorąc na siebie odpowiedzialność za to pismo, mające być ideologicznym organem obozu rządzącego, faktycznie już bardzo mało czasu mógł na nie poświęcić.

◆

Po zawarciu polsko-niemieckiego traktatu o nieagresji w 1934 roku, przypadła Święcickiemu trudna i delikatna rola przewodniczenia oficjalnej wycieczce dziennikarskiej do III Rzeszy. Byłem jednym z uczestników tej wycieczki i w toku jej zbliżyliśmy się bardzo ze sobą. W scenariuszu niezmiernie wystawnego i kokietującego programu, w którym ukazywali się na scenie kolejno wszyscy prawie ówcześni dygnitarze III Rzeszy i partii hitlerowskiej, prócz samego Hitlera, Święcicki z reguły przemawiał w naszym imieniu. Czynił to z wielkim taktem, rozwagą i pewnością siebie, nigdy nie odchylając się od generalnej linii, którą należało wówczas zachować. Mój szacunek i sympatia dla niego wzrosły znacznie podczas tej wycieczki. Nie długo potem, Święcicki, który *ex officio* był prezesem zarządu PAT'a, z własnej inicjatywy opuścił swój urząd i objął w Paryżu kierownictwo oddziału PAT, nie przypuszczając zapewne ani przez chwilę, że pozostanie tam do końca życia.

Kiedy w późniejszych latach, pełniąc przez pewien czas ten sam po Święcickim urząd w Prezydium Rady Ministrów, odwiedzałem go w Paryżu, i byłem podejmowany w znanych mu małych restauracyjkach ze znakomitą kuchnią (Tadeusz znał się na kuchni), przypominaliśmy sobie tę wycieczkę jak coś w rodzaju chodzenia w cyrku po linie. Ostatni raz przed wojną spotkaliśmy się bodaj podczas wszechświatowej wystawy w Paryżu w 1937 roku. Wśród dykteryjek i anegdot, którymi Święcicki potrafił sypać jak z rękawa, zwierzyłem się mu, że uchylam się od wstąpienia do OZON'u, do czego mnie skłaniają. Poparłem to wyznanie dość ostrą krytyką koncepcji OZON'u, jak również jego protektora i wykonawców. Święcicki nie podjął tego tematu, choć słuchał i kiwał czasem potakująco głową. Po chwili spojrzał na mnie i zapytał: „Czy ty byłeś na polu Mokotowskim kiedy to czarna chmura nadciągnęła nad lawetę z trumną Komendanta?" — „Nie, byłem tego dnia w Wilnie" — odrzekłem nieco zdziwiony. Po chwili zrozumiałem sens tego pytania.

Minęło od tego spotkania lat 15, kiedy w roku 1952 spotkaliśmy się znowu w Paryżu. Wiedziałem, że Święcicki przeżył ciężki wstrząs pod wrażeniem klęski wrześniowej i nowego rozbioru Polski; że po utworzeniu nowego rządu w Paryżu, objął ogólną dyrekcję PAT lecz w kwietniu 1940, pod wpływem dalszych niepowodzeń aliantów i nieustających rozgrywek w kołach

rządowych i wojskowych polskich we Francji zapadł ciężko na zdrowiu i przez kilkanaście miesięcy przebywał w paryskim szpitalu. Kiedy wyszedł stamtąd, Paryż był już od roku pod okupacją niemiecką a rodzina w strefie nieokupowanej w Grenoble. Konsjerżka domu, w którym mieszkał od 1935 roku, uratowała mu mieszkanie, ale musiał je wynająć, aby móc opłacić zaległe komorne i podatki, bo do najbardziej rozpowszechnionego wówczas zawodu — spekulacji i szmuglu — nie posiadał ani zdolności ani inklinacji. W jesieni 1942 wstąpił do polskiej „Résistance" we Francji, w której działał przez cały rok. Aresztowany 17. IX. 1943 przebył kolejno w więzieniu paryskim Fresnes, od marca 1944 w Oświęcimiu i w Buchenwaldzie. Dzięki wojskom amerykańskim, 11. IV. 1945 odzyskuje wolność. Wyniszczony, bezzębny po szkorbucie, szuka podstaw egzystencji. Znajduje je po pewnym czasie w Radio francuskim, gdzie go znają z niedawnej przeszłości. Pracuje w sekcji polskiej, gdzie później awansuje na zastępcę kierownika tej sekcji i pozostaje na tym stanowisku aż do przejścia na emeryturę na początku lat sześćdziesiątych.

Dla czynnej i samodzielnej natury Święcickiego praca w Radio francuskim, „neutralnym" w sprawach polskich, była monotonna i nużąca, toteż odzyskał swój dawny temperament już jako emeryt, gromadząc książki i pamiątki z przeszłości (był od dawna zawziętym bibliofilem), utrzymując rozległe stosunki z Polonią paryską, starą i nową, uczestnicząc we wszystkich odmianach polskiego życia społeczno-kulturalnego w Paryżu, w szczególności patronując Bibliotece Polskiej na Quai d'Orleans i Księgarni Polskiej na bulwarze St. Germain, zasilając Bibliotekę Polską w Londynie, współpracując z pismami polskimi na emigracji, zwłaszcza z *Kulturą*. W roku 1968 Święcicki wydał w Oficynie Poetów i Malarzy w Londynie z rękopisu znalezionego w papierach autora, Walentego Wilkoszewskiego, który był jego pradziadem, cenną historyczną książkę pt. „Rys historyczno-chronologiczny Towarzystwa Wolnego Mularstwa w Polsce", a w ostatnim roku życia przygotował do druku w Nrze 23 *Zeszytów Historycznych* część pamiętników Bogusława Miedzińskiego, wybitnego polityka i publicysty Obozu Piłsudskiego. Opracowanie całości tych pamiętników przerwała mu choroba i śmierć.

Pierwsze spotkanie nasze po wojnie, kiedy Święcicki pracował jeszcze w Radio francuskim było krótkie i puste. Dopiero po paru latach nawiązały się znowu nasze stosunki, by się jeszcze bardziej zacieśnić i nie przerwać aż do lutego 1973, kiedy miałem od niego list ostatni.

Wczesny wiek męski przypadł nam obu na przełomowe lata nadziei, gdy życie polskie zaczęło się kształtować wśród rozterek i wstrząsów, ale bujnie i samodzielnie. Trwało to krótko, bo za-

ledwie jedną czwartą naszego życia, ale pozostało jego czasem centralnym, jak gdyby kwiatem, ściągającym ku sobie myśl i uczucia. A że czas ten minął szybko i dość niespodziewanie, stał się w późniejszym wieku klęski, na uchodźtwie, tematem, do którego myśl ciągle nawracała, poszukując przyczyn, analizując wydarzenia, ludzi „na szczycie", ich działania, pobudki, zasługi i błędy. Wypadki bieżące w zniewolonej znów Polsce, wspomnienia, polemiki i zażarte spory, toczące się w Kraju i na emigracji, nieustannie rozpalały chęć dotarcia do głębszych przyczyn przeżytej klęski, do rozpoznania przyszłości, która ją powetuje. Na tle tych zainteresowań, grzebania się w książkach i dokumentach, nasze stosunki z Tadeuszem Święcickim zacieśniły się znacznie, z międzywojennego koleżeństwa przemieniły się w przyjaźń.

W latach swej działalności w Polsce, szczególnie w początkowym jej okresie, od ławy uniwersyteckiej i Legionów poczynając, poznał Święcicki ogromną ilość ludzi, stanowiących ekipę kierowniczą obozu niepodległościowego, sztab cywilny i wojskowy Józefa Piłsudskiego, — i z wieloma z nich był w bliskiej przyjaźni. Był więc sam nieprzebranym źródłem wiedzy o tym co się w tych decydujących momentach, na „szczytach" władzy i za ich kulisami działo. Był też kopalnią anegdotycznych szczegółów, pozostałych — mam nadzieję — w jego notatkach. Na początku roku 1972 Tadeusz Święcicki, który zawsze dużo palił i od dawna mocno kasłał, zapadł poważnie na płuca. Początkowo zdawało się, że nie ma powodu do alarmu. Ale kuracja nie skutkowała i chory zaczął opadać na siłach fizycznych, choć psychicznie trzymał się nieugięcie. We środę 11 kwietnia zgasło to tlejące już tylko życie. Pozostawił syna Wojciecha z ciężko chorą synową, córkę zamężną w Australii i siostrę Jadwigę w Londynie.

◆

Tadeusz Święcicki był pięknym, niepowszednim typem swego pokolenia, którego elita w schyłkowych latach tzw. pracy organicznej przeciwstawiła się jej, jako godzącej się z podległością polityczną. Ludzie ci dostrzegli w Józefie Piłsudskim mózg i wolę wodza, który niepodległość Rzeczpospolitej postawił jako cel główny, a wojnę pomiędzy rozbiorcami uznał za wyjątkową *niepowtarzalną* okazję jego realizacji. Uwierzyli w niego, jako w siłę kierowniczą, której należy się poddać. Był to kolejny zryw tradycji walk powstańczych, tak czy inaczej objawiający się w każdym pokoleniu. Ale tym razem pojawił się czynnik, którego nie było w walkach wyzwoleńczych od czasów Kościuszki. Oto był już bezsporny wódz wojskowy i polityczny w jednej osobie. I po raz

pierwszy od rozbiorów nabrzmiewało starcie wojenne pomiędzy rozbiorcami. I jeszcze jedno. Piłsudski wywierał na swoich żołnierzy — i w ogóle na tych, którzy w niego uwierzyli — wpływ charyzmatyczny (że użyję tego neologizmu, który już wszedł do słownictwa politycznego). Tego przymiotu nie posiadał ani Kościuszko, ani Prądzyński ani Traugutt.

Tadeusz Święcicki był w pierwszym szeregu tego pokolenia, — jako inteligencja, jako charakter, jako przykład bezinteresownej wierności, lecz nie bezkrytycznej adoracji. Rozumiał — jak sądzę — że w każdym człowieku grają wszystkie cechy ludzkiej natury, dobre i złe, chociaż w różnej skali, — i że wielkość człowieka zwiększa odpowiednio ekspresję tych jego cech. Był też pierwszym bodaj piłsudczykiem, który odbiegł od chóru apologetów, oceniając obiektywnie, z perspektywy historycznej, polityczny rezultat heroicznego okresu Józefa Piłsudskiego — jego próby zabezpieczenia *naprawdę* niepodległego bytu Rzeczpospolitej i przyczyn nieudania się tej próby. W końcu października 1964 roku, na wieczorze urządzonym w Paryżu dla upamiętnienia pięćdziesięciolecia Czynu Zbrojnego 1914 roku, Święcicki, jako przewodniczący Komitetu Obchodu, wygłosił słowo wstępne, w którym zwrócił uwagę, że obraz Józefa Piłsudskiego, widziany przez większość ludzi, w apoteozie zwycięskiego wodza, który osiągnął *wszystkie* swe cele, jest obrazem błędnym. Piłsudski — mówił dalej Święcicki — był postacią tragiczną, jak Stefan Batory. Jego celem była Rzeczpospolita Jagiellońska — federacja narodów przez Moskwę ujarzmionych, zdolna do oparcia się zaborczemu naporowi Rosji. Ten jego wielki plan załamał się, bo narody, które ten plan obejmował, nie zrozumiały go, nie były do niego dojrzałe.

„Z punktu widzenia wielkiego planu Piłsudskiego — pisze pół wieku później historyk tego okresu Piotr Wandycz — pokój ryski był nie kompromisem, lecz katastrofą" (*Soviet Polish Relations 1917-21*, Harvard University Press, 1969, str. 285).

Po zwycięskich walkach, po militarnym zwycięstwie i utwierdzeniu się Państwa — zdawało się, na zawsze — nastało pokojowe normalne życie z jego troskami, zabiegami i ambicyjkami. Przyszły lata pewnego *embourgeoisement* braci legionowej: stanowiska, synekury, awanse, ordery, emerytury. Doczepiła się do obozu ciżba oportunistów i wyjadaczy, ciągnących zazwyczaj za tymi, którzy są u władzy. Objawy ulegania pokusom, rodzącym się ze sprawowania władzy bez należytej kontroli, mnożyły się. Marszałek Piłsudski już od załamania się jego wielkiego planu nosił w sobie głęboki uraz. Gdy wrócił do władzy po przewrocie majowym, był innym człowiekiem, niż w okresie heroicznym. Osłabł jego uchwyt nad rozpęczniałym obozem. Wylewał swą

pasję na opozycji za kampanię przeciwko niemu w toku decydującej rozprawy z Rosją, za pokój ryski, za przeciwstawianie się wszystkim jego projektom reformy państwa. W postępowaniu z ludźmi zaszła u Marszałka wielka zmiana. Stał się niedostępny, gniewny, wybuchowy.

Święcicki przebył tę ogniową próbę wiernej służby, nie tracąc z oczu rzeczy głównej, ani niezależności sądu, lecz nie ulegając również chwilowym rozterkom. Przyszła nieznana ogółowi choroba Marszałka i jego zgon. „W owych dniach — notuje Święcicki — żyliśmy wszyscy w rozpaczliwym napięciu" *(Zeszyty Historyczne,* Nr 23 z 1973 r., str. 141-142, ods. 1).

Po śmierci Marszałka, Święcicki nie widział dla siebie miejsca w nowym chwiejnym układzie stosunków na górze państwa. Ambicyj osobistych, ministerialnych, czy poselskich, nie miał. Dostrzegł początki rozłupywania się swego obozu, nie trzymanego na wodzy przez żadną już dominującą wolę i autorytet. Wolał wyłączyć się z kleconego mozolnie nowego obozu politycznego, znanego później pod mianem OZONU'u. Nęciła go placówka PAT'a w Paryżu, gdzie mógł na uboczu współdziałać z polityką zagraniczną Becka, w której dopatrywał się najwięcej elementów politycznych koncepcji zmarłego Komendanta. Wyjechał więc do Paryża na skromne stanowisko dyrektora oddziału PAT'a. Będąc z dala od stolicy, nie był na tyle pesymistą, aby móc przewidzieć klęskę, która na Polskę spadła. Przeżył ją bardzo ciężko, przemyślał czas miniony w niemieckim obozie koncentracyjnym i po latach powrócił do swego czynnego życia w Paryżu.

W rejestrze zasłużonych w walce o restytucję Rzeczpospolitej w XX wieku Tadeusz Święcicki — żołnierz, peowiak, dziennikarz, polityk, miłośnik literatury i sztuki, bibliofil i zbieracz, członek polskiej Résistance we Francji, więzień kacetów hitlerowskich — znajdzie swe poczesne miejsce. A wśród tych co go dobrze poznali, cenili i kochali, pamięć o nim nie zgaśnie — aż z życiem.

Kazimierz OKULICZ

Terenowe badania socjologiczne

Gdy czasami w Kraju lub polskiej prasie zagranicznej ukazuje się wzmianka o moich badaniach socjologicznych brzmi to zwykle mniej więcej w ten sposób: „Uniwersytet taki a taki

wysłał ją na badania do...". Ostatnio *wysyłano* mnie prawie co roku do Meksyku i w momencie gdy piszę te słowa jestem tu znowu i tym razem właśnie zaczynam badania nad intelektualistami indiańskimi. Do tego tematu wrócę później. Najpierw chciałabym wyjaśnić jak to jest naprawdę z tym *wysyłaniem*...

Otóż tylko raz w życiu pozwoliłam się *wysłać* a było to trzy lata temu i *wysyłał* mnie nie żaden uniwersytet, ale za pozwoleniem mego uniwersytetu, który dał mi na rok urlop bezpłatny, *wysyłało* mnie Unesco. Trasa tej *wysyłki* była dość kręta: poprzez Waszyngton i Paryż do Chile, gdzie potem przez rok badałam pracę chilijskich kobiet w fabrykach i przygotowanie techniczne do tej pracy. Były to fascynujące badania, ale niezwykle trudne i to nie ze względu na trudny egzotyzm tego dalekiego kraju, który okazał się bardzo gościnny i bardzo nieegzotyczny. Trudności były konsekwencją tego, że ten jedyny raz w życiu pozwoliłam się *wysłać* i reprezentowałam nie samą siebie, lecz wielką zbiurokratyzowaną do absurdu organizację. Mętne przepisy tej organizacji oraz głupota i karierowiczowstwo jej lokalnych ważniaków krępowały na każdym kroku wolność moich badań.

Pojęcie *wysyłania* na badania socjologiczne zakłada istnienie jakiejś organizacji, zapewne Instytutu Socjologicznego, który taką *wysyłkę* aranżuje i finansuje. Pojęcie to sugeruje również pewnego rodzaju bierność *wysyłanych*, ich niepraktyczność... to, że wszystko to co związane z wysyłką jest dla nich załatwiane przez opiekuńczą i praktyczną organizację, podczas gdy oni sami zaczynają rozwijać swoją działalność ściśle naukową dopiero po „nadejściu" na miejsce badań...

W rzeczywistości wygląda to zupełnie inaczej. Przede wszystkiem większość uniwersytetów amerykańskich nie ma socjologicznych czy innych instytutów naukowych a te które je mają[1] prócz spraw buchalteryjnych związanych z wyprawą danego badacza, żadnych innych praktycznych spraw nie załatwiają. Badacz musi zwykle nie tylko sam się „opakować" ale także sam zdobyć pieniądze na swoje „opakowanie", „przesyłkę" no i utrzymanie lub przetrzymanie na miejscu badań.

Istnieją tysiące, przeważnie prywatnych, fundacji finansujących najróżniejsze badania naukowe lub pseudonaukowe. W wielkich księgach, które posiada każdy większy uniwersytet czy biblioteka można sobie poczytać o tych najróżniejszych fundacjach, o tym jakiego rodzaju badania są skłonne finansować, jakie fundusze mają do dyspozycji, od kogo i dlaczego. Często w takiej kilkuwierszowej notatce pisze się również o ideałach fundatora i o tym kogo jest skłonny obdarować a kogo nie i dlaczego: czasem tylko mężczyznę do lat 30-tu a czasami tylko sierotę płci żeńskiej; czasami tylko Węgra, innym razem jedynie obywatela

1. A są to zwykle długo- lub krótkowieczne efemerydy, w których pracownicy naukowi muszą indywidualnie zdobywać fundusze nie tylko na swoje badania ale również na podtrzymywanie życia danego „instytutu" czy „projektu".

amerykańskiego serbskiego pochodzenia. Te kilkuwierszowe informacje są zwykle tak niejasno sformułowane[2], że nie można się w nich zorientować bez pomocy „interpretatora", który „wie jak to wszystko naprawdę wygląda" i kto ma szanse uzyskać fundusze i na co. Taki „interpretator" siedzi zwykle w jednym z gabinetów administracji uniwersyteckiej i do niego ma prawo zwrócić się kandydat szukający funduszów na swe badania. Kandydaci muszą należeć na ogół do ciała profesorskiego danego uniwersytetu; fundusze na prace studenckie zdobywa się innymi drogami, czasami jednak pracownik naukowy ma prawo zatrudnić studentów, „wpisując ich do swego budżetu badawczego".

Gdy taki kandydat zdecydował się sam lub przy pomocy „interpretatora" do jakiej fundacji złożyć podanie, pisze wówczas krótki list i wkrótce dostaje długi kwestionariusz, który wypełnia sam lub przy pewnej, zwykle znikomej, pomocy biura od badań naukowych swego uniwersytetu. Pisanie takiego podania wmontowanego w żelazny kościec kwestionariusza zajmuje zwykle co najmniej tydzień a często kilka tygodni. Na dwóch lub trzech stronach trzeba sformułować temat swoich badań, uzasadnić ich wartość naukową, pokazać powiązania z istniejącą literaturą specjalistyczną, opisać ewentualne miejsce badań, pomoce naukowe, czasem pomocniczy personel, no i jak najdokładniej techniki badań, które się ma zamiar stosować. A wszystko to musi być wciśnięte w odpowiednie przedziałki i krateczki: 3 linijki na tematykę, 12 na techniki badań, 5 na ewentualne miejsce badań itd... z tym, że o ile się to wciskanie nie uda *sama fundacja* przesyła często dodatkowe kartki papieru z przyczepionymi do nich kalkami, na których należy dopisać ten nie mieszczący się w przedziałkach i krateczkach dalszy ciąg. Elaborat tego rodzaju poprzedzony jest długim *curriculum vitae* kandydata również wciśniętym w przedziałki i krateczki, a zakończony kilkustronnicowym budżetem badań oraz dokładnym planem podróży: jakim środkiem lokomocji, którego dnia i o której godzinie ma się zamiar wyjechać i w jaki sposób i kiedy wrócić. Tak spreparowany dokument z kilkoma listami polecającymi specjalistów od danej dziedziny badań wysyłany jest do odpowiedniej fundacji (zwykle blisko rok przed rozpoczęciem badań) z oficjalnym „błogosławieństwem" uniwersytetu, w którym się pracuje. „Błogosławieństwo" to jest niezupełnie bezinteresowne, administracja uniwersytecka bowiem dostaje zwykle od 25-ciu do 30-tu procent „od główki" za koszta związane z administracją projektu danego badacza. Wiele spośród najlepszych prywatnych uniwersytetów amerykańskich utrzymuje się częściowo z tych procentów od badań naukowych i umiejętność zdobywania funduszów uważana jest za jedną z bardzo ważnych kwalifikacji naukowca. Uniwersytety starają się zdobyć przede wszystkim takich profesorów, któ-

2. Wielu profesorów amerykańskich bardzo obawia się wskutek tej niejasności przypadkowego „wdepnięcia" w pieniądze CIA. Nieliczni tylko uważają, że nawet i takie pieniądze można przyjąć o ile CIA niczego w zamian za to nie wymaga.

rzy mają do zaofiarowania dobry „posag" fundacyjny. Stracenie profesora z „posagiem" uważa się za wielką stratę. Pretendentów do ręki naukowca „z posagiem" jest zwykle wielu: biją się o niego co ważniejsze uniwersytety!

Potem zaczyna się czekanie na odpowiedź fundacji, które trwa zwykle około pół roku. Osobiście nigdy nie składałam podań do kilku fundacji jednocześnie bo mam wstręt do wypełniania kwestionariuszy i do praktycznie zorientowanych wariacji na jeden i ten sam temat... Bo każde z podań musi być napisane inaczej: wciśnięte w inne krateczki i często teoretycznie odpowiednio „doadaptowane" czyli po prostu naciągnięte, rzecz bardzo niebezpieczna dla duszy, sumienia i samopoczucia... Znam jednak takich, którzy stale czekają na odpowiedzi od kilku fundacji jednocześnie i wielu z nich nigdy żadnych funduszów nie dostało. Takie polowania, bardzo samotne, są codziennym *modus vivendi* amerykańskich profesorów, bez zdobycia bowiem funduszów bardzo trudno uprawiać pracę naukową, choćby dlatego, że zwykle nie ma na to w ogóle czasu w codziennym młynie obowiązków administracyjnych i dydaktycznych.

Nazwiska profesorów, którzy zdobyli fundusze ogłaszane są potem w prasie uniwersyteckiej, a często rozreklamowane także znacznie szerzej, a jednostki uniwersyteckie do których należą oceniane są na podstawie ilości takich udanych polowań. Ukonkretnia to bardzo rywalizację między tymi jednostkami. Amerykanie lubią oceniać się „konkretnie" czyli w przeliczeniu na pieniądze. Statystyki szczęśliwych łowców zapełniają uniwersyteckie archiwa. Moment zdobycia pieniędzy na pracę naukową jest momentem kulminacyjnym. To co z tej pracy potem wynika jest już znacznie mniej ważne.

Po zdobyciu funduszów zaczynają się inne zabiegi biurokratyczne: podanie do uniwersytetu o bezpłatny urlop, próby podnajęcia mieszkania (fundusze bowiem zwykle nie wystarczają na opłacenie mieszkania podczas nieobecności danego pracownika naukowego), najróżniejsze czasochłonne zabiegi związane z podjęciem otrzymanych pieniędzy...

Gdy przez to wszystko się jednak przebrnie, wówczas zaczyna się prawdziwa wolność, wolność bez cudzysłowów, amerykańskie fundacje pozwalają bowiem szczęśliwemu myśliwemu na zupełną swobodę w dżungli i nie wymagają żadnych łupów! Wolno mu zmienić nie tylko teren ale czasem i temat badań o ile to uzna za konieczne i odpowiednio usprawiedliwi. Prócz jednego lub dwóch kilkuwierszowych raportów z terenu badań nie wymaga się od niego nic. To czy opublikuje czy nie swoją pracę i gdzie ją opublikuje jest jego osobistą sprawą i jedynym obowiązkiem jest napisanie w odnośniku do publikacji, że praca ta była finansowana przez taką a taką fundację.

Badania moje finansowane były przez Fundację Stanowego Uniwersytetu Nowojorskiego, przez Fundację Kelloga (tego od chrupliwych *cereals*, które się jada z mlekiem na śniadanie) i

przez Instytut Zdrowia Psychicznego amerykańskiego Ministerstwa Oświaty, przy czym tematy moje nie musiały być w najmniejszym stopniu związane ani z dietą śniadaniową, ani ze zdrowiem psychicznym. Aby zrozumieć dlaczego amerykańskie fundacje dają pieniądze na takie czy inne badania trzeba by napisać długą pracę z pogranicza socjologii, psychologii i ekonomii. Praca ta stałaby się ważnym przyczynkiem do folkloru amerykańskiego kapitalizmu.

Po zbiurokratyzowanym życiu amerykańskich uniwersytetów, po nękającym rozproszeniu dydaktycznym i urzędniczej praktyczności zabijającej myślenie, wolność badań terenowych jest naprawdę oszałamiająca i można ją chyba porównać do wolności życia kolonialnego z wieloma jej atrakcjami i niebezpieczeństwami, niezależnie od tego czy badania odbywają się w Stanach Zjednoczonych czy za granicą. Nareszcie człowiek jest sam i sam bez komitetów i głosowania, tak zatruwających życie amerykańskich uniwersytetów[3], wgryzać się może w życie, sam wyciągać wnioski z tego smakowitego wgryzania, być tylko samym sobą wśród ludzi których bada! Wolności tego rodzaju nie wytrzymuje zresztą większość profesorów amerykańskich. Zwykle wolą oni badania grupowe i w najpiękniejszym nawet terenie rekonstruują jak mogą zbiurokratyzowany akademicki *modus vivendi:* magnetofony, seminaria, sekretarki, komitety...

W tym roku moje podanie do fundacji zatrzymane zostało przez uniwersytecki *Committee on Human Subjects* (Komitet od Badań Obiektów Ludzkich), którego celem jest obrona badanych „ludzkich obiektów" przed ewentualną niedyskrecją badaczy. Kilka lat temu policja meksykańska zidentyfikowała rzekomo jednego z ludzi opisanych przez znanego antropologa amerykańskiego. Stąd przypuszczalnie specjalna wrażliwość na badania przeprowadzane tutaj a specjalnie na badania intelektualistów, na pewno bardziej gadatliwych i politycznie eksponowanych niż nieintelektualiści. Musiałam więc wytłumaczyć na piśmie temu Komitetowi w jaki sposób mam zamiar chronić moich intelektualistów indiańskich przed niebezpiecznym zidentyfikowaniem i dopiero wówczas „przepuszczono" moje podanie i mogło ono wyfrunąć dalej poza ściany mego uniwersytetu.

Jak każda wolność wśród ludzi (a taki jest właśnie sens słowa „wolność"), tego rodzaju nieograniczona wolność badań wymaga wzmożonego poczucia odpowiedzialności i jest ona bardzo niebezpieczna nie tylko politycznie i nie tylko dla „badanych obiektów" ale również moralnie i psychologicznie dla samego badacza. Fascynacje i niebezpieczeństwa takiej pracy podobne są pewno do fascynacji i niebezpieczeństw spowiedników. Im mniejsza polityczna wolność kraju, tym większa odpowiedzialność spowiednika i tym większe niebezpieczeństwo na które się naraża,

3. Komitety i głosowanie są rezultatem daleko posuniętego samorządu uniwersyteckiego, samorząd ten jednakże mimo niezwykle rozrośniętej maszyny biurokratycznej, jest często mało efektywny.

podczas gdy niebezpieczeństwa moralne i psychologiczne niezależne są często od koniunktury politycznej.

Kim jest socjolog uprawiający pracę terenową? Biorą go czasem za szpiega, starającego się wykryć tajemnice polityczne czy przemysłowe, lub nawet za sprytnego złodziejaszka próbującego coś tam ukraść: czasem go biorą za półwariata, który ma za dużo czasu i pieniędzy i wymyślił sobie takie oto gry towarzyskie, nieszkodliwe i nawet zabawne ale nikomu niepotrzebne; czasem biorą go za urzędnika zbierającego materiały (może niebezpieczne?) dla swego urzędu; czasem za polityka, czasem za misjonarza a w najlepszym wypadku za pracownika społecznego, takiego od ulepszania szkolnictwa czy higieny społecznej. I na ogół bardzo trudno jest wytłumaczyć kim się naprawdę jest... Tym razem nie powinnam mieć pod tym względem większych trudności: intelektualiści indiańscy wiedzą dobrze o pracy socjologów i antropologów meksykańskich i na ogół chyba tę pracę szanują. Są jednak inne pułapki, te niepolityczne, mniej konkretne... Nie można chyba robić dobrej pracy socjologicznej bez pewnej identyfikacji ze społeczeństwem które się bada. Ta identyfikacja nasuwa wiele analogii a analogie, jak wiemy, gdy brane zbyt serio są jednymi z najgorszych pułapek naukowych i moralnych. Naukowych — bo analogie sugerują jedynie istnienie pewnych podobieństw i przy bliższym zbadaniu danego zjawiska okazać się może że różnice są istotniejsze niż te podobieństwa zasugerowane. Moralnych — bo jedną z najbardziej demoralizujących rzeczy jest fałszywa, sentymentalna identyfikacja z ludźmi czy społeczeństwami w których jak w krzywych lustrach odbijają się nasze zdeformowane uczuciowe potrzeby, nasze półświadome niepokoje, nasze marzenia bez podstaw...

Kim jest socjolog zadający nieznanym ludziom takie pytania, których by nigdy nie zadał swoim najbliższym? Czy jest, czy umie być przyjacielem ludzi których bada? Czy można w ogóle być przyjacielem dziesiątków ludzi z którymi wprawdzie rozmawiało się tak właśnie jak się powinno rozmawiać z najbliższymi przyjaciółmi, ale jednocześnie inaczej, bo za mało było w tych rozmowach wymiany, zbyt mało osobistego ryzyka...? Tym razem, o ile zdobędę ich zaufanie, o ile ci intelektualiści indiańscy będą rozmawiać ze mną tak szczerze, jak rozmawiali prości Indianie, poczucie nieodwzajemienia będzie pewno jeszcze silniejsze niż poprzednio... Bo prostym Indianom, których badałam, mogłam przynajmniej od czasu do czasu przywieźć z miasta aspirynę czy książki, mogłam spisać dla nich historię ich wsi, mogłam się w jakiś minimalny sposób przydać. Tym razem jednak każda pomoc, każde zbyt wielkie zaangażowanie w ich problematykę byłoby wtrącaniem się, i to zapewne szkodliwym dla nich wtrącaniem, do polityki meksykańskiej. A problematyka ta jest dla mnie czymś dużo bardziej osobistym niż problematyka prostych Indian po prostu dlatego, że i oni i ja myślimy nie tylko terminami lokalnych autonomii etnicznych, ale terminami większych ludzkich społeczności. I dlatego również, że na pewno chcemy

dla tych społeczności bardzo zasadniczych zmian... i pewno podobnie męczymy się nad sformułowaniem naszych ideologii tak, aby były one nie tylko zrozumiałe ale i realistyczne...

Nie wszystkie grupy indiańskie miały w przed-hiszpańskich czasach cywilizację: pismo, literaturę, architekturę, miasta... Większość miała jedynie lokalną kulturę etniczną. Tutaj, w stolicy, w dawnym Tenochtitlanie a jeszcze wcześniej w bliskim Texcoco istniały, wedle słów hiszpańskich kronikarzy Podboju, „prawdziwe indiańskie Ateny": szkoły powszechne obowiązkowe dla wszystkich, uniwersytet na którym uczono historii, teologii, muzyki... Odbywały się tutaj poetyckie turnieje, koncerty, sympozjony, debaty. Istniało nawet coś w rodzaju luksusowego Domu Mędrców i Artystów, w którym mieszkało około 300-tu intelektualistów mówiących językiem *nahuatl*, Azteków przemieszanych z wcześniejszymi i bardziej cywilizowanymi Toltekami. Podczas bohaterskiej obrony Tenochtitlanu w 1521 roku (w oblężeniu, które trwało około 3 miesięcy) zginęło blisko 240 tysięcy mieszkańców[4] (a miasto miało wówczas około 300.000) i w tym prawie cała arystokracja aztecka, wojownicy-poeci, wojownicy-teologowie i historycy. Ci którzy przeżyli, nauczyli się najpierw sami, a potem przy pomocy hiszpańskich mnichów, alfabetu arabskiego i zabrali się natychmiast do pisania kronik. W kronikach tych rekonstruowali z wielkim pośpiechem swoją historię z której byli dumni i opisywali z zadziwiającą dokładnością swoją klęskę. W relacjach tych pisanych prozą i wierszem jest wiele dumy i zdziwienia nad kolejami losu, nie ma chyba jednak ani cienia nadziei i gdy się je czyta ma się wrażenie słuchania przedziwnych, bo naukowo-poetyckich, lamentów żałobnych.

„...Miasto pokryte było trupami po których pełzały gąsienice... zapach rozkładających się ciał i dymy... a tam, spójrzcie, na ziemi obok kapitana (Hernana Cortesa) siedzi w kajdanach moja siostrzenica... książęca córka siedzi w kajdanach... — pisze jeden z poetów azteckich — spójrzcie, oto moja mała siostrzenica w żelaznych łańcuchach...".

Czasami, jak wiemy, nawet po największej klęsce zjawia się bunt i opór, po klęsce Tenochtitlanu nie było jednak ani buntu ani oporu a jedynie ta zawzięta, czasem liryczna, czasem pedantyczna dokumentacja minionej wielkości i klęski. Dla kogo oni to robili i po co? Czy tylko dlatego, aby się wypowiedzieć? Poezja ich bowiem — ta sprzed Podboju — pełna jest tego motywu, tej konieczności i obowiązku wypowiadania się, jakiegoś ich swoistego „wyrażam się więc jestem".

W jakim momencie społeczność ludzka się rozlatuje, przestaje być sobą, traci prawo do niepodległości? I czy, gdy się raz to prawo straciło, są jeszcze szanse na odrodzenie się i w jakich warunkach to się zdarza... poprzez kogo?

Indian jest dzisiaj w Meksyku — na przeszło 50 milionów mieszkańców — co najmniej trzy miliony. Intelektualistów indiańskich (zdefiniowanych prowizorycznie jako ludzi z wyższym wykształceniem, urodzonych w indiańskich wsiach z rodziców Indian, mówiących po indiańsku i identyfikujących się z indiańskością) jest przypuszczalnie w kraju dobrych kilka tysięcy[5]. Co oni o tych sprawach myślą? Jak widzą swoją przeszłość i przyszłość? Czy tego rodzaju problematyka jest również ich problematyką?

Gdy z jednym z intelektualistów indiańskich poruszyłam ten problem tracenia prawa do niepodległości, zareagował on bardzo gwałtownie: „Proszę pani" — powiedział — „chciałem zaznaczyć, że my nie mamy żadnych, ale to żadnych, skłonności samobójczych... no ale o tym warto porozmawiać dłużej...". I odłożyliśmy tę rozmowę na później.

Alicja IWAŃSKA

Mexico, 17 maja 1973 r.

4. XIII Relación de Alva Ixtlixocitl.

5. Stowarzyszenie Intelektualistów Indiańskich miało kilka lat temu około 3 tysięcy członków.

Uzupełnienie emigracyjnych nagród literackich *

BIBLIOTEKA POLSKA w Paryżu — 1959 — nagroda S.P.K. za reprezentowanie kultury polskiej za granicą.

O. BOCHEŃSKI, I. M. — 1957 — nagroda pisarska S.P.K. za „Die Europeische Philosophie den Gegenward".

DMOCHOWSKI Zbigniew — 1953 — nagroda pisarska S.P.K. za „Dzieła architektury w Polsce".

GOŹDZIK Barbara — 1957 — III-a nagroda w konkursie *Wiadomości* na szkic literacki, za pracę „Amira".

HALECKI Oskar — 1952 — nagroda pisarska S.P.K. za „The Limits and Division of the European History".

HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw — 1951 — nagroda pisarska S.P.K. za „A World Apart".

HINTERHOFF, E. — 1960 — nagroda pisarska S.P.K. za „Disengagement".

IRANEK-OSMECKI Kazimierz — 1973 — nagroda pisarska S.P.K. za „He Who Saves One Life".

JASIŃSKI Zbigniew — 1954 — „szczególne wyróżnienie" w konkursie poetyckim *Głosu Polskiego* w Toronto, Ontario (Kanada) za poemat „Pieśń o Powstaniu"; — 1957 — II-ga nagroda w konkursie *Wiadomości* na szkic literacki, za pracę pt. „Poza konkursem"; — 1959 — I-a nagroda w konkursie literackim Koła Kulturalno-Artystycznego

* Patrz *Kultura* Nry 1/304-2/305, 3/306, 4/307, 7/310-8/311 (1973).

im. dr. S. Gruszki w Sydney za nowelę „Godzina spóźnionych" (drukowaną następnie w *Dzienniku Polskim* w Londynie); (Nadto korekta pozycji wymienionych w nr. 1/304-2/305 *Kultury;* winno być: w 1954 roku III-a nagroda Związku Pisarzy Polskich w konkursie „Głosu Wolnej Europy" za słuchowisko „Rzecz o korkach i piórkach". — W 1957 r. nie II-a, lecz jedyna w tym roku tj. doroczna nagroda fundacji Koła A.K. w Detroit, przyznana przez Związek Pisarzy Polskich za twórczość związaną z walką podziemną podczas ostatniej wojny).

JORDAN Zbigniew — 1960 — nagroda pisarska S.P.K. za „The Development of History".

KOŁO CICHOCIEMNYCH — 1952 — nagroda pisarska S.P.K. za „Drogi Cichociemnych".

KUKIEL Marian, Gen. — 1951 — nagroda pisarska S.P.K. za „Książę Adam"; nagroda ufundowana jednorazowo przez Edwarda Raczyńskiego za „Dzieje Polski porozbiorowej".

LEDNICKI Wacław — 1954 — nagroda pisarska S.P.K. za „Russia, Poland and the West".

LERSKI, J. — 1959 — nagroda pisarska S.P.K. za „A Polish Chapter of Jacksonian America".

ŁUKASIEWICZ, J. — 1955 — nagroda pisarska S.P.K. za „Aristotele's Syllogistic".

MAREK KRYSTYNA — 1956 — nagroda pisarska S.P.K. na „Ciągłość i tożsamość państw w świetle międzynarodowego prawa publicznego".

PASZKIEWICZ, H. — 1960 — nagroda pisarska S.P.K. za „The Making of the Russian Nation".

PASZKOWSKI Lech — 1961 — subwencja Polskiego Koła Kulturalno-Artystycznego im. dra S. Gruszki w Sydney, jako zachęta do dalszych prac badawczych oraz celem wydania książki pt. „Polacy w Australii i Oceanii" (druk B. Świderski, Londyn 1962).

PIETRKIEWICZ, J. — 1954 — nagroda pisarska S.P.K. za „The Knotted Cord".

SOKOŁOWSKI Jerzy — 1957 — I-a nagroda w konkursie *Wiadomości* na szkic literacki, za pracę „Pijany wolnością".

STAHL Z. — 1973 — nagroda pisarska S.P.K. za „Najazd od Wschodu".

SUSKI Jacek — W 1959 roku wyróżnienie w konkursie literackim Polskiego Koła Kulturalno-Artystycznego im. dra S. Gruszki w Sydney, za „Decyzję Kowalika".

SYROKOMLA Bronisław — 1959 — dwie nagrody tj. II-a i III-a w konkursie literackim Polskiego Koła Kult.-Artystycznego im. dra S. Gruszki w Sydney, za prace pt. „Powrotu nie ma" (II-a nagroda) oraz „Głowa boli" (III-a nagroda).

TERLECKI Tymon — 1971 — nagroda The Society of Polish Arts and Letters w Chicago.

WEINTRAUB Wiktor — 1954 — nagroda pisarska S.P.K. za „The Poetry of Mickiewicz".

WIERZYŃSKI Kazimierz — 1953 — nagroda pisarska S.P.K. za „Życie Chopina".

WITTLIN Józef — nagroda ufundowana przez p. Izę Landsberger, przyznana przez *Wiadomości* za eseje.

ZALESKI Z. L. — 1958 — nagroda pisarska S.P.K. za całokształt twórczości.

ZNANIECKI F. — 1956 — nagroda pisarska S.P.K. za „Culture and Science".

ZUBRZYCKI J. — 1955 — nagroda pisarska S.P.K. za „The Polish Immigrants in Gt. Britain".

ŻEROMSKA Olga — 1957 — IV-a nagroda w konkursie *Wiadomości* na szkic literacki za pracę „Zadość uczynienie".

ŻOŁTOWSKI A. — 1958 — nagroda pisarska S.P.K. za „Border of Europe".

W wykazie nagród Związku Pisarzy Polskich w konkursie „Głosu Wolnej Europy" na słuchowisko radiowe (nr 1/304-2/305 *Kultury*), podano błędnie rok 1955 zamiast poprawnego 1954. Dotyczy to nazwisk następujących: BOHDANOWICZOWA Zofia, CHMIELOWIEC (SAMBOR) Michał, DANILEWICZOWA Maria, JABŁOŃSKI Zygmunt, JASIŃSKI Zbigniew, KOWALEWSKI Janusz, LEWKOWICZ Karol, ROMANOWICZOWA Zofia, SZUDEK Przemysław, WANTUŁA Jan, ŻEROMSKA Olga.

Komunikat

STYPENDIA POLONIA TECHNICA, INC.

W wyniku ogłoszenia o stypendiach, umieszczonego w nr. 6/309, 1973 *Kultury* przez Polonia Technica, Inc., stowarzyszenia Polsko-Amerykańskich inżynierów w New Yorku, otrzymano 17 zgłoszeń studentów studiujących nauki techniczne na wyższych uczelniach w Australii, Ameryce i Europie.

Po rozpatrzeniu kwalifikacji i referencji odnośnie aplikantów, jak też i ich dotychczasowych wyników w studiach udzielono 10 stypendiów w łącznej sumie $ 3.000. Kwota ta obejmuje zapis kol. śp. inż Witolda Maksymowicza w wysokości $ 1.000 oraz dar kol. inż. Witolda Kolbuszowskiego z New Yorku. Stypendyści studiują na wyższych uczelniach w Argentynie, Anglii, Australii, Danii, Francji i w Zachodnich Niemczech. Z powodu ograniczonych funduszów nie było możliwe udzielenie pomocy finansowej pozostałym aplikantom.

Za zarząd „Polonia Technica, Inc."
W. J. KLIMKIEWICZ
Przewodniczący Komisji Stypendialnej.

Książki

Poeta na ustroniu

Spośród tych poetów dwudziestolecia, którzy skupili na sobie szczególną uwagę krytyków i czytelników, pierwszy bodaj Józef Wittlin doczekał się monografii w języku angielskim, przynoszącej zarówno życiorys pisarza jak i dokładne omówienie jego twórczości[1].

Dr Zoya Yurieff przystąpiła do pracy, opierając się nie tylko na fundamencie gruntownej metody naukowej ale również na tak cennej dla krytyka, a zwłaszcza dla biografa, przyjaźni łączącej ją z poetą. Dzięki temu mogła pracę swą wzbogacić wiadomościami i uwagami zasłyszanymi w licznych rozmowach z Wittlinem, dając nam autentyczne oświetlenia tam, gdzie inni krytycy musieliby pozostać w granicach hipotez.

Moją recenzję o książce dr Yurieff nazwałem „Poeta na ustroniu", wzorując się na tytule powieści Shawa „Socjalista na ustroniu". Ten tytuł przyszedł mi na myśl, gdy rozważałem miejsce Wittlina w życiu literackim jego okresu. Mam wrażenie, że zaliczanie go do wyznawców któregokolwiek ówczesnego ugrupowania byłoby błędem. Co więcej, nie widać go wśród licznych grup i grupek, które ukazywały się na polskim horyzoncie w blasku meteorycznych haseł — i gasły razem z nimi, zostawiając nikły ślad w literaturze. Wittlin — co podkreśla sumienna dr Yurieff — był bliski polskim ekspresjonistom i pisywał w ich organie, ustosunkowując się podobnie do pisarzy Skamandra. Ale związki te były raczej powierzchowne, ponieważ Wittlin zawsze zajmował stanowisko odrębne, zdobywając coraz wyraźniej swoje własne miejsce. Ten poeta, którego leitmotiv stanowi dola i niedola człowieka, stanął poza i ponad zgiełkiem sporów i walk, a nawet zbiorowych radości i uniesień wspomnianych

1. Zoya Yurieff: *Joseph Wittlin.* Twayne Publishers Inc. New York, 1973.

skupisk pisarskich. Dzięki temu miałby prawo powtórzyć za Mussetem, że nektar poezji pił powolnymi łykami z własnego kielicha.

Autorka monografii, kreśląc portret poety, wspomina o jego wielkiej skromności. Oczywiście — o ile skromność jest przeciwstawieniem pychy czy pyszałkowatości. Pycha i duma to dwa pojęcia różne, a dumy Wittlinowi nie brak, tej dumy, która wyrasta często z poczucia pewnego osamotnienia, będącego czasami źródłem siły, oraz z trafnego zrozumienia godności i wynikającej stąd odpowiedzialności pisarza.

W jakich granicach winna być utrzymana biografia artysty? Nie byłoby rozsądne ustalanie powszechnej recepty. Przybyszewski, którego życie stanowiło ponętny żer dla całej czeredy krzykaczy literackich, szydził z biografów wzorujących się na wścibstwie lokaja, który przez dziurkę od klucza zagląda do sypialni państwa. Miarę stanowić powinien chyba stopień zależności tworu artystycznego od *zewnętrznego* życia pisarza.

Twórczość Wittlina tkwi korzeniami we współczesnej mu epoce i czerpie z niej życiodajne soki. Jego pisarstwo, silnie związane z miejscami, środowiskiem i wydarzeniami, wśród których dorastał, stałoby się bliższe — zwłaszcza cudzoziemcom — przez dokładniejsze przedstawienie tych elementów. Nie o plotkarskie anegdoty nam chodzi, ale o te czynniki, które autorka, dzięki przyjaźni z poetą, mogła dobrze poznać, a które stanowią klucz do jego zasadniczej postawy, do jego filozoficznego światopoglądu. Mam tu bodaj na myśli aktywną religijność Wittlina, przenikającą nie tylko jego wiersze o wyraźnie religijnym charakterze, ale będącą źródłem tego stanowiska, które generalizująca i płytka etykieta określiła mianem pacyfizmu.

Hymny i wiersze

Dopatrywanie się wpływu „Hymnów" Kasprowicza na „Hymny" Wittlina jest słuszne przede wszystkim w granicach formalnych. Wojna, będąca tak mocnym podłożem tych poezji Wittlina, u Kasprowicza dochodzi do głosu dopiero w „Księdze ubogich". Jego hymny to sprawa między człowiekiem i Bogiem — hymny Wittlina to sprawa między ludźmi, ponieważ taką sprawą jest wojna, jej fazy, jej realia i jej następstwa. Poeta częściej niż do Boga, zwraca się w nich do człowieka, uświadamiając mu, że wojna jest odejściem od Boga. Hymny Wittlina to *miserere* ludzkości, rzuconej pod koła historii, tej ludzkości, której przedstawicielem czyni Wittlin w „Soli Ziemi" szarego człowieka.

Dr Yurieff, chcąc dać obcemu czytelnikowi pojęcie o wierszach Wittlina, streszcza niektóre z nich, idąc śladem licznych krytyków w podobnych wypadkach. Ta metoda zawodzi, bo musi zawieść. Przypomnijmy np. piękny wiersz o umierającej matce, opowiedziany „własnymi słowami". Poeta stwarza dokoła tego

wydarzenia aurę dramatu — opowiedziane prozą staje się ono niemal reporterską notatką. Chmielowski, pisząc o poetach Młodej Polski, praktykował podobną metodę — z najgorszym skutkiem.

Miłośników poezji polskiej prawdziwie uradowała wiadomość, że Instytut Literacki w Paryżu zamierza wydać w bliskiej przyszłości utwory poetyckie Wittlina. Prawie nieznane młodszemu pokoleniu, pozwolą one starszym doznać na nowo tych wzruszeń, które towarzyszyły przed laty pierwszemu spotkaniu z tymi tak godnymi pamięci poezjami.

Odyseja

Około roku 1958 do nowojorskiego studia radia Wolna Europa, gdzie przygotowywaliśmy dyskusję przy mikrofonie, wszedł mający w niej uczestniczyć Józef Wittlin. Byli tam obecni Wierzyński, Janta, Ludwik Krzyżanowski i piszący te słowa. Wittlin zamiast powitania powiedział: „Skończyłem wczoraj trzeci przekład Odyseji". I łzy miał w oczach. Łatwo było odgadnąć, jaką wagę do tej pracy przywiązywał.

Dr Yurieff przeprowadza metodyczne porównanie trzech kolejnych wittlinowskich przekładów, mniej mówiące obcemu niż polskiemu czytelnikowi. Wnikliwe oświetlenie stosunku Wittlina do podjętej pracy charakteryzuje ewolucję na drodze między trzema etapami. Kontrowersyjną hipotezę autorki, że myśl przekładu zrodziła się z dążenia tłumacza do zacieśnienia — za przykładem Homera — stosunku między człowiekiem a Bogiem, należałoby poddać dyskusji. Asocjacje i przypomnienia autorki, notowane na marginesie przekładu homerowej epopei są czasem zaskakujące. Nie pomija ona nawet tak zabawnych zestawień jak wskazanie, że „Odyseję" zabierali ze sobą na front Aleksander Macedoński i... Paul Cazin, albo porównania żołnierzy udających się w roku 1914 z Galicji na Węgry „gdzie ludzie jedzą paprykę", do towarzyszy Odysa, jedzących lotosy.

Jonathan Swift nie bez racji powiedział, że komentatorzy widzą w Homreze rzeczy, których on sam by się nie doszukał.

„Sól Ziemi" i pisma prozą

Sławę w skali światowej przyniosła Wittlinowi jego jedyna, ogłoszona w roku 1935 powieść „Sól Ziemi". Bibliografia dr. Yurieff wymienia jej przekłady na 13 języków. Pomyślana jako pierwsza część zamierzonej trylogii, opowiada ona dzieje pochodzącego z Huculszczyzny, a wcielonego w roku 1914 do armii austriackiej, Piotra Niewiadomskiego.

Dr Yurieff, opierając się na opowiadaniach Wittlina, mówi nam o dalszych częściach zamierzonej trylogii, noszących nazwę

„Zdrowa śmierć" i „Dziura w niebie". Ich zapowiedzią był fragment „Zdrowej śmierci", ogłoszony ostatnio w *Kulturze* paryskiej.

Pisząc o zbiorze esejów Wittlina „Orfeusz w piekle XX wieku", wydanym w roku 1963 przez Instytut Literacki w Paryżu, dr Yurieff z pewną słusznością nazywa ten zbiór autobiografią autora. Trzeba się też z nią zgodzić, że Wittlin jest świetnym eseistą, ale nazwanie go jednym z *pierwszych* eseistów polskich wynikło chyba z przeoczenia. Pamięć — może niedokładna — podsuwa szereg jego znakomitych poprzedników w obrębie tego gatunku literackiego: St. Witkiewicz, Sygietyński, I. Matuszewski, A. Górski, St. Lack, Miriam, Przybyszewski, Nowaczyński, A. Potocki, Ostap Ortwin, St. L. Brzozowski, Boy, Pierwszeństwo zawsze trudno ustalić. Mochnacki?

Ojczyzna

Kasprowicz wyznaje:

„Rzadko na moich wargach —
Niech dziś to warga ma wyzna —
Jawi się krwią przepojony,
Najdroższy wyraz: Ojczyzna".

Podobnie u Wittlina słychać to słowo bardzo rzadko. Z całą siłą zabrzmi ono we wierszu „Stabat Mater", ale zbyt łatwo nie wzywa poeta imienia Ojczyzny.

Wittlin — nie dziwota — mógł być boleśnie dotknięty wystąpieniami pewnych klik, uprawiających w Polsce polityczne awanturnictwo. Można jego rozgoryczenie zrozumieć, uznając również jego prawo do zajmowania opozycyjnego stanowiska wobec niektórych politycznych posunięć rządu polskiego. To stanowisko znalazło nawet ostry wyraz w poezjach Wittlina.

Jednakże dr Yurieff wyprowadza stąd zbyt daleko idące wnioski, a pewne jej porównania świadczą o niedostatecznej znajomości przedmiotu. Jedno takie zestawienie jest szczególnie, jaskrawo błędne. Czytamy mianowicie, że Wittlin po wojnie nie powrócił do Polski, ponieważ nie miałby tam jako pisarz swobody wypowiedzi, jak jej nie miał w niepodległej Polsce. To, na niczym nie oparte twierdzenie, stawia znak równania między ograniczeniem swobody pisarza w Polsce niepodległej i w Polskiej Republice Ludowej. Przypisać tę opinię należy chyba jakiemuś nieporozumieniu. Wittlin jest pisarzem dbającym o odpowiedzialność za wypowiedziane słowo. Sam nie wystąpiłby na pewno z podobnie bezpodstawnym twierdzeniem.

„Świat jest jego ojczyzną" — mówi o Wittlinie autorka książki. Wymaga to pewnego uściślenia: Świat jest ukochaniem Wittlina, ale jego ojczyzną jest Polska. Jego pisma nie dopuszczają

żadnej pod tym względem wątpliwości. A fakt, że Wittlin do Polski nie wrócił, oraz jego powojenna działalność publiczna, określają niedwuznacznie stosunek pisarza do stworzonego po wojnie w Polsce stanu rzeczy.

◆

Mimo zastrzeżeń, pracę dr Zoyi Yurieff przyjąć należy z uznaniem. Dzięki niej szerokie koła obcych — przede wszystkim anglosaskich czytelników otrzymają obraz twórczości pisarza, który — jak niewielu autorów polskich — może przemawiać do międzynarodowego audytorium z uzasadnioną nadzieją, że będzie zrozumiany.

Jan FRYLING

Ukraińcy na Dalekim Wschodzie

Wydana w języku ukraińskim w serii prac Ukraińskiego Towarzystwa Historycznego w Nowym Jorku obszerna książka Iwana Swita poświęcona jest historii stosunków między Japonią a ukraińskimi osadnikami na Dalekim Wschodzie i w Mandżurii w latach 1903-1945*. Autor, były działacz ukraiński na tych obszarach oraz dziennikarz, omawia swój temat na tle wydarzeń zarówno na Dalekim Wschodzie jak i Rosji.

Na wstępie należy wyjaśnić skąd się wzięli Ukraińcy na terenie 8 tysięcy kilometrów odległym od macierzy. W końcu ubiegłego wieku chłopi zaczęli opuszczać przeludnioną rolniczo Ukrainę i osiedlali się w zwartych skupiskach nad Amurem i w Przymorskim Kraju, nazywając te obszary Zielonym Klinem. Według obliczeń autora ich liczba sięgała 700 tysięcy w roku 1917.

Rewolucja roku 1917 obudziła słabe dotąd przejawy życia narodowego przesiedleńców. Zaczęto zwoływać zjazdy delegatów, tworzyć komitety narodowe we Władywostoku, Chabarowsku i w innych miastach, nawet w odległej Czycie. Śpiesznie nawiązywano łączność z macierzą, wysyłano ochotników do tworzącego się wojska ukraińskiego, witano mianowanego przez rząd w Kijowie konsula dla Dalekiego Wschodu. Myślano o stworzeniu dalekowschodniej enklawy państwa ukraińskiego i organizacji

* Swit, Iwan: *Ukrainśko-japonśky wzajemyny, 1903-1945*, New York, 1972, 371 stron [petitem], indeksy, facsimile dokumentów, zdjęcia, resumé w j.j. angielskim i japońskim.

40 tysięcznego korpusu wojska, prowadzono rozmowy polityczne z Japończykami, nawiązano bliskie stosunki z niektórymi przywódcami syberyjskich separatystów.

Po wycofaniu się resztek japońskich wojsk z Władywostoku w roku 1922 i zajęciu Dalekiego Wschodu przez wojska sowieckie nastąpiły masowe areszty ukraińskich działaczy i likwidacja pracy narodowej na terenie Zielonego Klina. Działalność społeczno-narodowa skupiła się odtąd w Mandżurii, głównie w Charbinie, gdzie od wielu lat istniały ośrodki życia ukraińskiego. W tym czasie ukraińska kolonia w Mandżurii liczyła około 20 tysięcy; ilość ta później nieco urosła dzięki napływowi uciekinierów z Zielonego Klina. Jednak władze chińskie pod wpływem białych Rosjan niechętnie ustosunkowały się do Ukraińców i nawet skonfiskowały Ukraiński Dom Narodowy w Charbinie — trzypiętrowy gmach z przybudówkami. Dopiero powstanie państwa Mandżutikuo pod patronatem japońskim, otworzyło, jak się zdawało, duże możliwości odnowienia działalności. Dom Narodowy w Charbinie zwrócono prawnym właścicielom, powstawały nowe organizacje, pisma; charbińska radiostacja, kontrolowana przez Japończyków, rozpoczęła nadawanie audycji ukraińskich o Petlurze, Mazepie, rocznicach ogłoszenia niepodległości, Szewczence, itp. Rozmowy z Japończykami szły w parze z rozmowami prowadzonymi przez ukraiński rząd emigracyjny (petlurowski) z dyplomatami japońskimi w Warszawie, Paryżu, Stambule.

Przybycie z Europy grupy nacjonalistów (OUN) w roku 1935 ożywiło życie polityczne Ukraińców w Charbinie. Ich pierwsza próba akcji czynnej, wyplanowana razem z Japończykami, skończyła się katastrofą. Młody nacjonalista, wyznaczony do pracy na Zielonym Klinie, wybrał się na ryzykowną wyprawę z dobranym przez siebie emigrantem z tego terenu. Po niejakim czasie ów emigrant powrócił zdrów i cały, twierdząc iż patrol sowiecki zastrzelił jego towarzysza przy przekraczaniu granicy.

Miejscowi Rosjanie usilnie zwalczali Ukraińców, nie gardząc nawet takimi metodami jak próba podpalenia Ukraińskiego Domu Narodowego. Dużą rolę w tej akcji odegrali po roku 1934 „rosyjscy faszyści" w Mandżurii z ich *führer*'em Rodzajewskim na czele. Współpracując ściśle z Japończykami starali się oni umieszczać swych ludzi w japońskich urzędach bezpieczeństwa. Z czasem wyszło na jaw, iż zastępca Rodzajewskiego, Mankowskij, od dawna był agentem sowieckim, zaś Rodzajewskij, po zajęciu Mandżurii przez Sowiety w roku 1945, dobrowolnie oddał się w ręce konsula sowieckiego w Tiencinie.

Japończycy, skłóceni na tle różnicy poglądów na politykę wobec emigrantów, i Sowietów w ogóle, w sprawach ukraińskich coraz bardziej ulegali wpływom białych Rosjan. W wyniku władze japońskie poddały społeczne życie ukraińskie pod kontrolę specjalnego Biura dla spraw emigrantów różnych narodowości, opanowane przez białych Rosjan, doprowadzając wreszcie życie

społeczne Ukraińców do zastoju. Po zajęciu Mandżurii przez wojska sowieckie w roku 1945, nowe władze okupacyjne wyaresztowały działaczy ukraińskich oraz przesiedliły większość ludności ukraińskiej w głąb Rosji.

Do ostatniej chwili Japończycy nie wierzyli w zwycięstwo czerwonych i dopiero na krótko przed zajęciem Charbina próbowali bezskutecznie stworzyć sieć tajnych jaczejek dla pracy w podziemiu w okresie, jak myśleli, krótkotrwałej okupacji sowieckiej. Werbowanym kandydatom oferowano, zamiast waluty na prowadzenie pracy, opium łatwy do zbycia na rynku chińskim. O zaskoczeniu i nieprzygotowaniu Japończyków na wypadek najazdu sowieckiego świadczy fakt, iż nawet pociąg ewakuacyjny z cesarzem Pu I i jego świtą wpadł w ręce sowieckie.

Pisząc o Polakach w Charbinie autor podkreślił przyjazne stosunki jakie istniały między ukraińskimi i polskimi pracownikami kolei Wschodnio-Chińskiej. Terenem bliższej współpracy polsko-ukraińskiej po roku 1932 był Klub Prometeusza w Charbinie skupiający niepodległościowców Ukraińców, Gruzinów, Tatarów i innych. Klub ten był filią Prometeusza w Warszawie i Polacy charbińscy brali udział w jego pracy. Nawet inauguracja Klubu odbyła się w Gospodzie Polskiej. Charbińska idylla polsko-ukraińska przeżyła silny kryzys, z którego już nie miała czasu się otrząsnąć, wywołany wiadomościami o udziale Polski w likwidacji niepodległości Ukrainy Zakarpackiej w marcu 1939.

Do usterek książki należy powtarzanie się opisów wydarzeń w różnych rozdziałach, niezbyt staranna korekta, opuszczenia w indeksie. Są to drobiazgi wobec dużej wartości pracy jako źródła dla badacza. Książka cytuje tysiące faktów i wydarzeń na ogromnej przestrzeni i w ciągu długiego czasu. Indeks obejmuje około 500 nazwisk.

◆

Lektura książki Swita budzi szereg refleksji. Japończycy zawiedli Ukraińców w ich ambicjach politycznych na Zielonym Klinie. Na pierwszy rzut oka nie powinno to dziwić, gdyż jako nieliczna grupa etniczna nie wzbudzali większego zainteresowania u Japończyków. Ale mała sprawa ukraińska na Dalekim Wschodzie była cząstką wielkiego zagadnienia. Rewolucja rosyjska ujawniła na tym obszarze ruchy niechętne bądź wrogie centralizmowi rosyjskiemu: separatystów syberyjskich, miejscowe „wojsko kozackie" i jego ambicje autonomistyczne, istniał federalistyczny plan przyjaznego Japończykom Atamana Siemionowa, na wpół demokratyczna Republika Dalekiego Wschodu (1920-1922), drobne ludy azjatyckie, i wreszcie Rosjanie antykomuniści, szukający schronienia pod okupacją japońską Przymorskiego Kraju, Zabajkalia i sąsiednich terenów.

Z tych cegiełek Japończycy nie zdołali zbudować buforowego państwa na kontynencie naprzeciw wysp japońskich. Nie wykorzystali jedynej w swoim rodzaju sytuacji, wynikającej z rozkładu imperium rosyjskiego i wartościowych elementów domagających się pomocy z zewnątrz.

Stanęły im co prawda na przeszkodzie opory Ameryki i innych mocarstw zachodnich. Potęgi te jednak sprzeciwiały się i wówczas gdy Japonia powzięła najryzykowniejszy ze wszystkich możliwych plan podboju Chin w roku 1937, pomimo ostrzeżeń swego doradcy, Karla Haushofera, który jeszcze przed rokiem 1914 pisał, że „każda rzeka wpadająca w ocean chiński, w krótkim czasie staje się słona".

Źródeł błędów i niepowodzeń Japończyków na Dalekim Wschodzie w latach 1918-1922, jak i później w Mandżurii, należy więc dopatrywać się nie tyle w trudnościach zewnętrznych, ani w małych potencjałach każdego z osobna sojusznika na rosyjskim Dalekim Wschodzie, lecz w ich braku przygotowania politycznego do podjętych zadań, w niezrozumieniu ukrytej dynamiki wolnościowych dążeń narodów, w lekceważeniu małych sojuszników.

Polityka mocarstw zachodnich nie różni się pod tym względem od japońskiej. Z lektury książki Swita, opisującej mało znane fakty, czytelnik dochodzi do wniosku, iż między najbardziej postępową potęgą wschodnią a zachodnimi mocarstwami nie ma różnic w ustosunkowaniu się do spraw małych narodów i aspirujących do wolności uciemiężonych ludów na obszarach od Berlina do Władywostoku. Wszystkie mocarstwa są wyznawcami płytkiego pragmatyzmu i krótkowzrocznej polityki. Do wszystkich daje się zastosować zjadliwe powiedzonko Oxenstierna: „Przy pomocy jak niewielkiej mądrości rządzi się światem".

Włodzimierz BĄCZKOWSKI

Dwugłos o Dankowiczu

Książka Henryka Dankowicza pt. „Nieprzezroczysta klepsydra"* — niedawno przeczytana — zrobiła na mnie wstrząsające wrażenie. Dlaczego? Przecież sprawy antysemityzmu w Polsce były mi dobrze znane i boleśnie przeżywane — żyłem wówczas, w ostatnich latach przed wojną, w latach o których pisze Dankowicz, w Warszawie, którą on opisuje, więc dlaczego tę książeczkę tak przeżyłem — że raz wziąwszy ją do ręki nie umiałem się od niej oderwać dopóki do końca jej nie przeczytałem?

*** Henryk Dankowicz, „Nieprzezroczysta klepsydra", Tel Aviv, Wydawnictwo „Nowiny-Kurier", str. 110.**

Powodem pierwszym jest *ton* tej książki, zupełny brak jakiejś transpozycji literackiej, wprost *dokument* życia. Los młodego Żyda i jego przyjaciół w Polsce ówczesnej dla których dostęp do szerokiego świata był łatwiejszy poprzez współwyznawców z New Yorku, Anglii czy Tel Avivu niż na miejscu w Polsce. Ich pragnienie namiętne, pragnienie tych nieustannie głodujących kandydatów na dziennikarzy, prawników, lekarzy, tych młodziutkich poetów, dzieci najbiedniejszych sklepikarzy, handlarzy z gett naszych zapadłych miasteczek, dzieci rabinów, uczniów jeszybotu, dla których otwarcie listu w dzień szabasowy było dosłownie świętokradztwem. Ci młodzi szukający dróg w społeczeństwie polskim tracili grunt zrywając z tradycją i obyczajem żydowskim i znajdowali się w pustce, bo społeczeństwo polskie w latach ostatnich przed wojną pod wpływem namiętnych agitacji endeckich i *wbrew prawom*, które w Polsce *Żydom na równi z każdym Polakiem* przysługiwały, uniemożliwiały im normalne wrastanie w Polskę, Rzeczypospolitą przecie wielonarodową i o wielkiej wielonarodowej tradycji. W całej książce Dankowicza mamy *jeden* pozytywny przykład Polaka, profesora, który, poprzez różne „finty", umożliwia mu zdanie matury, pomimo że nie stać go nawet na opłacenie czesnego. Łączy tego profesora z młodym Żydem wspólny entuzjazm dla „Pierścienia Wielkiej Damy" Norwida.

Drugim Polakiem, z którym poprzez tę książkę się stykamy, to ordynarny spryciarz wciągający go do redakcji podejrzanego pisma, którego jedynym celem jest wyłudzanie pieniędzy na ogłaszane w tym piśmie reklamy firm towarów, służących rzekomo dla dostaw dla wojska.

Wstrząsnął mną fakt, że wszystko co w owych latach wiedziałem o tej głodnej pustyni, w której wśród nas znajdowali się ci chłopcy i te dziewczęta z żydowskiego getta, było przecież abstrakcją. Nikt z mojej rodziny, nikt ze środowiska inteligencji polskiej, w której żyłem, nie był antysemitą, było wśród nich wielu Żydów-Polaków, których ten problem dotyczył bez porównania mniej dramatycznie, ale przecież przyjaźniłem się wówczas z takim Adolfem Rudnickim, który wtedy już o tych sprawach pisał!

Józef CZAPSKI

◆

Dokumentów są całe tomy. Ale kto czyta dokumenty poza specjalistami? Toteż książka ta jest więcej niż dokumentem, jest świadectwem. Bo o tym co pozostaje w pamięci — na przykład po powstaniu 1863 roku — gdy odeszli ostatni świadkowie, decydują takie utwory, jak „Echa leśne" czy „Wierna rzeka", a Warszawę lat 1880 znamy nie z dokumentów, tylko z „Lalki" Prusa. O tragedii Żydów polskich w latach 1939-1945 mamy wiele świadectw literackich. Ale nie o zwykłym codziennym życiu żydowskim w latach 1918-1939.

Ta niezwykła w swej prostocie i skromności książka daje przejmujące świadectwo o tym właśnie życiu, mimo że nie dzieje się w niej nic nadzwyczajnego, a sama fabuła jest niezmiernie nieskomplikowana: nędza małego miasteczka, borykanie się studenta w Warszawie z biedą, z obojętnością lub wrogością otoczenia i afera „majora" Raczyńskiego; młodzieńcza miłość do „N.". To właściwie wszystko. Dlaczego więc książka pozostawia takie wrażenie? Bo przecież opisane są w niej fakty „nieważne": że było getto ławkowe, że studenta Żyda nie przyjęto na WSD, że go studenci Polacy pobili pałkami — są to fakty znane i w porównaniu z tym, co się stało wkrótce potem, niby błahe. O wartości dzieła literackiego decyduje jednak sposób przedstawienia to jest znalezienie własnego stylu. Ten styl Dankowicz w „Nieprzezroczystej klepsydrze" znalazł. Bo ostatecznie owa historia spryciarza podającego się za majora i wyłudzającego za pomocą ogłoszeń w swym pisemku pieniądze od firm rządowych i żydowskich byłaby banalna, gdyby nie została opowiedziana ze szczególnym, nie narzucającym się humorem. A głębszy sens historii i humorowi nadaje świadomość, że jest już za pięć dwunasta (stąd tytuł). A także tło: student-Żyd na tle fali wzrastającego antysemityzmu i życzliwy mu hochsztapler Polak, występujący jako oficer do specjalnych poleceń, charakteryzują atmosferę ostatniego roku przed wojną lepiej niż jakiekolwiek dokumenty.

A choć nie zamierzam bynajmniej usprawiedliwiać antysemityzmu, to sam jednak w tej książce zauważyłem coś innego, istotniejszego (o czym za chwilę). Ponadto, rozumowanie że agitacja antysemicka była „wbrew prawom" zapomina — jak mi się wydaje — o najważniejszym: prawa obowiązują w tej mierze, w jakiej są wykonywane. Toteż mnie osobiście najbardziej uderzyła historia, sama w sobie raczej „filosemicka", o nowoprzybyłym staroście: na tydzień przed świętami Szewuot 1931 roku rabin, dziadek autora, udał się do starostwa, aby złożyć wizytę nowemu włodarzowi powiatu. Po tygodniu, w sam dzień święta, starosta rewizytował rabina w synagodze: fakt absolutnie nienotowany w historii stosunków między władzą państwową a ludnością żydowską i przyjęty przez tę ostatnią z osłupieniem. Tenże starosta pozwolił sobie wkrótce potem oświadczyć publicznie, że rabin wygląda jak patriarcha Abraham, a jego wnuk ma twarz młodego Chrystusa, co wywołało tak wielki skandal, że musiano go odwieźć do lecznicy psychiatrycznej i tylko dzięki protekcji samego Sławoja wyszedł cało z tej opresji i wylądował na wysokim stanowisku w Warszawie.

Wrażenie Józefa Czapskiego — któremu nie zamierzam zresztą odmawiać subiektywnej wartości — jest jeszcze z innego powodu jednostronne. Gdyby decydujący był tylko antysemityzm, to jak wytłumaczyć ten zdumiewający fakt, że autor pochodzący ze środowiska mówiącego po żydowsku (jidysz) do dziś poczuwa się do łączności z kulturą polską, pisze książki po polsku i redaguje w dalekim Izraelu pismo w języku polskim. A przecież

Dankowicz mówił w domu po żydowsku, jego pierwszą szkołą był cheder, gdzie słyszał tylko hebrajski i żydowski, a jednak został pisarzem polskim (a więc *mutatis mutandis* znalazł się w sytuacji podobnej do Josepha Conrada — z tą zasadniczą różnicą, że zmienił tylko język, nie kraj).

W rzeczywistości, czytając uważnie książkę widzimy, że życzliwych odruchów ze strony Polaków jest więcej niż tylko ów profesor z jednej strony a hochsztapler z drugiej. Jest tam również konduktor pozwalający za niezmiernie skromną łapówką podróżować bez biletu, jest dyrektor gimnazjum, działacz sanacyjny, który przyjmuje usuniętego ze szkoły Jakuba wbrew wyraźnemu zakazowi kuratorium. Szczególnie ciepłe słowa poświęca Dankowicz kilku pisarzom, z którymi się wówczas zetknął i którzy odnieśli się życzliwie do chłopca marzącego o karierze dziennikarza: Emil Zegadłowicz, redaktor czasopisma *Czarno na Białym* i przedstawiciel „lewicy sanacyjnej" płk January Grzędziński czy też ówczesny kierownik działu literackiego tego pisma Broniewski (o Grzędzińskim wspomina Dankowicz, że niezależną postawę intelektualną zachował do dzisiaj). Ale poza tymi ludźmi do Polski przyciągnęło chyba Dankowicza (i tylu innych) coś więcej: ciągle żywe tradycje kulturalne, których wyrazem w książce jest miłość do Norwida. A więc jeszcze w XX wieku kultura polska — do której zaliczam nie tylko literaturę — zachowała zdolność przyciągania, którą lubimy się szczycić w stosunku do wieku XVI-XVII. Niewątpliwie wpływ ten padł u Dankowicza na podatny grunt: podziwiać można tę niezwykłą wytrwałość i przedsiębiorczość chłopca, rzuconego na trudny bruk wielkiego miasta, jego pęd do nauki, niezniechęcanie się mimo ustawicznych trudności materialnych i moralnych, sypiania kątem, ciągłego niedojadania itp. Może warto się też zastanowić dlaczego tak było. Czy tylko dlatego, że Żydzi od tysięcy lat są narodem książki?

A ponadto — wbrew wrażeniu Józefa Czapskiego — tematem „Nieprzezroczystej klepsydry" nie jest bynajmniej antysemityzm. Stanowi on raczej tło książki, tematem której jest przede wszystkim życie — życie studenckie, życie rodzinne, nędza małego miasteczka podczas kryzysu. Dankowicz opisuje te wszystkie fakty w sposób nie narzucający się, nie sentymentalny, bez oburzenia i bez litości nad sobą samym, a za to z delikatną autoironią. Jakby pokpiwał sobie z własnych złudzeń. A jednocześnie z tak wielkim dystansem i zdolnością wczucia się w uczucia większości, że czytelnik (i autor) współczują przez chwilę urodziwej antysemitce — panience z dworku skazanej przez przypadek na dzielenie ławki uniwersyteckiej z kolegą Żydem.

Owa autoironia cechuje wiele partii książki. Spotykamy się z nią, gdy mowa o „nieuczciwych chwytach" bohatera, polegających na tym, że usiłuje nadal chodzić do szkoły, mimo że rodzice zalegają z opłatą. Spotykamy ją w uroczym opisie własnej naiwności, gdy bohater wysłał artykuł do gazety żydowskiej w Nowym Jorku i był przekonany przez wiele tygodni, że wystarczy, aby redaktor naczelny otworzył kopertę i odczytał pierwsze zdania a natychmiast uwierzy w geniusz ich autora. Najbardziej uroczą z tych scen jest jednak historia czekania na cud. Wobec coraz gorszej sytuacji gospodarczej rodzina bohatera w Sosnowcu — wierząca niezłomnie i dosłownie — czeka uparcie na cud, gdyż Bóg nie może przecież opuścić swych wiernych. I cud przychodzi rzeczywiście w postaci wygranej na loterii: tyle tylko że wygrywa nie ojciec bohatera, Lejb *syn* rabina, lecz inny Lejb, *sąsiad* rabina... (jak tłumaczy to sobie potem ojciec bohatera, była to zwyczajna pomyłka roztargnionego anioła).

Może więc tą tradycją czekania na cud tłumaczy się też uparta wierność autora wobec wybranych celów, wobec nauki i wiedzy, i wobec literatury polskiej. W każdym razie sprawia to, że lektura książki nie jest przygnębiająca, raczej odwrotnie. Czapski wspomina o głodnej pustyni: głodna — tak, pustynia stanowczo nie!

Środkiem artystycznym, dzięki któremu autorowi udaje się osiągnąć dystans w stosunku do własnej przeszłości jest łagodny humor, przedmiotem zaś humoru przede wszystkim naiwność bohatera lub jego przyjaciół. Brak natrętnych kropek nad *i* sprawia, że fakty mówią same za siebie o wiele wymowniej niż jakiekolwiek komentarze. Stąd wrażenie dystansu intelektualnego, ale też dyskrecji, skromności i bezpośredniości, która tak uderzyła Czapskiego.

Nie zatrzymywałbym się może dłużej na tym humorze, na (pozornej) prostocie tej książki, gdyby Józef Czapski nie napisał zaraz na początku tego co najważniejsze: że jest to książka wstrząsająca. Dlatego próbowałem postawić pytanie dlaczego jest taka. Nie tu miejsce na zastanawianie się jaką rolę w prozie Dankowicza (a więc w całym jego sposobie myślenia) odgrywają tradycje żydowskie, dziadka, szkoły rabinackiej-chederu, do którego uczęszczał, zanim poszedł do gimnazjum. Że się z tych tradycji wychodzi jest jasne. Czesław Miłosz napisał kiedyś, że mieszkając w Wilnie przez tyle lat nie wiedział wcale, że tuż obok żyje tak ciekawa, bogata i stara kultura żydowska. I zapoznał się z nią dopiero, gdy było za późno. Dziś, gdy Żydów polskich już nie ma, pozostał Polakom obowiązek zapoznać się przynajmniej z ich tradycją. Bo przecież z tradycji żydowskiej pochodzą ludzie — których z historii Polski wymazać nie sposób — jak Julian Klaczko, Mordechaj Anielewicz lub Szymon Askenazy. Sprawić by ich tradycje stały się częścią polskiej świadomości narodowej — to cały program, ale który też ma już swoją tradycję (Mickiewicz, Orzeszkowa, Prus, a ze współczesnych Czesław Miłosz lub Julian Stryjkowski). Musimy się w tym celu zapoznać z Talmudem i z chasydyzmem, ale też ze skromniejszymi tradycjami żydowskiej literatury ludowej. A także z codziennym życiem Żydów w latach 1918-1939. O tym życiu — a więc i o Polsce dwudziestolecia — daje świadectwo książka Dankowicza.

Andrzej VINCENZ

Późny wnuk

Fabuła krótkiej powieści Mariana Pankowskiego pt. „Granatowy Goździk"* przypomina trochę sprawozdanie z przedwojennego „Tajnego Detektywa", a trochę przedmiejską balladę: utalentowany lwowski włamywacz, Maniuś Smorodina okrada kościół w prowincjonalnym miasteczku, w czym pomaga mu jego kochanka; uciekają oboje w stronę granicy czeskiej, ale zostają schwytani za sprawą sumiennego policjanta, nazwiskiem Goździk i lądują w więzieniu, w którym dziewczyna umiera na gruźlicę. Ballada ma jeszcze ciąg dalszy: po wkroczeniu bolszewików w 1939 Maniuś zostaje jako prześladowany proletariusz uwolniony, dopada swego „wroga" Goździka i — jak można sądzić — morduje go. Piszę „można sądzić", ponieważ jest to tylko opowieść w opowieści. Historia ta wyłania się powoli z rozmów dwóch podstarzałych polskich emigrantów, którzy spotkali się przypadkiem na wakacjach w Biarritz. Jednym z nich jest karykaturalny polski inteligent, zagwożdżony wspomnieniami o Powstaniu Warszawskim, drugim zaś sam Maniuś — w ostatnim wcieleniu zramolały emeryt londyńskiej kolejki podziemnej. Obaj są durniami, obaj żyją przeszłością, obaj wegetują w limbo. Wszystkie drogi prowadzą do *merde-alors*. Można w tym miejscu spytać: o co tu chodzi?

Pisarzy podobnie jak komputery podzielić można na dwa typy: cyfrowy i analogowy. Komputery cyfrowe rozwiązują problemy w symbolice matematycznej, analogowe zaś odtwarzają je za pomocą wielkości fizycznych; podobnie pisarze „cyfrowi" *opisują* swój temat w ustalonej symbolice językowej, pisarze „analogowi" usiłują go *pokazać*, łamiąc zazwyczaj ustalone konwencje. Pankowski pisze analogowo: rzeczą, którą stara się pokazać jest obrzydzenie do świata, a konwencje, które w tym celu łamie to normy językowe oraz tzw. granice przyzwoitości. Podobnie jak inne utwory tego autora (np. powieść „Matuga idzie") „Goździk" pisany jest rozhuśtaną polszczyzną, pełną neologizmów, kolokwializmów i metafor, i zawiera scenki, które łacno mogą przyprawić o mdłości. Ponieważ wszystko pod słońcem ma dwie nazwy, zwolennicy tej twórczości mogą mówić o prozie poetyckiej i prowokacji intelektualnej, a przeciwnicy o manierze językowej i pornografii. Ocena sprowadza się więc do dylematu: czy jest to pogłębione widzenie świata czy też tzw. babranie się? Faust czy Świntuś Macabrescu?

„Granatowy Goździk" ujawnia, że dylemat ten dotyczy w istocie racji dalszego istnienia tradycji literackiej, którą Pankowski — „wiednie" lub bezwiednie — kontynuuje. Tradycją tą jest Młoda Polska. „Goździk" to „Zmory" Zegadłowicza popchnięte w czasie o 30-40 lat i napisane językiem Leśmiana (z podobną poprawką). Nawet upiornawy humorek nad-narratora powieści ma swego antenata: Kornela Makuszyńskiego. *Nota-bene* dopiero w tym kontekście uświadomiłem sobie, jak młodopolska jest rozlewna facecyjność Makuszyńskiego.

Utwory poświęcone beznadziejności i obrzydzeniu do świata klasyfikuje się zazwyczaj jako tzw. literaturę rozpaczy, co jest o tyle nonsensem, że jedynym prawdziwym wyrazem rozpaczy jest milczenie. Skoro autor pisze, o coś mu chodzi i w coś wierzy. W co wierzyły starsze pokolenia Młodej Polski? W co wierzy Marian Pankowski?

W wartość wrażenia. Skuteczność akcji utworu mierzy się tu siłą reakcji odbiorcy. Intensywność zastępuje inne hierarchie. Stąd skłonność do przesady, dziwactw językowych, obsceniczności („chwyt bebechowy"), mieszania gatunków i przepoetycznienia. Nie wszyscy to lubią. I jest w tym nielubieniu jakaś prawidłowość, bo choć tradycja „wrażeniowa" — romantyczna w ostatecznym rozrachunku — jest stara i trwała, utwory z niej poczęte mają przeważnie krótki żywot. Kto dziś czyta Przybyszewskiego — czy choćby Zegadłowicza — dla przyjemności?!

Wydaje się, że paralelę między komputerami i pisarstwem można poprowadzić dalej. Komputery analogowe wypierane są coraz bardziej przez cyfrowe — ponieważ mają węższy zakres zastosowań, są mniej uniwersalne, rozwiązują mniej interesujące problemy. Analogowość w maszynach i literaturze jest handicapem.

Nie wiem czy Pankowski zdaje sobie sprawę z rozmiarów tego handicapu, ale upór z jakim stawia na wybranego przez siebie konia budzi nieliteracką sympatię. A spotkanie wnuka Przybyszewskiego w filisterskiej Belgii budzi nieomal wzruszenie.

M. BROŃSKI

* Marian Pankowski, „Granatowy Goździk", Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1972, 111str.

Janusza Ihnatowicza "Wiersze wybrane"

Gdy się ma lat dwadzieścia i ambicje twórcze, dobrze jest się znaleźć w środowisku rówieśników o podobnych poglądach i ambicjach. Początkujący pisarz potrzebuje poparcia i rzeczowej krytyki od ludzi, do których może mieć zaufanie. Dla pisarza

polskiego o takie warunki nie trudno w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, a nawet w Bydgoszczy i w Nowym Sączu. Trudno natomiast wyobrazić sobie podobną sytuację poza granicami Polski. Lecz właśnie takie warunki zaistniały w Londynie akurat dwadzieścia lat temu, kiedy to powstała tam grupa poetycka, zwana później grupą *Kontynentów*, złożona z tuzina młodych, którzy Polskę opuścili w dzieciństwie lub w bardzo wczesnej młodości.

Choć z perspektywy Londynu i Paryża grupa przedstawiała się jednolicie, z perspektywy Polski jej oblicze rysowało się bardzo nieregularnie. Co prawda, w okresie Października, kiedy społeczeństwo emigracyjne żywo dyskutowało kwestię, czy emigrantom wypada publikować w Polsce, grupa *Kontynentów* wypowiedziała się jednogłośnie za drukiem, jednakże twórczość poszczególnych członków grupy poczęła docierać do Polski bardzo nierównomiernie. Na jednym krańcu mamy Jerzego Sitę, który zresztą do Polski dawno powrócił na stałe, i Bolesława Taborskiego, którzy ogłosili tam już po kilka tomików, a na drugim Andrzeja Buszę, Bogdana Czaykowskiego i Jana Darowskiego, którzy nie doczekali się dotąd wydań książkowych.

Do pewnego stopnia sytuacja została wyrównana w roku 1965 publikacją w Warszawie antologii grupy pod tytułem *Opisanie z pamięci*. Ale zabrakło w tej antologii wierszy Janusza Ihnatowicza, który powrócił do Polski już w r. 1958 i wobec tego, podobnie jak Sito, stracił w oczach redaktora antologii, Andrzeja Lama, prawo do uczestniczenia w książce ilustrującej twórczość poetów żyjących poza Polską. Ale podczas gdy trzeźwo myślący Sito szybko utorował sobie drogę do wydawnictw warszawskich, marzycielski Ihnatowicz odczekał 15 lat zanim w roku bieżącym „Znak" wydał mu *Wiersze wybrane*, mimo że w swym dzienniku *Brzegiem cienia*, wydanym przez tenże „Znak", Jerzy Zawieyski notował pod datą 2 lipca, 1956 roku: „Taborski przysłał wiersze Ihnatowicza, które zaniosłem od razu do Czytelnika. Poemat 'Dzień pierwszy, dzień wtóry' należy do najpiękniejszych utworów, jakie ostatnio czytałem".

Sam Ihnatowicz zaś, posyłając rękopis Zawieyskiemu przez Taborskiego pisał: „Jeśli chodzi o drukowanie w Czytelniku — rozważyłem tę sprawę i postanowiłem się zgodzić... Ostatecznie piszę dla Polaków, niech mnie więc Polacy czytają, gdziekolwiek są, i niech mnie sądzą. A że tu emigracja pyszczyć będzie, to trudno".

Był to podniecający okres burzy i naporu, ale mimo entuzjazmu Zawieyskiego, do debiutu w Czytelniku jakoś nie doszło i powodu do pyszczenia nie było. Tymczasem lata minęły, Ihnatowicz znów opuścił Polskę i debiutował ostatnio w Londynie w Oficynie Poetów tomikiem pt. *Pejzaż z postaciami*. A więc dziwnym splotem wydarzeń debiut poety w Londynie nastąpił prawie równocześnie z wydaniem w Warszawie jego wierszy wybranych, za które emigracyjna Fundacja Kościelskich przyznała mu właśnie nagrodę!

Ihnatowicz był szczególnie blisko związany z grupą londyńską w jej wczesnym okresie, publikując w jej miesięczniku liczne wiersze i komentarze prozą, przeważnie w formie listów pisanych do Taborskiego z dalekiej Kanady. Mimo tej odległości geograficznej, Ihnatowicz był naszej grupie bliski i jako poeta i jako bystry umysł, którego rozumowanie pokrywało się całkowicie z naszym.

Ja osobiście pokładam duże nadzieje w rozwój jego talentu poetyckiego, ale jak już stwierdziłem w „Oficynie Poetów" (listopad, 1972) z okazji publikacji *Pejzażu z postaciami*, nadzieje te zostały zawiedzione. Z drobnymi wyjątkami najlepsze wiersze Ihnatowicza przypadają na okres sprzed przeszło dziesięciu lat.

Wśród wielu tematów poruszanych w listach Ihnatowicza drukowanych w „Kontynentach" są liczne i wnikliwe uwagi o poezji, a szczególnie o poezji jego kolegów. Był to okres naszych debiutów książkowych, wśród nich było moje *Polowanie na jednorożca*. Ihnatowicz doradzał mi, bym się koniecznie wyrwał „z tej jednostajności tematycznej, nastrojowej i metaforycznej", i kontrastował moje eskapistyczne polowanie na mityczną bestię z łowami na arcyrealnego tygrysa. Jego konkluzja miała być dla mnie przestrogą: „Łatwizna jest w sztuce cofaniem się... Sztuka rośnie z artystą. Rośnie przez pracowite wgłębianie się w tajemnice artystycznego konkretu...".

W tej ocenie jest dużo prawdy, przytaczam ją tutaj jednak dlatego, że nieźle cechuje poezję samego Ihnatowicza, który zaleca mi polowanie na tygrysy zamiast na jednorożce, ale sam jest autorem wiersza, który co prawda nazywa się „Tygrys", ale nie głosi bynajmniej twardej doktryny, że poeta winien stawiać czoła światu. Czytamy tam:

zamknąłem się
w alabastrowej wieży
a świat jak tygrys legł
u stóp
czeka

Ale czeka daremnie: poeta przezwycięża wszelkie doczesne pokusy, tak że „świat głowę między łapy schował i znikł". Czy można wyobrazić sobie myśl bardziej egocentryczną niż ta, że świat znika z chwilą, gdy zamykamy oczy?

Wbrew temu jednak, co sądzi Ihnatowicz, nie uważam, że poeta nie powinien odsuwać się od świata i tworzyć krajobrazów wewnętrznych. Ostatecznie świat „realny" i tak istnieje bez pomocy poetów. Dlatego utrzymuję, że jego „Tygrys" jest dobrym wierszem, podobnie jak wiersz zatytułowany charakterystycznie „Krajobraz wewnętrzny", którego początek brzmi:

Patrząc we własne światło w ciemność
gdzie zawieszona trwa kryształowa ryba
zagłębiony w ciemność rozpostartą jak woda

oczy nagle zamykam i przez lśniącą powiekę
widzę obraz, kontrast nocy, światło.
Tak wzrok zatopiony w siebie
przechodzi wciąż przez granicę
tam i na powrót jak wahadło
i wiem, że patrzę w zwierciadło
w świat widzialny tylko kiedy wspak
się patrzy.

Temat ten nieco inaczej zmetaforyzowany powraca w następującym krótkim liryku:

Zagwizdałem na psa
pobiegniemy na pola
miła mi swoboda
pusta jesienna rola

Zagwizdałem
pies nie przyszedł
zawołałem
nikt nie słyszał
oj dola

Pies malowany na karcie
z powietrza pole
jakże tu umrzeć naprawdę
gdy życia nie było wcale.

Można ten utwór różnie interpretować w szczegółach, ale w ogólnym zarysie treść jest jasna: świat, który wydał się prawdziwy, okazał się martwym tworem wymalowanym na desce. Podobnie więc, jak w poprzednio cytowanych wierszach, Ihnatowicz zajmuje się tu kontrastem między rzeczywistością a wyobraźnią, z tym, że czasem świat wyobraźni wydaje mu się prawdziwszy, a czasem świat wyobraźni okazuje się ułudą.

Może właśnie w konsekwencji tej perspektywy Ihnatowicz widzi świat jakby przez mgłę, jakby przez matową szybę. W wierszach jego mowa jest nie tyle o przedmiotach i ludziach, ile o cieniach ludzi i przedmiotów. Nie jest więc przypadkiem, że jednym z jego najbardziej wymownych utworów jest „Alegoria groty", którego metaforyka jest zapożyczona ze słynnej przypowieści w *Rzeczypospolitej* Platona, wedle której nasz doczesny świat jest zaledwie cieniem rzeczywistości. Do groty w wierszu pada promień słońca, poeta jest witrażem przez które światło słońca się sączy, dlatego też grota rozlśniewa barwami poezji:

Zamieszkałem w witrażu
słońce się przeze mnie w tęczę łamie
ludziom pobożnym
wdowom wypłowiałym
co smutkowi życia świeczki palą

po kolorowej szybie
cień liścia przesuwa się tu i tam
chmury na oczach mijają
w letni dzień... zamieszkałem w witrażu
i świat na tęczę
smutnym więźniom
łamię.

Mniej więcej w tym samym czasie pisałem wiersz, który zaczyna się od słów:

Nakładając szkła
doznaję złudzenia,
że zarys stołu
staje się bardziej wyraźny

i kończy się tak:

Zdejmuję szkła
by lepiej przyjrzeć się
rozbitej butelce na piasku,
która krystalizuje promienie
w pryzmat tęczy.

W obu utworach mamy więc metaforę smugi światła, przemieniającej się w tęczę, z tą ciekawą różnicą, że eskapistyczny, estetyzujący Ihnatowicz wybrał sobie funkcję witraża, podczas, gdy dynamiczny, klarownie widzący rzeczywistość Czerniawski czerpie szczegóły swej metafory z obserwacji realiów, którymi pogardzają Platon i Ihnatowicz. Albo, być może, idealistyczna, piękna wizja Ihnatowicza jest o tyle bardziej wymowna od śmietnika rozbitych butelek, w którym upodobał sobie banalny umysł Czerniawskiego.

Adam CZERNIAWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

WYRWA (Józef). *Chłopcy z lasu.* Str. 338 i 4 nlb. ,Nakładem Zarządu Głównego A.K. i T. Wyrwy, Londyn, 1973, cena £.2.50).

LISIECKA (Alicja). *Mandaryni i gryzipiórki.* Str. 189 i 1 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Ltd., Londyn, 1973).

Państwa komunistyczne u progu lat siedemdziesiątych. Pod redakcją Adama Bromke i Teresy Rakowskiej-Harmstone. Str. 308 i 4 nlb. (Wyd. „Odnowa", Londyn, 1973).

JEŻEWSKI (Bohdan O.). *Polski Londyn — Polish Guide to London 1973/74.* Str. 120 i plan Londynu. (Wyd. The Polish Abroad, Archives and Reference Publications, Londyn, 1973).

Junacka Szkoła Kadetów 1942-1948.

Album. Str. 145 i 1 nlb. (Wyd. Koło Junackiej Szkoły Kadetów, Londyn, 1972).

CZERNIAWSKI (Adam). *Widok Delft.* Wiersze z lat 1966-1969. Str. 44. (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1973, cena zł 10). Bez wiedzy autora i już po jego korekcie, Wydawnictwo usunęło dwa wiersze: *Mały kodeks karny* (pierwodruk „Wiadomości", 11. I. 1970 i *Gombrowicz* (pierwodruk: Oficyna „Poetów", listopad 1969.

DANTYSZEK (Jan). *Pieśni.* Wybrała i przełożyła z łaciny Anna Kamieńska. Str. 152 i 4 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1973, cena zł 40).

SCHOELL (Frank L.). *W. S. Reymont i Romain Rolland.* Str. 275-283. (Nadbitka z *Prac Polonistycznych,* seria XXIX, 1973 r., Łódź).

BOJTAR (Endre). *Metamorfozy podmiotu dzieła (na przykładzie utworu Dezsö Tandoriego „Czekając na Godota: 11 Aeromobilów").* Str. 249-259. (Nadbitka z *Pamiętnika Literackiego,* LXIV, 1973, zesz. 2).

GÖMÖRI (George). *The Myth of Byron in Norwid's Life and Work.* Str. 231-242. (Nadbitka z *The Slavonic and East European Review,* Cambridge University Press, Londyn).

DZIEWANOWSKI (M. K.). *Death of the Soviet Regime: A Study in American Sovietology by a Historian.* Str. 367-379. (Fotokopia artykułu zamieszczonego w *Studies in Soviet Though,* A Quarterly Review publ. by the Institute of East European Studies at the University of Fribourg (Switzerland), The Russian Philosophical Studies Program at Boston College, and the Seminar for Political Theory and Philosophy at the University of Munich, December 1972).

DZIEWANOWSKI (M. K.). Recenzja z książki *Polish Law Throughout the Ages: 1.000 Years of Legal Thought in Poland,* Wenceslas J. Wagner, Editor, Stanford, California (Hoover Institution Press, 1970). Str. 376-379. (Fotokopia z *Harvard Law Review,* Spring 1973).

Slavica Canadiana A.D. 1970. Zebrał Jaroslav B. Rudnyćkyj. Str. 80. Slavistica No. 72 (Wyd. UVAN, Winnipeg, 1971).

Terem. Nr 4. Problemy ukrajinśkoji kultury. Str. 111 i 1 nlb. (Wyd. The Institute of Ukrainian Culture, Detroit, wrzesień 1971).

KYRIJAK (Illia). *Syny zemli.* Powist' z ukrainśkoho żyttia w Kanadi, tom II. Str. 359 i 1 nlb. („Trident Press Ltd., Winnipeg, Canada, 1973).

BYKOWSKIJ (Łew). *Z Generalnoji Gubernii do Wartegau.* Spomyny 1944-1945. Str. 109 i 1 nlb. (powielacz). (Wyd. Ukrainian Continental Institute, Denver, Colorado, 1973).

JAKIR (Piotr). *Dietstwo w tiurmie.* Pamiętniki. Str. 151 i 1 nlb. (Wyd. Macmillan, London, 1972).

STRUGACKIJE (A. i B.). *Ulitka na skłonie. Skazka o trojkie.* Str. 278. (Wyd. Possev-Verlag, Frankfurt/Main, 1972).

PIMIENOV (R. I.). *Odin politiczeskij proces.* Wolnoje Słowo — Samizdat — Izbrannoje, Dokumientalnaja Sieria, Wypusk 8. Str. 107 i 5 nlb. (Wyd. Possev-Verlag, Frankfurt/M, 1973).

Raboczyje wołnienija w Polsze. Sbornik matieriałow o diekabrskich sobytijach 1970 g., zebrał Władimir Małyszew. Str. 155 i 1 nlb. (Wyd. Overseas Publications Interchange, Londyn, 1973).

FILIPPOV (Boris). *Lieningradskij Pietierburg w russkoj poezji i prozie* Str. 51 i 3 nlb. (Wyd. La Presse Libre, 1973).

Mnemozina i Kaissa. Antołogija russkoj poezji. Zebrał E. Sztein. Str. 62. (Wyd. Izdatielstwo „Ładja", New York, N.Y., 1973).

Chronika zaszczyty praw w SSSR. Wypusk I, Nojabr 1972 g. — mart 1973 g. Str. 80. (Wyd. „Chronika", New York, 1973, cena Dol. 3,00).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

10-9-73
W ZSSR zaprzestano zagłuszać audycje BBC, Głosu Ameryki i Deutsche Welle.

13-9-73
W Gdańsku została podpisana przez 7 państw „konwencja o rybołóstwie i ochronie żywych zasobów morza bałtyckiego i bełtów". Sygnatariusze powołali do życia międzynarodową komisję do spraw rybołóstwa na morzu Bałtyckim z siedzibą w Warszawie.

14-9-73
Oryginalny sposób uczczenia 30-lecia Wojska Ludowego PRL: mianowicie w Bydgoszczy rozpoczęły się dyrektorskie zawody strzeleckie. Udział bierze 32 pięcioosobowych zespołów złożonych z dyrektorów przedsiębiorstw.

15-9-73
Dla uczczenia 30-lecia Ludowego Wojska PRL i pogłębienia wiedzy o tym wojsku naczelnik Związku Harcerstwa Polskiego ogłosił „alert" pod nazwą „Hasło — Lenino, odzew — 30". „Alert" jest pod protektoratem prezesa Rady Ministrów PRL, Piotra Jaroszewicza. Jak podaje *Trybuna Ludu* w „alercie" bierze udział 2 miliony zuchów, harcerzy i instruktorów ZHP. ■ Wydawnictwo MON w Warszawie ogłosiło subskrypcję na Encyklopedię poświęconą II wojnie światowej. Encyklopedia ma się ukazać w IV kwartale 1974 roku. ■ Z okazji 50-lecia śmierci Stefana Żeromskiego wydawnictwo Czytelnik przygotowuje nową edycję zbiorowego wydania jego dzieł. Pierwsze trzy tomy mają się ukazać w październiku br. Interesujące czy to nowe wydawnictwo obejmie również utwory Żeromskiego zakazywane dotąd przez cenzurę, jak np. „Snobizm i postęp".

16-9-73
W Polsce zmarł, w wieku 73 lat, Zdzisław Woydat. Odegrał on w swoim czasie dużą rolę jako powiernik funduszów gen. Tatara.

19-9-73
Profesor Walentin Turkin, matematyk komputerowy, został publicznie napiętnowany przez personel instytutu w którym pracuje za wystąpienie w obronie Sacharowa. W dziesięć miesięcy po powrocie z zesłania odezwał się Paweł Litwinow, wnuk Maksyma. W jego oświadczeniu napisanym wraz z Borisem Szraginem, historykiem sztuki, czytamy między innymi: „Czas najwyższy by Związek Sowiecki porzucił niezdarną i przestarzałą technikę propagandową, która mogła być skuteczna podczas zimnej wojny, ale jest głupia dzisiaj... Nie można niczego ukryć w stuleciu szybkiej komunikacji. Jeśli władze sowieckie pogodzą się z tym faktem, nie trzeba będzie szpiegować obywateli, cenzurować poczty, zakładać podsłuchu telefonicznego, organizować procesów nie do pomyślenia przy drzwiach otwartych, wydawać surowych wyroków, osadzać zdrowych ludzi w domach wariatów i zabraniać oszczerczej rzekomo literatury".

20-9-73
Z inicjatywy Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego został powołany do życia Instytut Badań Problemów Polonii i Duszpasterstwa Migracyjnego. Kierownikiem instytutu jest dyrektor KUL'u O. Prof. M. Krąpiec, jego zastępcami: socjolog prof. Jan Turowski i historyk Kościoła ks. prof. Bolesław Kumor; sekretarzem naukowym został ks. dr Piotr Taras. Instytut m.in.

zamierza organizować kursy wakacyjne dla młodzieży polonijnej. Pierwszy tego typu kurs odbył się na KUL'u w dniach 15. 7. - 25 8 br. z udziałem 25-ciu studentów polonijnych.

21-9-73
W Mongolii rozpoczęła się parodniowa konferencja zarządów głównych Towarzystw Upowszechniania Wiedzy Naukowo-Politycznej krajów socjalistycznych. Konferencja jest poświęcona omówieniu zadań walki z antykomunizmem. ■ Znany historyk sztuki Jewgen Barabanow, redaktor pisma *Dekoratiwnoje Iskustwo*, został oskarżony o przemyt rękopisów na Zachód, m.in. Dziennika Edwarda Kuzniecowa i szeregu prac o charakterze filozoficznym i religijnym. Proces toczy się w Orle, a nie w Moskwie, gdzie stale mieszka Barabanow.

22-9-73
Główny Urząd Ceł PRL uelastycznił przepisy dotyczące wywozu współczesnych dzieł sztuki. Dzieła sztuki, niezależnie od ceny i miejsca zakupu, są zwalniane całkowicie od cła po okazaniu przez nabywcę rachunku.

23-9-73
W Warnie zakończył swoje obrady 15-ty Wszechświatowy Kongres Filozofii. Poprzedni odbył się w Wiedniu w 1968 roku. W warneńskim kongresie wzięło udział 3.000 osób z 61 krajów. Przeważali delegaci z Europy Wschodniej, delegacja sowiecka liczyła 280 osób. Ton nadawali obradom marksiści. Sporo sowieckich delegatów interesowało się wydawanymi w Paryżu książkami rosyjskimi, które udało się przewieźć do Warny.

24-9-73
Sąd Marynarki Wojennej skazał byłego marynarza PLO, Tadeusza Raczyńskiego, na 8 lat więzienia za współpracę z obcym wywiadem. ■ W Warszawie rozpoczęła się „Warszawska Jesień Poezji". W czasie tego festiwalu były recytowane wiersze Iłłakowiczówny i Iwaszkiewicza. Ponadto została otwarta wystawa „Inspiracja twórcza", zorganizowana przez Pen-Club i Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza. Z poetów przebywających na Zachodzie wziął udział jedynie Jan Brzękowski z Paryża.

26-9-73
Waldemar Strzałkowski, kierownik działu dokumentacji naukowej Wojskowego Instytutu Historycznego, w wywiadzie udzielonym *Życiu Warszawy* poinformował m.in. że w archiwach Instytutu znajdują się fragmenty akt dotyczących działalności polskiego rządu emigracyjnego, akta I Dywizji Pancernej i II Dywizji Strzelców Pieszych, ponadto kolekcja materiałów przekazanych przez Aleksandra Ładosia. Są wreszcie fragmenty akt Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, dokumenty dotyczące formowania polskich sił zbrojnych na terenie ZSSR, 2-go Korpusu we Włoszech etc. Bogaty zbiór stanowią akta A.K., który wpłynęły do archiwum w latach 1958-60. Są to akta Komendy Głównej A.K. i kierownictwa dywersji, materiały Komendy Głównej A.K. z okresu powstania, oraz akta delegatury Rządu RP na kraj. ■ Dwudziestodziewięcioletni pisarz węgierski Miklos Haraszti stanął przed sądem w Budapeszcie za powieść *Płaca na akord*. Powieść nie została wydana, przedmiotem oskarżenia jest jej manuskrypt. Haraszti, który był przez pewien czas robotnikiem, opisuje w niej alegorycznie swoje doświadczenia. W akcie oskarżenia mowa o „postawie tendencyjnej" autora, oraz o jego „działalności wywrotowej". Miklosa Haraszti aresztowano w maju, ale prawie natychmiast wypuszczono z więzienia pod naciskiem fali protestów; odpowiada z wolnej stopy. Jest to pierwszy od dziesięciu lat proces za słowo pisane pod rządami Kadara. W Budapeszcie uważa go się za dowód, że

zadekretowane przez Breżniewa przykręcenie śruby „ideologicznej" w bloku objęło w końcu także i Węgry. Proces został odroczony *sine die*.

28-9-73
Na plenarnym posiedzeniu Sejmu PRL m.in. uchwalono ustanowienie stopnia generała armii w Wojsku Polskim.

30-9-73
W Warszawie rozpoczęto budowę nowoczesnego biurowca wysokości 115 metrów, gdzie mają znaleźć pomieszczenie firmy zagraniczne. Razem z wieżowcem ma powstać kolonia domków dla przedstawicieli firm zagranicznych. Budowę realizują Szwedzi. Prace mają zostać zakończone w ciągu dwóch lat. Władze PRL zakładają, że czynsze płatne w dewizach pokryją szybko kredyt wraz z oprocentowaniem.

1-10-73
Rocznik Statystyczny 1972 podaje, że liczba księży w Polsce wynosi 18.267, w tym zakonników 4.608. Liczba parafii wynosi 6.437, a liczba kościołów i kaplic 13.518. ■ Żałosne widowisko: W Warszawie w środowisku literackim powstała koncepcja wysłania Listu Otwartego do prezesa Międzynarodowego Pen-Clubu w obronie Kontestatorów sowieckich. Uzgodnienie tekstu było bardzo uciążliwe, ale po przezwyciężeniu tych trudności zaczęto zbierać podpisy z pewnym powodzeniem. Wtedy min. Wroński w sposób wyjątkowo kurtuazyjny zaprosił A. Słonimskiego, głównego inspiratora tej akcji, i wyłożył że tego rodzaju list może wywołać niezadowolenie „towarzyszy radzieckich" i że taka akcja utrudni pracę partii, która ostatnio tak energicznie zajęła się pomocą dla środowiska literackiego (emerytury, wyjazdy etc.). Po tej konferencji A. Słonimski poinformował o niej sygnatariuszy, którzy z miejsca wycofali swe podpisy. Jedynie A. Słonimski zatelefonował do prezesa Międzynarodowego Pen-Clubu domagając się zachowania jego podpisu pod protestem. Partia potrafi być wdzięczna: od dawna tylu polskich literatów nie znalazło się na Zachodzie.

5-10-73
W Krakowie zakończył się wielki proces 29-ciu osób oskarżonych o przemyt i handel złotem i dewizami. Wyroki były od 6-ciu do 4-ch lat. Na marginesie tego procesu należy przypomnieć, że w ub. roku został skazany wiceminister Spraw Wewnętrznych, gen. Matejewski, na 12 lat więzienia. Skonfiskowano u niego nieprawdopodobną na stosunki w Polsce Ludowej sumę, a mianowicie 11.812 złotych dwudziestodolarówek.

ZACHÓD — EMIGRACJA

10-9-73
W Brukseli zmarł mjr Leon Michał Kniaziołucki, legionista, b. adiutant Marszałka Piłsudskiego. Kniaziołucki w ostatnich latach wydawał pismo *News Exchange*.

12-9-73
Eugeniusz Kułaga, stały przedstawiciel PRL przy ONZ, został mianowany szefem przedstawicielstwa polskiego w Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru w Wietnamie Południowym.

15-9-73
W Niemczech Zachodnich ukazały się przekłady polskich autorów: Jan Jarosławski: *Theorie der sozialistischen Revolution*, przekład Eddy Werfel, wyd. Hoffman und Campe, Hamburg; Stanisław Lem: *Die Sterntagebücher des Weltraumfahres Ijon Tichy*, przekład Caesar Rymarowicz, wyd. Insel,

Frankfurt/M oraz w tymże wydawnictwie Stanisława Lema: *Die Jagd*, również w przekładzie Caesara Rymarowicza: Tadeusz Konwicki: *Angst hat grosse Augen*, wyd. Europaverlag, Wiedeń; Wojciech Giełżyński: *Polen heute*, przekład Siegfried Schmidt, wyd. Econ Verlag, Düsseldorf. ■ W Tasmanii książka Andrzeja Chciuka „Rejs do Smithton" została zatwierdzona jako lektura obowiązkowa (bo rzecz się dzieje w Tasmanii) do matury z języka polskiego, jako języka obcego. Natomiast w Victorii (Australia) książka Chciuka „Atlantyda" jest na liście lektur zaleconych dla klasy przedmaturalnej (klasy maturalnej jeszcze nie ma — będzie za rok lub dwa). Andrzej Chciuk kończy obecnie dużą książkę pt. „300 miesięcy". Jest to powieść o 25-ciu latach emigracji w Australii.

19-9-73
Pimen, Patriarcha Wszechrosji, odwiedził w Genewie siedzibę Światowej Rady Kościołów (organizacja jednocząca 267 kościołów protestanckich i prawosławnych z 90 krajów). „Zło społeczne — oświadczył Pimen — tak typowe dla wielu narodów w dzisiejszym świecie, po prostu nie może istnieć w naszej strukturze społecznej. W Związku Sowieckim nie ma ani bogatych ani biednych, ani uprzywilejowanych ani wyzyskiwanych, każdy obywatel posiada szerokie i równe prawa". Z czego wniosek — zakonkludował Patriarcha — że w przeciwieństwie do sytuacji na Zachodzie „usterki" społeczeństwa sowieckiego nie wymagają potępień i akcji publicznych ze strony duchowieństwa prawosławnego.

22-9-73
W Londynie zmarł płk Kazimierz Halicki, wiceprezes Kół Pułkowych Kawalerii, redaktor *Przeglądu Kawalerii i Broni Pancernej*. W czasie kampanii wrześniowej dowodził zgrupowaniem wołyńskiej kawalerii.

23-9-73
W Santiago zmarł, w wieku 69 lat, Pablo Neruda, wybitny poeta chilijski, laureat Nagrody Nobla. ■ Jaurès Miedwiediew został zaproszony do wygłoszenia 13 listopada odczytu dla członków *Royal Institute of International Affairs* w Londynie. Miedwiediew ma odpowiedzieć na pytanie co i jak powinno być włączone do ewentualnej umowy kulturalnej w ramach Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa.

25-9-73
Zarząd Związku Pisarzy Polskich na Uchodźtwie wysłał depeszę do przewodniczącego międzynarodowego Pen-Clubu Heinrich Bölla solidaryzującą się z postawą Sacharowa i Sołżenicyna. ■ W niedługim czasie ma się ukazać w wydawnictwie londyńskim „Gryf" książka Jana Nowaka, kierownika polskiej sekcji radia Free Europe zawierająca jego przemówienia i artykuły.

28-9-73
W parlamencie włoskim dyskutowano sprawę dysydentów sowieckich. Aldo Moro, minister spraw zagranicznych, wyraził „niepokój i zaskoczenie" w obliczu represji przeciw „opozycyjnym intelektualistom" w ZSSR. Moro powołał się w swoim wystąpieniu na Sołżenicyna, na jego „słuszną uwagę że musimy dołożyć wszelkich starań by nie zapanowało na świecie przekonanie, że władza jest wszechmocna a sprawiedliwość bezsilna". W debacie brali udział przedstawiciele wszystkich stronnictw. Socjaldemokrata Cariglia cytował obficie artykuł Sołżenicyna *Pokój i przemoc* w norweskim *Aftenposten*, wzywając rząd do podjęcia konkretnej inicjatywy w obronie dysydentów sowieckich. Komunista Napolitano, odciąwszy się od tez głoszonych przez Sacharowa i Sołżenicyna, przyznał że postępowanie władz sowieckich budzi w partii włoskiej „mieszane uczucia". Republikanin Battaglia zapowiedział, że jego partia przygotowała obszerne *dossier* o ruchu opozycyjnym w ZSSR, które zostanie wkrótce przedłożone Izbie Deputowanych; z *dossier* wynika m.in., że w łagrach sowieckich siedzi obecnie milion dwieście tysięcy więźniów, a średnia roczna procesów politycznych wynosi sześćdziesiąt siedem.

1-10-73
W związku z zaproszeniem przez Stowarzyszenie Pisarzy Szwajcarskich trzech literatów sowieckich: Sartakowa, Łukonina i Stegienskiego powstały liczne protesty, m.in. Maxa Frischa i Denis de Rougemont, domagających się wolności słowa i kultury w Związku Sowieckim. André Schwartz-Bart, laureat nagrody Goncourt'ów, wystąpił ze Związku Pisarzy Szwajcarskich na znak protestu.

7-10-73
Zmarł w Paryżu, w wieku 83 lat, wybitny filozof katolicki, Gabriel Marcel. ■ W Solothurn (Szwajcaria) odbył się obchód Kościuszkowski połączony z jubileuszem nagrody im. Anny Godlewskiej.

8-10-73
Zmarł w Londynie, w wieku 78 lat, admirał Tadeusz Podjazd-Morgenstern. W czasie wojny był zastępcą szefa marynarki wojennej a następnie attaché morskim w Waszyngtonie.

12-10-73
W Zurychu miał miejsce występ Laboratorium Teatralnego Związku Artystów Scen Polskich w Londynie, zorganizowany przez Kiermasz Książki Polskiej. To przedstawienie jest zakończeniem uroczystości jubileuszowych Fundacji im. Anny Godlewskiej.

13-10-73
W Galerie de la Manche Libre St-Lô (Manche) została otwarta wystawa prac malarskich Stanisława Konarz-Konarzewskiego i jego żony Ireny.

16-10-73
Komisja Parlamentu norweskiego przyznająca nagrody Pokoju, przyznała tę nagrodę na rok 1973 pp. Henry Kissingerowi, Sekretarzowi Stanu USA i p. Le Duc Tho, członkowi politbiura północnego Wietnamu. Ta cyniczna decyzja, po głośnych wystąpieniach Sołżenicyna i opozycjonistów sowieckich i na tle ostatnich wydarzeń światowych — wywołała powszechne oburzenie.

17-10-73
W Galerie Lambert w Paryżu została otwarta wystawa litografii J. Lebensteina.

18-10-73
Associazione Italiana per il Progresso della Cultura, stowarzyszenie któremu patronuje socjaldemokratyczny minister Luigi Preti, urządził w Rzymie, w sali Palazzo Barberini, publiczną dyskusję okrągłego stołu na temat dysydentów sowieckich i grup oporu w ZSSR. Zaproszeni zostali dziennikarze Alberto Sensini z *Corriere della Sera* i Giorgio Saviane z *Espresso*, znani pisarze Giulio Cattaneo i Piero Bigongiari, oraz Gustaw Herling-Grudziński.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

2. 9 br. odbył się w Cleveland, Ohio, ogólnokrajowy zjazd Armii Krajowej,

prezesem został wybrany Stanisław Rzetelski. ■ 17. 9. br. zmarł, w wieku 82 lat, Oskar Halecki, wybitny polski historyk, ostatnio honorowy prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego i Zrzeszenia Polskich Profesorów i Docentów Szkół Akademickich. ■ 18. 9. br. w New Yorku odbyło się doroczne plenarne posiedzenie Zgromadzenia Europejskich Narodów Ujarzmionych (A.C.N.). Przewodniczącym A.C.N. został wybrany Stefan Korboński. ■ 24. 9. br. American Film Institute ukończył kręcenie filmu o twórczości polskiego artysty-plastyka Witolda K. ■ 24. 9. br. Albert Shanker, prezes Związku Nauczycielstwa Amerykańskiego, ogłosił w *New York Times* wezwanie do nauczycieli, by solidaryzowali się z dysydentami sowieckimi. Wzorem dla nas — pisze Shanker — winien być list Amerykańskiej Akademii Nauk do Sowieckiej Akademii Nauk w obronie Sacharowa. ■ 2. 10. br. Kongres Stanów Zjednoczonych uchwalił budżet Radio Free Europe i Radio Liberty w wysokości 50.200 tysięcy dolarów. Budżet został uchwalony przez 313 głosów przeciwko 90-ciu. ■ Dopiero teraz otrzymaliśmy tekst odezwy, wydanej z okazji wizyty Breżniewa w Ameryce, *American dissenters demand amnesty for dissenters in communist countries.* Odezwa domaga się amnestii (wymieniając nazwiska oraz podając przy każdym nazwisku wysokość wyroku) dla: „uwięzionych za żądanie praw narodowych i politycznych w Ukraińskiej SSR"; „uwięzionych za obronę praw narodowych i demokratycznych w Litewskiej SSR"; „uwięzionych za zamiar wyjazdu z ZSSR do Izraela"; „uwięzionych i prześladowanych za obronę praw obywatelskich w RSFSR"; „uwięzionych w Czechosłowacji za walkę o demokratyzację socjalizmu". Inicjatywę podjął komitet, w skład którego weszli m.in.: O. Daniel Berrigan, O. Philip Berrigan, Noam Chomsky, Julius i Phyllis Jacobsonowie, Dwight Macdonald. Odezwę podpisało 161 osób, między innymi: Joan Baez, Daniel Ellsberg, Leslie Fiedler, Erich Fromm, Allen Ginsberg, laureat Nobla Salvador Luria, Herbert Marcuse, Mary McCarthy, Lewis Mumford, William Styron. ■ Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce z okazji 30-lecia swej działalności przyznał trzy równorzędne nagrody, po 250 dolarów każda, za wybitne prace z zakresu najnowszej historii Polski, ogłoszone w ostatnim 10-leciu poza granicami kraju. Nagrody otrzymali: prof. Bohdan B. Budurowycz (Uniwersytet w Toronto) za pracę „Polish-Soviet Relations 1932-1939", prof. Hans Roos (Uniwersytet w Bochum) za pracę „A History of Modern Poland from the Foundation of the State in the First World War to the Present Day" i prof. Piotr Wandycz (Uniwersytet w Yale) za pracę „Soviet-Polish Relations 1917-1921". Dr Leon Katowicz ufundował dodatkowo nagrodę dla Lorda Nicholls W. Bethell za jego pracę „The War Hitler Won". ■ 15. 10 br. Amerykańska Akademia Sztuki i Nauki podała do publicznej wiadomości, że zostały wystosowane dwa listy do Prezesa Akademii Nauk w ZSSR M. V. Keldysza oraz min. Kultury ZSSR Furcewej w obronie prześladowanych prof. A. Sacharowa i Aleksandra Sołżenicyna, grożąc zerwaniem naukowych stosunków pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a ZSSR. Odpisy listów otrzymało 32 zagranicznych członków Akademii Nauk w ZSSR oraz 40 sowieckich uczonych, którzy podpisali potępienie Sacharowa i Sołżenicyna.

KRONIKA KANADYJSKA

Prof. Stanisław Ehrlich, czołowy komunistyczny specjalista od prawa państwowego i konstytucyjnego, został zaproszony jako *visiting professor* do uniwersytetu w Toronto. Zaprosił go prof. Gordon Skilling. ■ 5. 10. br. rząd kanadyjski podał do wiadomości, iż Kanada w ostatnich trzech latach sprzedała Chinom zboża około 224 milionów buszli. Nie podano cen, ale prawdopodobnie wartość transakcji przekracza miliard dolarów.

Listy do Redakcji

5481 Rolandseck, 5 września 1973.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z opublikowanym w *Kulturze* nr 9/312 artykułem p. Mieroszewskiego pt. „Polska Westpolitik" pragnąłbym zaznaczyć, że polska prasa emigracyjna tłumaczona jest nie tylko na język angielski ale również na niemiecki. Bardzo wielu niemieckich intelektualistów a nawet polityków interesuje się opinią polskiej emigracji. Szczególnie miesięcznik *Kultura* posiada duży autorytet i na tematy jego artykułów dyskutują często między sobą różne osobistości życia politycznego NRF.

Ja również czytam bardzo chętnie *Kulturę*, a szczególnie artykuły p. Mieroszewskiego, które nie są pozbawione pewnej logiki i zmysłu przenikliwości. Tym razem jednak wydaje mi się, że jeśli chodzi o sprawę stosunku przyszłych zjednoczonych Niemiec do Polski to jego przewidywania były stanowczo zbyt czarne i przesadzone.

Czyżby p. Mieroszewski rzeczywiście nie znał dzisiejszych, nowoczesnych Niemiec i nie wiedział jak nie do poznania zmienił się ten kraj w porównaniu z sytuacją sprzed 30 lat? W międzyczasie wyrosło tutaj nowe pokolenie, które nie tylko odrzuca radykalnie nacjonalizm niemiecki, ale szydzi wprost z niego i kpi. Znaczna część młodzieży NRF nie chce w ogóle brać udziału w czynnej służbie wojskowej na co zezwala jej demokratyczny ustrój NRF będący przecież jednym z najbardziej wolnościowych systemów świata! Dzisiejsza młodzież niemiecka jest już tak bardzo kosmopolityczna, że nazwa „Niemcy" często do niej nawet nie pasuje, może co najwyżej „Europejczycy" (czego jeszcze niestety nie można powiedzieć o wielu Polakach).

Czyżby p. Mieroszewskiemu nie było wiadome, że młode pokolenie NRF popiera duszą i ciałem zjednoczenie europejskie, które być może zostanie zrealizowane w przeciągu najbliższych lat? Że tylko to zjednoczenie jest gwarancją likwidacji wszelkiego szowinizmu i nienawiści w Europie?

Po ewentualnym wyparciu Rosji z Europy Polska miałaby do czynienia nie ze zjednoczonymi Niemcami ale ze zjednoczoną Europą. Już chyba tylko garstce sklerotycznych szaleńców w Niemczech mogłoby śnić się wypędzenie Polaków z Ziem Odzyskanych i rewanż za lata 1945/46. Dla przytłaczającej większości Niemców sprawa Pomorza czy Śląska jest tak samo nieodwracalnie uregulowana jak sprawa Alzacji czy Lotaryngii. Czas pracuje w tym przypadku na korzyść Polski. Dla większości młodej generacji niemieckiej polskie Ziemie Zachodnie i Północne nie są ich ojczyzną.

Często mówi się, że Niemcy przegrały wprawdzie wojnę w sensie militarnym ale gospodarczo ją wygrały, o czym może świadczyć porównanie ich stopy życiowej z ZSSR lub z Polską. Zjednoczone Niemcy nie będą więc miały najmniejszej potrzeby podbijać Polskę ponieważ będą z nią prowadziły ożywioną współpracę gospodarczo-techniczną i kulturalną z której będą korzystały obydwie strony. Miliony Niemców będą przyjeżdżały do Polski

z wizytą, podobnie jak to czynią obecnie we Francji, we Włoszech lub w Hiszpanii. Również z kolei wielu Polaków będzie się czuło w Niemczech jak w domu. Mieszane małżeństwa nie będą już sensacją dnia lecz czymś na porządku dziennym. W ten sposób wszelkie różnice pomiędzy obydwoma narodami zostaną zredukowane do minimum. Ostatnio ukazała się w NRF bardzo dobra książka pt. „Polen und Deutsche. Was uns verbindet?" („Polacy i Niemcy — co nas łączy?", *Kultura* wspominała o tej książce w swych nowościach wydawniczych). Wydaje mi się, że byłoby bardzo celowe i pożyteczne przetłumaczyć tę książkę na język polski, również dla potrzeb polskiej emigracji. Jej myśl przewodnią stanowi fakt, że my jesteśmy sobie o wiele bliżsi niż sami sądzimy i że podstawowym warunkiem dobrosąsiedzkich stosunków i współpracy jest *wzajemne zaufanie!* Jak długo będzie to jednak tylko jednostronnym pragnieniem, tak długo nie dojdzie do prawdziwego pojednania ani do przyjaźni. Układ Warszawski pozostanie wówczas martwą literą i pobożnymi życzeniami na papierze. Wydaje mi się, że ostatni artykuł p. Mieroszewskiego niestety nie przyczynił się do stworzenia tego właśnie zaufania pomiędzy Polakami a Niemcami.

Łączę wyrazy poważania wraz z najlepszymi życzeniami na przyszłość,

Andreas KRAUSE

◆

Goteborg, 7 października 1973.

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytałem z zainteresowaniem artykuł p. Zbigniewa Byrskiego w numerze październikowym *Kultury*.

Niewątpliwie autor dobrze zna sytuację Polonii amerykańskiej i wyciąga słuszne wnioski z jej dążeń i polityki.

Natomiast ja jako niedawny uchodźca z Polski, znam pewnie lepiej sytuację Polaków żydowskiego pochodzenia zarówno w Kraju jak i zagranicą, czyli po opuszczeniu Kraju. I tu autor popełnia nieścisłości, jego rozważania są zbyt uproszczone.

Wypędzenie resztek Polaków żydowskiego pochodzenia i polskich Żydów z Polski, niewątpliwie przyniosło szkody polskiej kulturze. Nie rozumiem czemu autor mówi tylko o Żydach naukowcach na polu socjologii, ekonomii i historii. W Szwecji, Danii, Niemczech i Anglii pracuje obecnie cała grupa pracowników naukowych innych dyscyplin. Na przykład warszawska szkoła hematologiczna, naukowcy idący w ślady prof. Ludwika Hirszfelda a rozproszeni obecni po Skandynawii i Niemczech Zachodnich. Albo naukowcy technicy zbierający obecnie laury w Szwecji i Anglii. Albo matematycy, też „warszawska szkoła matematyczna" którzy prosto z promu poszli do instytutów naukowych Szwecji. Chętnie wymieniłbym ich nazwiska, ale ani ich o to nie pytałem ani nie chciałbym narazić ich na naciski ze strony infiltrującej Europę bezpieki.

Nieludzki też jest stosunek autora (i nie licujący z pozycją publicysty społecznego) do tych ludzi o których pisze że wygnanie dało im „szansę" na Zachodzie. Prawdziwą szansę na Zachodzie mogą mieć ludzie młodzi, którzy będą wzrastać w wolności. Ja widzę wokół siebie wielu ludzi starych którzy zapewne mają niezły kawałek chleba i dobry dach nad głową, ale są często odizolowani od otoczenia, otoczeni obcą mową i obcymi zwyczajami do których trudno im już się przyzwyczaić a oderwani od ojczyzny w której

ich rodziny żyły przez 1 000 lat, a oni sami przez całe życie. Przydałoby się autorowi trochę zrozumienia i współczucia dla ludzi.

Z poważaniem,

Jerzy WEBER

P.S. Nie piszę np. o naukowcach encyklopedystach, bo sami publikujecie o nich w październikowej *Kulturze* inicjowany artykułu.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Wojciech Gniatczyński (Monachium) bagatelizuje dyskusję na temat używania słowa „radziecki" czy „sowiecki" i polemizuje z p. Głogoczowskim co do interpretacji słowa „bathroom" i „restroom".

Nazwisko znane redakcji (Malmö, Szwecja) potępia bardzo gwałtownie stanowisko J. Mieroszewskiego w sprawie wyjazdów emigrantów do kraju oraz składa wyrazy uznania Grażynie Nowak.

A. Stebelski (Afryka Poł.) wyraża się z uznaniem o felietonach Grażyny Nowak.

SPROSTOWANIA

St. Gombiński, Paryż, zwraca uwagę na oczywiste błędy w „Wydarzeniach miesiąca" w nrze wrześniowym br. Mianowicie, że ojcem „nansensowskich paszportów był nie Odd Nansen ale Fritjof Nansen, wielki podróżnik, zmarły w 1930. Był on po pierwszej wojnie Wysokim Komisarzem Ligi Narodów do spraw uchodźców i bezpaństwowców. Przepraszamy za błędną informację którą bez sprawdzenia wzięliśmy z *Tygodnika Powszechnego* (Kraków, nr z 15 lipca 1973). Podobnie nazwisko bł. o. Maksymiliana Kolberg zamiast KOLBE jest przykrym błędem drukarskim.

Na inny błąd zwraca uwagę *Andrzej Wasung*, Londyn, mianowicie że nazwisko kompozytora sowieckiego pisze się *Chaczaturian*, a nie Kaczaturian.

ZESZYTY HISTORYCZNE

Kwartalnik ukazujący się w lutym, maju, sierpniu i listopadzie każdego roku.

Każdy numer o objętości 240 stron poświęcony Najnowszym Dziejom Polski.

Pojedynczy zeszyt kosztuje — F.20,00.
Prenumerata roczna — F. 80,00.

Prenumerata ulgowa dla prenumeratorów *Kultury:* F. 70,00.

Dopłata lotnicza:

Ameryka Półn. i Poł. i Afryka F. 6,30 do każdego zeszytu; rocznie F. 25,20.

Azja i Australia F. 8,40 do każdego zeszytu; rocznie F. 33,60.

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal : 3e Trimestre 1973.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria	R. 1,20	R. 7,50	R. 14,50
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW. 2000, tel. 212-2013	$ A 1,50	$ A. 9,00	$ A. 17,50
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 250,00	Sch.A. 480,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18-69-23	F.B. 90,00	F. B. 500,00	F. B. 950,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rue Guiara 143, villa Pompeia, 05025 Sao Paulo. Tel. 62-0523	$ US 2,00	$ US. 11,00	$ US 20,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 9,00	F. 48,00	F 90,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Flo. h. 6,00	Fl. h. 35,00	F. h. 65,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 486-2839; **B. Krasuski,** 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. **Donald Malinowski,** 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man.; Tel. 586-3825; **Z. Micherdzinski,** 24, Facer St., St. Catharines, Ontario; **Henryk Slowikowski,** 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S OP4; **Polish Voice Publishing » Co.,** 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; **« ZWIAZKOWIEC »,** 1475 Queen Str. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	$ Can. 2,00	$ Can. 11,00	$ Can. 20,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1	DM. 6,00	DM 35,00	DM. 65,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F 9,00	F. 50,00	F. 95,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. . 8,00	F. S. 40,00	F. S. 75,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70	K. S. 9,00	K. S. 50,00	K. S. 95,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; **L. Dudarew-Ossetynski,** 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; **Maria E. Dobrowolska,** 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; **M.K. Dziewanowski,** 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; **T. Konopacki,** 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847; **Ch. M. Kretowicz,** 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel 284-6271; **V.B. Kwast,** 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083,Tel. MU 8-0346, **M. Kosciuch,** 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; **Polish Book Store,** 1002 Fanshaw St., Philadelphia, Pa, 19111; **Edward Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo N. Y. 14212; **The Polish Book Importing Co.,** 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. **POLONIA,** Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. **R.J. Sas-Babczynski,** 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellfower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; **Jan Wojcik.** 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053	$ US 2,00	$ US 11,00	$ US 20,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD.	£ 0,75	£ 4,00	£ 7,75
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 1200	L. It. 6000	L. It. 11000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 5[illegible]
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi, par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 *(z Francji)*
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 *(z zagranicy).*

Nowości wydawnicze

TOM 235 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY SZÓSTY

zawiera m.in. Zb. Brzezińskiego: *Współzawodnictwo;* St. Kirkora: *Rola Benesza w sprawie polskiej w 1944 roku*; W. Sukiennickiego: *Amerykański Memoriał Paderewskiego;* W. Babińskiego: *Wymiana depesz między Naczelnym Wodzem a D-cą Armii Krajowej 1943-1944* (Dokończenie); J. Michalewskiego: *Relacja* oraz *Z Archiwów Polskich Komunistów; Gospodarka pieniężna polskich władz w Londynie w latach 19441946 i in.*

Str. 240. Cena F. 20,00

◆

TOM 236

PRZECIW NIEWOLNICTWU GŁOS WOLNEJ ROSJI

zawiera:

A. Kruczek: *Słowa prawdy;* Al. Sołżenicyn: *Morderczy bieg historii nie jest nieodwracalny;* Al. Sołżenicyn: *Pokój i przemoc; Wywiad z A. Sacharowem;* Lidia Czukowska: *List do szarego obywatela sowieckiego; Z życia nauczyciela sowieckiego.*
Wstęp Leszka Kołakowskiego.

UKAŻE SIĘ W CIĄGU LISTOPADA

◆

TOM 237 — MAREK HŁASKO

CMENTARZE NASTĘPNY DO RAJU

Wznowienie fotograficzne

Str. 258. Cena F. 25,00.

◆

TOM 238 — MAREK HŁASKO

OPOWIADANIA

Wznowienie fotograficzne

Str. 192. Cena F. 22,00.

Cena 9 F

RICHARD S.A. - Paris - 606-88-26